Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 11,60 zł w tym 8% VAT NR 51–52 (1578–1579) 18–31 grudnia 2020

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE NIE

Podwójny numer

Rysunki PATRYK SROCZYŃSKI

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 67bea7921d

Tygodnik „NIE” to najlepsza szczepionka na covidową nudę i pisowską zarazę. Jest testowany od trzydziestu lat, osiągając zdumiewająco skuteczne efekty lecznicze i odświeżające. Zwłaszcza podwójny numer świąteczny:

4 **Trawka pod obrusem** – Zasiej, podlewaj, zbierz, ususz, skręć, zapal, odpręż się i odpowiedz na pytanie, kiedy wreszcie, do cholery, politycy zalegalizują marihuanę.
Smar Trek – Komiks: Dokąd mają wypierdalać prezes i jego drużyna.

5 **PiS wali konia** – Zjednoczony prawicowy gnój w stadninach. Ogiery rżą, a kobyły tarzają się ze zgrozy.

6 **Móżdżek Tygodnia** – Oto dzida tępa: imię Beata, nazwisko Kempa.
Poczet niepremierów polskich – Na szczytach władzy ciąży straszliwa klątwa.

8 Fotokomiks – Ziobro bez mrugnięcia oka.
Męczeństwo Joanny Scheuring-Wielgus – Lewica boi się ludzi, a nie śmieszności.

9 **Ballada o Januszku** – Najgorętsze nazwisko tego sezonu brzmi anonimowo jak Kowalski, a imię obciachowo jak Janusz.
Trybuna ludzi

10 **Jak zamykają się klawisze** – W Służbie Więziennej koronawirus zaatakował tkankę mózgową.

11 **Zabawa w chowanego** – Poroniony pomysł, czyli kulisy najbardziej makabrycznego pogrzebu roku.

12 **Wojna żłobów** – Przygody Trumpa wśród fanatycznych obrońców wiary w Ameryce.
Dialogi dam w drodze do kościoła

13 **Wolnomyśliciel Ziobro** – Nie dlatego, że minister sprawiedliwości taki światły, ale dlatego, że tak powoli myśli.
Żywot ojca Pedo

14 **Polska pierdoli psycholi** – Po COVIDZIE nadejdzie trzecia fala psychozy.
Wdowa po esbeku – 91-letnia ofiara ślepej pisowskiej zemsty.

15 **Julka, julka, pamiętasz** – Od mentalności dziadersa mogą nas uwolnić tylko ulica i spacery.

16 **Ojciec chrzestny ojca chrzestnego** – Ściskająca pośladki opowieść o najbardziej kultowej knajpie na Wybrzeżu Gdańskim.

18 **Pastorzyca** – Pani mówi ludzkim głosem, mimo że jest księdzem.
Wiara czyni czuba

19 **Katolik puka dwa razy** – Damsko-męskie fiki-miki, czyli jak to robią katoliki.

20 **Tajne, bo kościelne** – Chrześcijańska prawda o tym, że są kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyka.
Z czarnej dupy się wyrwało
Wieści z kruchty

21 **Faceci w czerni** – Hierarchowie kościelni to ani honorowi, ani obywatele.

22 **Weto albo śmieć** – Gdy pisowcy grzebią w odpadkach, cuchnie wszystko z wyjątkiem pieniędzy.
Stąd do Lenina – O tym, na co Ziobro może skoczyć Komunistycznej Partii Polski, mówi jej przewodniczący.

24 **Dzięki Jaruzelowi** – Pytanie o wejście rosyjskich wojsk do Polski w roku 1981 nie powinno brzmieć, czy by weszły, tylko czy wyglądało na to, że wejdą.

25 **Kielce, miasto pogromne** – Jan Karski siedzi na ławeczce, nie mogąc wyjść ze zdumienia, jak w roku 1946 Polacy mogli to zrobić Żydom.

26 **Memokracja** – Kto kogo gniecie w internecie.

27 **Wyrwij maskom zęby krat** – Opór wobec covidowej przemocy nie musi być ani bierny, ani mierny.
Moje znajome koronawirusy – Kurewskie ognisko zarazy.

28 **Wrocław w ogniu** – W mieście, w którym mieszka Marta Lempart, niebo jest coraz bardziej brunatne.
Wieści gminne i inne

29 **Listonosz doniósł**

30 **Mister Brexit** – Boris Johnson potargane ma nie tylko włosy.
Fotokomiks – Morawiecki dzieli się podatkiem.

31 **Anglia gola!** – Przegrać z łobuziakiem na Wembley.

32 **Blog wszystkich świętych by blagier Urban**
Słówka półgłówka
Przygody Jarka Niezdarka – Komiks: Ziobro podany na talerzu.

Następny – noworoczny – numer „NIE” ukaże się w czwartek 31 grudnia 2020 r.

Śnięty święty

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy piszę to, co czytacie, Daniszewska sprowadza karpie z odległej o 100 km hodowli, w której ryby nie nasiąkają stęchlizną. Będzie tworzyć karpia w galarecie faszerowanego zwłokami innych świętej pamięci ryb. Ja zaś skupiam swoje życie umysłowe na rozważaniu tej twórczości żony. Gdy była oseskiem, jej obojętni religijnie rodzice gwoli tradycji zanieśli ją do ochrzczenia. Daniszewska podkreśla, że chrzest się nie przyjął, organizm go odrzucił. Teraz na emeryturze rada by palić kościoły jak papierosy, gdyby nie to, że jest leniwa i nie ma gazu w zapalniczce.

Boże Narodzenie jest dla nas dniami powszednimi. Broń Boże choinka, Wigilia, prezenty, post i wszelkie takie obrzydliwości, czasem związane u ludzi z wiarą, a zawsze z tradycją. Nie mam nic przeciwko karpiowi w galarecie, jeśli jest martwy, czyli nie ugryzie. Dlaczego jednak przyrządzać go w grudniu, a nie w lipcu? Żona też dziwi się sobie, ale taki ma odruch, wręcz tik kulinarny. Ona się go wstydzi, ale co grudzień swoje robi na tej samej zasadzie, na jakiej codziennie wali kupę. W każdym razie karp kona, gdy Bóg się rodzi, a na świat przychodzi, dlatego że pragnie być na pogrzebie pana karpia.

Fot. DAMIAN SZEWCZYK

Twórczyni karpia w galarecie przez cały rok wozi antykarpia na karoserii swojego mercedesa. Ryba na aucie jest znakiem szczególnym hiperkatolika. Ani on nie wie dlaczego, ani nie wie też ryba będąca modelką rysunku. Moja żona demonstruje bezbożność tym, że jej rybka ma nóżki i napis „Darwin” w zarysie. Uczony Anglik tego nazwiska, najważniejsza postać XIX wieku, zdemolował bowiem chrześcijaństwo i nadal robi z niego wiatrak. Ryba ma dwie cechy. Każda z nich wierzy, że aniołowie mają skrzela, i nie uprawia seksu. Obie te właściwości czynią ją niechrześcijańską. Kościół zajmuje się wyłącznie seksem, moralność lokuje poniżej pępka. Ten fragment homo sapiens jest też przedmiotem jego troski, nauk i obsesji. Katolicyzm to religia krocza.

Rosjanin wyraża swoje aspiracje, mówiąc „job twoju mać”, w przekładzie „pierdolić twoją mamusię”. Kapłan katolika w milczeniu robi to z czyjąś wnuczką. Nie jest miłośnikiem ani wieku dojrzałego, ani przejrzałego, rżnie ludzkie kijanki. Ludzie zabobonni w rycie rzymskim maniakalnie myślą o pierdoleniu. Banalna owa czynność prowadzi ich do mrocznej obsesji. Moja żona, gdy była powszechnie chciana, miała gościnną pizdę, ale posiada słabą pamięć. Zdołała mi spisać i opisać tylko 57 swoich kochanków, w tym jedną kobietę i żadnego karpia. Jak się z rybą nie spółkuje, to się ją faszeruje. Trudno byłoby jeść ze smakiem karpia wyciśniętego sobie z pochwy. Aseksualność tego stworzenia prowadzi je do galarety. Gotowanie karpia jest więc czynnością zastępczą wobec czynienia sobie z niego kochanka. To niepłciowy stosunek z rybą. Żona ją faszeruje pod presją wewnętrzną. Czyniąc to, pierdoli święta. Tak w każdym razie się tłumaczy. Nie będzie przecież modlić się do ryby, nawet tuńczyk na to nie zasługuje. Daniszewska, jak to polska Polka, ma w genach grudniowego karpia w galarecie. Miewa się w nich gorsze rzeczy. Wiem to, bo jestem potomkiem szczególnie złośliwej małpy z hodowli Karola Darwina.

Karp zastygnie w galarecie, gdy moc truchleje i wali się pod naporem czerwonej błyskawicy.

Żeby dogonić współczesność, Kościół powinien zająć się mózgiem człowieka, siedliskiem umysłu, a nie genitaliami. Dopóki nie czyni takiej reorientacji, przed Narodzonym klęczą osły, pastuchy, a mędrcy arogancko stoją. To paradoks, że podczas gdy Kościół cechuje maniactwo na tle seksualnym, jego założyciela poczęto bezpłciowo.

Cóż z tego, że Boże Narodzenie jest dla mnie tylko karpiożarciem, skoro stanowi też miarę czasu. Mówię „przed świętami”, „po świętach”, chociaż neguję święta. Mierzę więc czas na przed niczym i po niczym. Oto, jak idiocieje bezbożnik pod presją społeczną, bo nie religijną przecież. Daniszewska zaś robi farsz do galarety. Kościoły gotowa jest palić, ale pobożnego dania nie odłoży na lato. W swój farsz wierzy w grudniu akurat, bo tylko wtedy ma go w genach. Wymaga więc genetycznego leczenia prowadzonego przez doktora Darwina wożonego na dupie jej samochodu. Okazuje się, że coś musi jej się święcić, ryba więc zastępuje Dzieciątko. I tak mamy święto śniętego karpia. Moc truchleje w galarecie jednak dlatego, że świeci gwiazda betlejemska, czyli bardzo prowincjonalna. Żona była tam ze mną. Świeciły tylko jarzeniówki, a z braku ryb w knajpie podawano islamskie papki. Boska gwiazda betlejemska najsilniej ściemnia w Polsce.

URBAN
sekr@redakcja.nie.com.pl

PRASA ŚNIADANIOWA

- W kościele w Otwocku pochowano w trumnach **640 abortowanych płodów.** Sprawą powinna zająć się prokuratura, bo sądząc po wielkości trumien, były to dzieci w wieku szkolnym.
- Jak informuje **TVP Info,** premier Morawiecki wraz z rodziną przygotował ponad 300 pierniczków. Jest to sukces akcji pierniczki albo śmierć.
- Jak podał portal Wp.pl, samo sprzątanie **szpitala na Stadionie Narodowym** kosztuje miesięcznie ponad milion złotych. Wiadomo: nawet jeśli nikogo tam nie ma, to i tak się kurzy.
- Windsurferka i obrończyni życia nienarodzonych **Zofia Klepacka** została twarzą Grupy PGE. Świetnie, kliniki aborcyjne na wiatr nie działają.
- **Piotr Semka** nazwał Donalda Tuska trollem na marginesie polityki. W przypadku Semki nie ma już miejsca na żaden margines.
- **Astronauci z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej** zebrali pierwsze rzodkiewki wyhodowane w Kosmosie. Patrząc na rok 2020, radzimy nie jeść produktów nieznanego pochodzenia.
- **Lech Wałęsa** orzekł, że **Tadeusza Rydzyka** należy poddać egzorcyzmom. Nic tak nie cieszy, szczególnie przed świętami, jak napierdalający się katolicy.

MARTA M.

41. TYDZIEŃ PANDEMII

23 tys. zgonów w Polsce. Weto albo Boże Narodzenie.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 67bea7921d

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Z bliskimi najlepiej wychodzi się na zdjęciu. Szwów.

Rodzina Bogiem sina

Okres bożonarodzeniowy to tradycyjnie czas prorodzinnej propagandy. Sielskie obrazki miłującego się stadła otoczonego szczebiocącą radośnie dziatwą leją się z płaskich jak opłatek telewizorów. Kino familijne wypiera filmy sensacyjne, a magia świąt zastępuje szarzyznę życia codziennego. W tym roku nie damy się tak łatwo nabrać na tę ckliwą propagandę.

Prysły mrzonki o tym, że po prostu za mało ze sobą rozmawiamy. Rozmawiamy zaś za mało, ponieważ mamy dla siebie za mało czasu. A to z kolei dlatego, że poświęcamy go na karierę i pogoń za pieniądzem.

Pandemia zweryfikowała durny pogląd, że im więcej jesteśmy ze sobą i dla siebie, tym większa przepełnia nas miłość ku bliźnim,

zwłaszcza tym spokrewnionym i zasiedlającym przestrzeń wokół nas. Więcej rozmów to mniej kłótni – zapewniali nas psychologowie, podczas gdy rachunek prawdopodobieństwa i statystyka podsuwały odwrotne wnioski. Runął sentymentalny mit mówiący, że dawniej ludzie byli dla siebie bardziej życzliwi i wyrozumiali, bo nie było telewizji, komputerów i smartfonów, zatem poświęcali zaoszczędzony czas na budowanie relacji.

Pierwsze dni i tygodnie zdalnego życia mogły jeszcze dawać złudną nadzieję. Wszyscy domownicy byli na miejscu, możliwości wyjścia niewielkie – mogli więc oddawać się dyskusjom o wszystkim i niczym, graniu w monopol i scrabble, układaniu puzzli i oglądaniu telewizji przy kawie i ciasteczkach, a w czasie reklam przeglądaniu albumów ze zdjęciami. Ale ile można?

Z czasem tzw. normalne rodziny zetknęły się z problemami tzw. patologii: to, co w małych dawkach jest błogosławieństwem, po przedawkowaniu staje się klątwą. Wolny czas spędzany w rodzinnym gronie nie stanowi wyjątku. Model całodobowego życia na kupie, właściwy dotychczas nizinom społecznym, trafił na salony. Bezrobotni patole, spędzający całe dnie na kręceniu szlugów i popijaniu browarków, tym się tylko zaczęli różnić od klasy średniej, że w międzyczasie nie ogarniają superważnych projektów dla korpo na laptopie, a zamiast Netfliksa towarzyszy im Polo TV. Rozwydrzone, niemogące sobie znaleźć miejsca gnoje oraz nabuzowana żona po równo wkurzą executive managera i konsumenta harnasi z 20-letnim stażem. Z tym że ten drugi jest już do sytuacji nawykły i ma wyrobione mechanizmy radzenia sobie z taką dolą. Nowicjusz bywa w takich okolicznościach bezradny, a co za tym idzie – nieprzewidywalny.

Pandemia z początku jawiła się jako wielka szansa. Wielu obiecywało sobie, że nadrobi lektury, nauczy się nowych języków obcych i podwyższy kompetencje, a przy okazji poprawi relacje rodzinne. Konia z rzędem temu, kto od marca podszlifował angielski albo nauczył się mandaryńskiego i programowania. Gratulacje dla tych, którzy wreszcie przeczytali „W poszukiwaniu straconego czasu" i obejrzeli najważniejsze dzieła alternatywnego kina bułgarskiego z lat 90. XX w.

Okazało się to, co było do przewidzenia: rodzina to grupa ludzi, którą poza więzami krwi niewiele łączy. Dzieci nie wybierają sobie rodziców i na odwrót. Ci zaś widząc, że owoce miłości nie są miniaturkami ich samych, złoszczą się na nie i siebie, że nie podołali rodzicielskiemu wyzwaniu. Pociechy stają się frasunkiem.

Małżeństwo to kwestia wyboru, ale po latach spędzonych razem nikt nie pamięta, dlaczego takiego wyboru dokonał, i dziwi się sobie samemu z przeszłości. Przyzwyczajenie, dzieci, kredyt i katolicka moralność – oto składowe miłości małżeńskiej po polsku. Izolacja spotęgowała wzajemną niechęć. O ile w normalnych czasach przynajmniej jeden ze współmałżonków pracował, ryzyko spotkania się w ciągu dnia było więc minimalne, o tyle w okresie pracy zdalnej trudno się unikać. Nawet wyjście z psem i dziabnięcie w międzyczasie małpki pomaga tylko doraźnie.

Ale pomaga. Spożycie więc wzrosło. To trend ogólnoświatowy. Według jajogłowych z branżowego pisma „American Journal of Drug and Alcohol Abuse" jedna trzecia uprawnionej do tego ludzkości zalewa pałę podczas pandemii. Przed najebką nie powstrzymuje obecność dzieci w domu. I nie chodzi o patoli, tylko o ludzi nieźle zarabiających, z dobrą pracą. Okazuje się więc, że to nie frustracja z powodów zawodowych i finansowych zachęca do chlania, ale zbyt bliskie ciepło rodzinnego ogniska.

Najgorzej jest w Rosji. Ichnia szczepionka Sputnik V jest tak wredna, że nakazuje abstynencję. Każdy kieliszek to krok w stronę skutków ubocznych. Aby się ich ustrzec, część lekarzy ordynuje nawet 3 miesiące bez gorzały. Rosjanie buntują się przeciwko nieludzkim wymaganiom. Niektórzy twierdzą, że tak długi czas niepicia może być dla nich bardziej zabójczy niż koronawirus. Czytając takie newsy, trudno nie wierzyć w spisek koncernów farmaceutycznych.

Izolacja, problemy finansowe, kiepskie perspektywy zawodowe i ogólna chujnia wisząca w powietrzu to też żyzna gleba dla wzrostu statystyk o przemocy domowej. Sekretarz generalny ONZ już w kwietniu wiedział, co się święci, i apelował do rządów, by podjęły środki przeciwko **„przerażającemu wzrostowi przemocy domowej".** Napierdalane żony mają pod bardziej stromą górkę niż zwykle. Różnego rodzaju przytułki i domy pomocy także obowiązują obostrzenia epidemiczne, zatem doraźna, natychmiastowa pomoc jest utrudniona. Trudniej też z dnia na dzień wynająć mieszkanie, bo nie każdy pali się do spotykania się i oprowadzania, a wynajmować w ciemno to spore ryzyko. Pozostaje się modlić, aby najebana głowa rodziny najebała się do tego stopnia, żeby nie mieć siły się ruszyć.

Zapobiec tragediom ma ustawa antyprzemocowa, która niedawno weszła w życie. Zgodnie z nią sprawca przemocy, który stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia domowników, po wydaniu odpowiedniego nakazu będzie musiał teraz bezzwłocznie opuścić mieszkanie oraz dostanie zakaz zbliżania się do niego. Są już pierwsze przypadki, gdy policja usuwała z domów fikających gagatków. Nie tylko ojców rodzin, ale i rozochoconych alkoholem wyrostków terroryzujących rodziców.

Z drugiej strony pojawiają się głosy, że nowe przepisy mogą być nadużywane i zrobienie z kogoś agresora będzie sposobem na pozbycie się niepożądanego lokatora z domu. Może więc się okazać, że ludzie – z obawy przed konsekwencjami – nie będą tak skorzy do mieszkania razem. Podobnie jak zaostrzenie prawa aborcyjnego zniechęca do zachodzenia w ciążę.

Jedno jest pewne: pisowcy i nietoperze zrobili więcej dla podważenia sensu zakładania rodziny i rozmnażania się niż cała libertyńska i hedonistyczna propaganda.

lupiotrowicz@gmail.com

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Taki malusieńki

Święty męczennik bez życiorysu.

Informacja dla Niemców: niebo jest polskie, bo na liście świętych i beatyfikowanych Polaków jest co niemiara, a wśród nich atleta Pana Boga, czyli Jan Paweł II.

Wiadomość dla Brukseli organizującej gejowskie party z udziałem węgierskich patriotów: niebo będzie jeszcze bardziej biało-czerwone, bo w kolejce po aureolę czeka pięciuset naszych, a o tak długim ogonku zgniły Zachód może jedynie pomarzyć. Zamiast straszyć sankcjami Unia Europejska powinna więc paść przed Polską na kolana, zwłaszcza że wśród oczekujących na świętość są nie tylko ojciec Tadeusz Rydzyk i inni dość dawno narodzeni męczennicy medialni, ale także męczennik jeszcze nienarodzony. Świat będzie się modlił nie tylko do największego z rodu Słowian, ale również do polskiego płodu, bo na wniosek archidiecezji przemyskiej płód włączono do procesu beatyfikacyjnego rodziny Ulmów. To pierwszy przypadek w historii, żeby kandydat na ołtarze miał tak skromne CV, a właściwie nie miał go wcale.

Opowieść o heroizmie Józefa i Wiktorii Ulmów jest ważnym kawałkiem polityki historycznej dobrej zmiany. Słodko-krwawe *story* ma dowodzić martyrologii Polaków mordowanych za pomaganie starozakonnym w czasie II wojny światowej, czyli uprzytamniać wrogom Rzeczpospolitej, że tańczą z narodem wybranym, a takie założenie sprawia, że w opowieści nie chodzi o bzdety typu wierność prawdzie, tylko o wydźwięk propagandowy. Fakt jest taki, że 24 marca 1944 r. w Markowej, w podkarpackiej wiosce, Ulmów w liczbie ośmiorga i ośmioro ukrywanych przez nich Żydów rozstrzelali niemieccy żandarmi.

Oprawcy nakazali sąsiadom, aby zwłoki zakopali we wspólnym dole, lecz sąsiedzi poprosili, żeby ciał Izraelitów nie mieszać z polskimi, i hitlerowcy prośbę potraktowali ze zrozumieniem. 5 dni później nocą mieszkańcy Markowej wykopali z ziemi rodzinę Ulmów i ciała umieścili w przytarganych przez siebie trumnach. Ekshumację przeprowadzało 5 osób. Jedna zezna po wojnie, że **„z narządów rodnych Wiktorii Ulm wystawała główka i pierś dziecka".**

Z narządów rodnych wystawał pierwszy w historii świata nienarodzony kandydat do świętości, co jednak okazało się dopiero w roku 2003; wtedy to rozpoczął się trwający do dziś proces beatyfikacyjny rodziny Ulmów.

Postępowanie kanonizacyjne początkowo dotyczyło rodziny liczącej 8 osób, czyli Wiktorii i Józefa oraz sześciorga ich dzieci, wkrótce jednak błąd naprawiono i na podstawie relacji uczestnika nocnej ekshumacji dopisano bezimienne i nienarodzone dziecko nr 7. Od tego czasu prowadząca badania na szczeblu krajowym archidiecezja przemyska konsekwentnie lansuje wersję, że rodzina Ulmów była modelu 2+7, podkreślając, iż **„dziecko nienarodzone, zabite przed narodzeniem, zmierza na ołtarze z całą swoją rodziną, bo było człowiekiem od poczęcia i poniosło śmierć męczeńską".**

Do płodu można już teraz wznosić modły – kuria przemyska opublikowała treść stosownej modlitwy z adnotacją, że jeśli dzięki wstawiennictwu nienarodzonego dojdzie do łaski, czyli np. sąsiadowi zdechnie krowa, natychmiast należy o tym zameldować. Po to, aby opis cudu dopomógł płodowi w uzyskaniu aureoli, bo Watykan owszem, zgodził się na zbadanie jego świętości, ale ostateczny werdykt jeszcze nie zapadł.

Choć z drugiej strony nie wiadomo, czy cud dokonany przez płód będzie do beatyfikacji konieczny. W przypadku kardynała Wyszyńskiego czy Jana Pawła II liczne uzdrowienia, wyzwolenia ze szponów nałogów były niezbędne, bo żaden z nich nie miał tyle szczęścia co nienarodzony i w wyjątkowych okolicznościach nie konał. Na miano męczennika nie zasłużył zatem ani papież, ani kardynał. Natomiast, jak twierdzi ks. dr Witold Burda, postulator procesu beatyfikacyjnego Ulmów, **„Józef i Wiktoria oraz ich siedmioro dzieci zginęli śmiercią męczeńską, zaś męczennicy otrzymują dyspensę od wymogu prawa kanonizacyjnego w postaci obligu dokonania cudu".**

Sprawiedliwymi wśród narodów świata Ulmowie zostali jednak w formule 2+6 i idą na ołtarze, ale rzecz również w tym, żeby cały naród polski dostał to, na co zasłużył. Czyli żeby w całości został błogosławiony i uznany za naród sprawiedliwych. W tym celu PiS w 2016 r. utworzyło Muzeum Polaków Ratujących Żydów Podczas II Wojny Światowej. Dzięki placówce ochrzczonej imieniem Ulmów wnet okazało się, że pejsatym pomagały rzesze rodaków ojca Rydzyka, i to najczęściej z pobudek altruistycznych, szmalcownicy zaś stanowili margines i karygodne odstępstwo od normy. Pierwszym dyrektorem muzeum został doktor historii Mateusz Szpytma, lecz władze szybko dostrzegły jego liczne talenty i zasługi na polu dbałości o wizerunek Polski, powierzyły mu zatem fuchę wiceprezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Mimo awansu Szpytma jednak nie porzucił Ulmów i wciąż jest naczelnym apologetą męczeństwa rodziny. W trakcie organizowanego przez Kościół sympozjum „Słudzy Boży Józef i Wiktoria Ulmowie z dziećmi – świadkowie wiary" pan doktor wygłosił referat „Dlaczego Ulmowie pomagali Żydom skazanym na Zagładę?". Szpytma zaznaczał, że choć jako człowiek nie ma wątpliwości, że Ulmowie działali z pobudek altruistycznych, to jako naukowiec i historyk nie ma pewności, jakie motywy im przyświecały, **„bo nie istnieją dokumenty lub relacje, które by definitywnie tę kwestię wyjaśniały".** Za to – głosi Szpytma – istnieją poszlaki wskazujące na to, że Ulmowie nie działali z pobudek merkantylnych.

Według wiceprezesa IPN poszlaką taką jest fakt, że zachowała się Biblia używana przez Józefa Ulma; ktoś czerwonym kolorem zaznaczył w niej 2 fragmenty: przypowieść o miłosiernym Samarytaninie i kawałek Ewangelii wg św. Łukasza o treści: **Jeślibyście miłowali tylko tych, którzy was miłują, jaką byście zapłatę mieli za to?".**

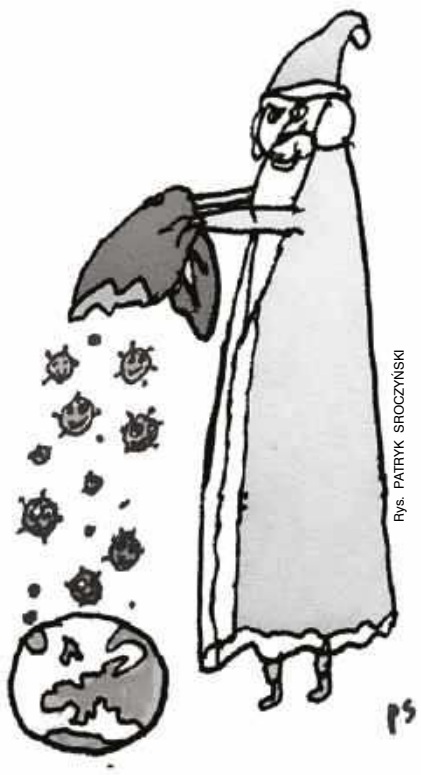

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Druga poszlaka jest jeszcze mocniejsza: przy Żydach zastrzelonych przez Niemców znaleziono złote pierścionki, co według Szpytmy **„pokazuje, że Ulmowie nie pobierali od nich wynagrodzenia i ich nie ograbili".**

Trzeci argument jest najmocniejszy. Józef Ulm był głęboko religijny i działał w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, co zdaniem Szpytmy **„wyklucza możliwość pobierania do Żydów opłaty za ukrywanie".**

Wygląda na to, że naukowcy klasy dr. Szpytmy do spółki z partią i Kościołem szybko zapewnią polskim płodom należne im miejsce w historii chrześcijaństwa.

MARIAN ŚRUT

eprasa.pl 67bea7921d

Trawka pod obrusem

Buch się rodzi! Co to za święta bez zielonego krzaczka?

Na początek dobra wiadomość: prezydent popiera legalizację marihuany! **„Jestem za!”** – odpowiedział na pytanie red. Beaty Lubeckiej w Radiu Zet. **„Bez żadnych wątpliwości? Nic?”** – dopytywała się z niedowierzaniem prowadząca wywiad dziennikarka. Prezydent nie ma wątpliwości. Chodzi wprawdzie o Aleksandra Kwaśniewskiego, ale przecież chyba nikomu słyszącemu słowo **„prezydent”** nie przychodzi na myśl Andrzej Duda…

Kwaśniewski tak uzasadnił swoje stanowisko: **„Uważam, że ta polityka, którą sam podpisywałem – bo takie ustawy podpisywałem jako prezydent – czyli takiego ostrego kursu, gdzie nawet za niewielkie ilości marihuany ludzi skazuje się na wyroki, wsadza do więzienia – nie przyniosła żadnego pozytywnego skutku. Więc w moim przekonaniu trzeba zaproponować politykę inną, tzn. dającą możliwość legalizacji marihuany, oczywiście pod wieloma warunkami”.**

Temat legalizacji marihuany to chyba najbardziej ekumeniczna kwestia w tej kadencji. Parlamentarny zespół ds. legalizacji marihuany łączy sejmowe żywioły: Lewicę i Konfederację. Zespołowi szefuje Beata Maciejewska, a wiceprzewodniczącą jest Paulina Matysiak (obie z Lewicy), w roli sekretarza występuje posłanka Koalicji Obywatelskiej o jakże adekwatnym nazwisku Zielińska, reprezentująca naturalnie Partię Zielonych. W zespole mamy więc z jednej strony Adriana Zandberga z Partii Razem, a z drugiej Konrada Berkowicza z Konfederacji. Nie mogło zabraknąć Krzysztofa Śmiszka. W zespole pracują ramię w ramię Andrzej Rozenek i Dobromir Sośnierz oraz Artur Dziambor.

Ten ostatni to najnowszy nabytek parlamentarnego gremium zwolenników legalizacji zielonych liści. **„Zapisałem się dziś do fajnego zespołu”** – poinformował na Facebooku 9 grudnia, a na Twitterze z podobnym entuzjazmem ogłasza, że marihuana łączy ludzi, a jej legalizacja to od dawna postulat jego środowiska. Złośliwcowi, który docina: **„Wy tam wszyscy w Konfie na moje oko chodzicie upaleni”**, poleca udanie się do okulisty. I tak się powoli prowadzi tę orkę na polskim konopnym ugorze…

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Na pytanie, jak współpracuje się posłowi Konfederacji z tymi obrzydliwymi lewakami, Dziambor odpowiada jak weteran festiwalu reggae w Ostródzie: **„Szanujemy swoje różnice programowe. Nie przekonujemy się na siłę i pozostajemy przy swoich stanowiskach”.** Podobnie przewodnicząca Maciejewska: **„Zioła nas łączą, inne rzeczy nas dzielą”.**

Parlamentarny zespół ds. legalizacji marihuany to młoda stażem i duchem załoga, konopie wzięto na tapetę w systemowy sposób w grudniu 2019 r.

„Chciałabym wiedzieć, jakie są skutki ekonomiczne, społeczne i zdrowotne legalizacji marihuany, żebyśmy mieli to zdiagnozowane i żebyśmy mogli ludziom o tym mówić. Nie zależy mi na tym, żeby od razu położyć na stole projekt ustawy, ale żeby rozpocząć debatę” – mówiła w okresie inauguracji prac zespołu jego przewodnicząca. **„Jest zupełnie wręcz niespodziewana dobra atmosfera wśród parlamentarzystów, jak i opinii publicznej, żeby rozmawiać na ten temat, bo kwestia konopi łączy się z przemysłem, rolnictwem, zdrowiem, polityką społeczną, polityką wobec młodzieży”** – zauważyła posłanka Maciejewska w rozmowie z Polską Agencją Prasową. Mimo zwrócenia uwagi na uprawę konopi jako segment rolnictwa próżno wśród członków zespołu szukać przedstawicieli PSL czy chłopolubnych posłów z legitymacją PiS.

Zespół pali się do roboty. Ambicje są duże i nie sprowadzają się tylko do rozrywki. Posłowie mają przed sobą 3 główne cele wymienione w regulaminie. Są to: analiza skutków zdrowotnych, gospodarczych, społecznych i finansowych legalizacji marihuany; prowadzenie ogólnospołecznej debaty na temat marihuany oraz wypracowanie rekomendacji i projektu ustawy w tym zakresie.

Do kwietnia 2021 r. mają zostać przygotowane aż 3 projekty ustaw: o depenalizacji posiadania niewielkich ilości marihuany na własny użytek, o marihuanie medycznej i o konopiach siewnych.

Oczywiście nie ma co się łudzić, że projekty te spotkają się z szerokim poparciem przy obecnych politycznych wiatrach puszczanych przez Kaczyńskiego, który swego czasu zastanawiał się głośno, czy marihuana jest z konopi. Konopie może i łagodzą przebieg nowotworu, ale raka toczącego Polskę, którym jest PiS, nie są na razie w stanie wyleczyć. Mimo jednoczącego potencjału gandzi trudno wciąż sobie wyobrazić, by za legalizacją głosował Krzysztof Bosak czy Grzegorz Braun. Ale nie ma co palić mostów w kwestii palenia dżointów.

Z Sojuszem Lewicy Demokratycznej różnie bywało. Na początku wspomniałem o nawróceniu Aleksandra Kwaśniewskiego, który podpisał bardzo restrykcyjną ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii, posyłającą za kratki każdego, kto posiada nawet niewielką ilość trawki. Z czasem poglądy mu się zmieniły, ale niesmak i przepisy pozostały. Wiadomo, pokolenie byłego prezydenta i jego współpracowników preferowało bardziej płynne sposoby odrywania się od ziemi.

Na lewicy nastąpiła zmiana pokoleniowa i mentalna. Dziś emblematycznym dla Lewicy obrazkiem w temacie marihuany jest czat z internautami z października 2019 r., w którym wzięli udział Adrian Zandberg, Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty.

„Włodek, czy ty wiesz, co to znaczy »walić wiadro«?” – zapytał najstarszego w tym gronie Czarzastego Biedroń, relacjonując pytania internautów.

„Wiesz co, to wie Adrian. On jest inteligentny” – odpowiedział Czarzasty, zrzucając ciężar odpowiedzi na Zandberga, który wiedział.

„Rozumiem, że mamy teraz porozmawiać o polityce narkotykowej” – uciął dyplomatycznie przewodniczący Razem (dla niewtajemniczonych: walenie wiadra to technika palenia marihuany, kolega mi mówił).

Prawdopodobnie

marszałek Czarzasty od tamtej pory poznał tajniki walenia wiadra. Dość powiedzieć, że uchodzi teraz za polityka opanowanego,

który siłą spokoju wprowadza porządek podczas obrad Sejmu, gdy zdarza mu się je prowadzić.

Należy przypomnieć, że w tym samym prezydium – jako marszałek – zasiada Ryszard Terlecki, znany ze swojej hipisowskiej przeszłości i podejrzewany o praktyczną znajomość działania różnych używek. To, że w Sejmie jest tak nerwowo, to znak, że marszałek Terlecki wyparł z pamięci swoją kolorową przeszłość uwiecznioną na czarno-białych zdjęciach. Tu leży pies pogrzebany… Może warto go zaprosić do parlamentarnego zespołu ds. legalizacji marihuany. Rozmowa od razu zacznie się kleić.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 67bea7921d

PiS wali konia

Prawie 5 lat prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie rzekomej niegospodarności w stadninie koni w Janowie Podlaskim. I końca nie widać.

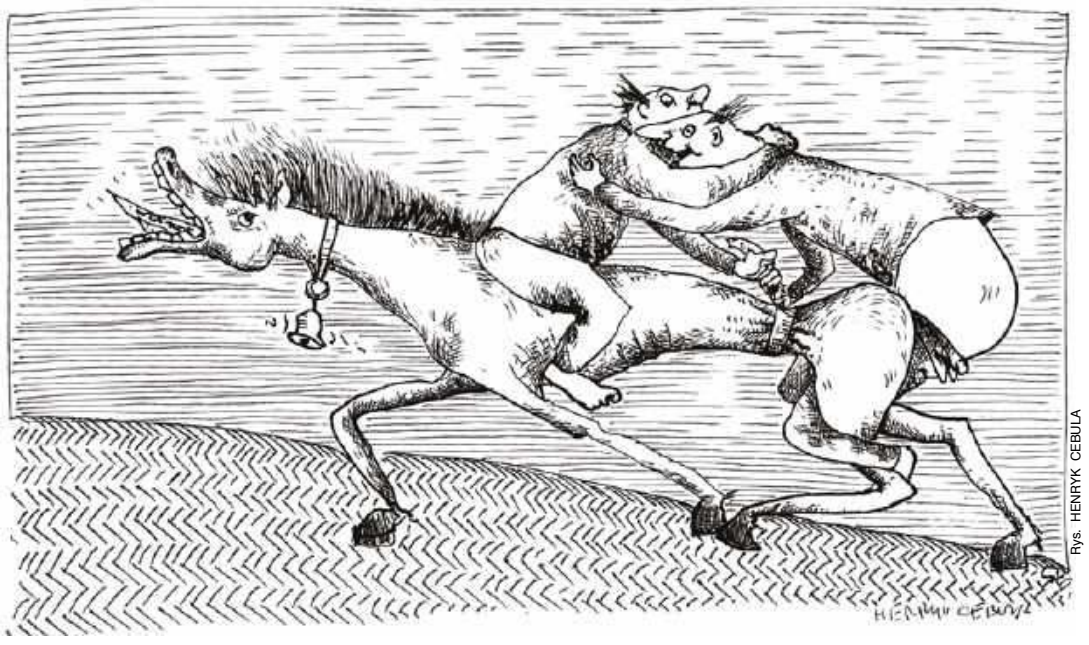
Rys. HENRYK CEBULA

W lutym 2016 r. PiS posunęło ze stołków prezesów państwowych stadnin koni w Michałowie i Janowie Podlaskim – Jerzego Białoboka i Marka Trelę, cenionych w świecie specjalistów od hodowli koni. Dopiero po pięciu dniach od odwołania jako powód podano enigmatyczną **„utratę zaufania”.** Po kilku następnych dniach na konferencji prasowej wystąpili minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel i prezes Agencji Nieruchomości Rolnych (ANR) Waldemar Humięcki. Powołując się na kontrole Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Najwyższej Izby Kontroli i ANR, stwierdzili, że w stadninach doszło do wielu nadużyć i niegospodarności, szczególnie podczas organizacji Dni Konia Arabskiego w Janowie Podlaskim i towarzyszącej im aukcji Pride of Poland.

Za przestępstwo Jurgiel uznał to, że firma Poltruf organizowała obie prestiżowe imprezy i zarabiała na tym pieniądze. Oczywiście wszystko odbywało się zgodnie z prawem, ale niewyobrażalne jest, aby w mafijnym państwie PiS ktoś bez namaszczenia partyjnej sitwy mógł zarabiać na współpracy z państwowymi firmami. Starym zwyczajem Jurgiel wywąchał w tym wszystkim układ powiązań towarzysko-biznesowych. Szczegółów oczywiście nie zdradził. Zapomniał jednak dodać, że Poltruf zaczął współpracę (wygrywając przetarg) ze stadninami w 2001 r., za rządów Akcji Wyborczej Solidarność, gdy ministrem rolnictwa był Artur Balazs, szef Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego. W tym samym rządzie przez jakiś czas ministrem sprawiedliwości był Lech Kaczyński. Poltruf nie przeszkadzał PiS-owi za pierwszych jego rządów. Kaczyński i spółka dopiero teraz sobie o nim przypomnieli.

Zarządy stadnin miały zawierać niekorzystne umowy z zagranicznymi ośrodkami hodowlanymi na dzierżawę klaczy, umowy, które **„nie zabezpieczały interesów polskich podmiotów oraz ograniczały możliwości dochodzenia roszczeń”**, a także mogły **„dopuszczać do pobierania przez zagranicznych kontrahentów większej liczby zarodków, niż dopuszczają to polskie regulacje”.**

Przejawem złego zarządzania w Janowie Podlaskim było niewłaściwe prowadzenie książek obiektów budowanych, nie przestrzegano przepisów przeciwpożarowych (m.in. była uszkodzona instalacja odgromowa, brakowało gaśnic i oznakowania hydrantów, a obok jednej z hal zbyt blisko składowano słomę), stwierdzono zaniedbania w utrzymaniu budynków, nieprawidłowo prowadzono księgowość, gdyż środki trwałe nie zostały umorzone jednorazowo, a zastosowano wobec nich amortyzację liniową, bez zezwolenia użytkowano zbiorniki, gdzie przechowywano paliwo. Gwoździem do trumny prezesa Treli miało być to, że hodowla koni w Janowie Podlaskim rzekomo przynosiła straty, choć spółka była na plusie i przynosiła zyski.

Po donosie złożonym przez ANR Prokuratura Regionalna w Lublinie wszczęła śledztwo. Wydawałoby się, że skoro zarzuty są tak dobrze udokumentowane, śledczy szybko postawią Trelę przed sądem. Nic z tego.

W 2017 r. prokuratorzy chcieli umorzyć sprawę, nie dopatrując się nieprawidłowości. Zmienili zdanie po interwencji Prokuratora Krajowego Bogdana Święczkowskiego.

Mijają lata, a śledztwo trwa nadal. Było przedłużane już tyle razy, że trudności w dokładnym określeniu zmiany terminów ma nawet Piotr Marko, rzecznik lubelskiej prokuratury. Ostatnie (powiedzmy, że ósme) przedłużenie postępowania zostało wyznaczone do stycznia 2021 r. Co będzie dalej, tego nie wiadomo, gdyż prokuratura nie ujawnia szczegółów.

Od czasów wywalenia Treli (który był prezesem 16 lat i przetrwał kilkanaście ekip rządowych od lewa do prawa) stadnina koni w Janowie Podlaskim zaliczyła już pięciu pisowskich szefów. Pierwszy, Marek Skomorowski, działacz Solidarnej Polski Ziobry, przyznał z rozbrajającą szczerością, że nie miał styczności z końmi, ale czuje, że będzie to jego życiowa pasja. Przeczucie było złudne, a pasja odbiła się przedsiębiorstwu czkawką. Po kilku miesiącach Skomorowski zrezygnował, gdy na skręt jelit padły 2 konie należące do Shirley Watts, żony perkusisty The Rolling Stones.

Krzywda się jednak prezesowi nie stała, bo partia zrobiła go prezesem Zamojskich Zakładów Zbożowych.

Kolejny prezes, prof. Sławomir Pietrzak (miał opinię fachowca), zapowiadał, że przywróci normalność po rządach poprzednika, który podobno nawet nie zbliżał się do koni. Po niecałych dwóch latach został jednak niespodziewanie odwołany bez podania przyczyn.

Jego następcą został Grzegorz Czochański, dyrektor w pionie nadzoru nad spółkami w Krajowym Ośrodku Wsparcia Rolnictwa.

Po nim przyszedł Marek Gawlik, prezes Polsko-Saudyjskiej Rady Biznesu, a także wiceprezes Międzynarodowej Izby Handlowej Ukrainy. Atutem Gawlika było to, że jeździ konno i w przeszłości hodował konie. Po pięciu miesiącach jednak zrezygnował.

Jego następcą został Lucjan Cichosz, 70-letni były senator i poseł PiS, członek rady nadzorczej PGE Dystrybucja. Podobno nadaje się na prezesa stadniny, bo jest weterynarzem.

Pod rządami takiej ekipy uznawana kiedyś za skarb narodowy stadnina w Janowie Podlaskim ledwo zipie. W 2015 r. (gdy prezesem był Trela) stadnina miała 3,2 mln zł zysku. Rok później była już tylko 81 tys. zł na plusie. Od 2017 r. notuje straty: najpierw w wysokości 1,6 mln zł, w 2018 r. 3,2 mln zł i 1,2 mln zł w 2019 r.

W tragicznej sytuacji są zwierzęta, które nie mają zapewnionej odpowiedniej opieki weterynaryjnej i pożywienia. Boksy są nieczyszczone od wielu miesięcy. Wszędzie bród i smród.

„Przyzwyczailiśmy się do tego, że stadnina w Janowie ma ogromne problemy finansowe, do tego, że konie nie są już championami, ale przez myśl nam nie przeszło, że poprzedni prezes dopuści się zbrodni na zwierzętach” – mówiła posłanka Dorota Niedziela, która z Joanną Kluzik-Rostkowską wybrała się do stadniny z interwencją poselską.

Podupadła Pride of Poland. Niegdyś uważana za prestiżową i jedną z najważniejszych aukcji, na którą zjeżdżali najbogatsi ludzie z całego świata, stała się prowincjonalną imprezą przypominającą wiejski targ. Firma Poltruf została odsunięta, a jej miejsce zajęli organizatorzy wskazani przez PiS: Międzynarodowe Targi Poznańskie (MTP), a potem Polski Klub Wyścigów Konnych (PKWK), który podlega Ministerstwu Rolnictwa. Prezes PKWK Tomasz Chalimoniuk został mianowany przez ministra Jurgiela, a minister Jan Krzysztof Ardanowski zrobił Chalimoniuka swoim pełnomocnikiem ds. hodowli koni.

Aukcje, zamiast kończyć się sukcesami finansowymi, kończą się skandalami. W 2016 r. dwukrotnie licytowano jedną z klaczy. Pojawiły się podejrzenia, że aukcja była ustawiona, a licytowały tzw. słupy. Sprawą zajęła się prokuratura. W 2020 r. arabska księżniczka, która wylicytowała klacz Perfinikę za 1,25 mln euro, niespodziewanie wycofała się z transakcji. Organizatorzy próbowali sprzedać zwierzę „pod stołem” i za mniejszą kwotę innemu licytantowi, który złożył drugą najkorzystniejszą ofertę.

Podczas tej samej imprezy znany miłośnik koni i komentator Marek Szewczyk uderzył kilkukrotnie w twarz Mateusza Leniewicza-Jaworskiego, byłego pisowskiego członka zarządu stadniny w Janowie Podlaskim. Interweniowała policja, a Szewczyk miał zostać sprowokowany, gdy usłyszał od Leniewicza-Jaworskiego: **„O, idzie Szewczyk, ta menda”.** Dżentelmeni są skonfliktowani od 2016 r., gdy PiS zaczęło wprowadzać nowe porządki w państwowych stadninach, których zagorzałym krytykiem jest Szewczyk.

Obita facjata jednego z menedżerów podłej zmiany – tyle zostało z polskiej dumy narodowej, jaką niegdyś były stadniny.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

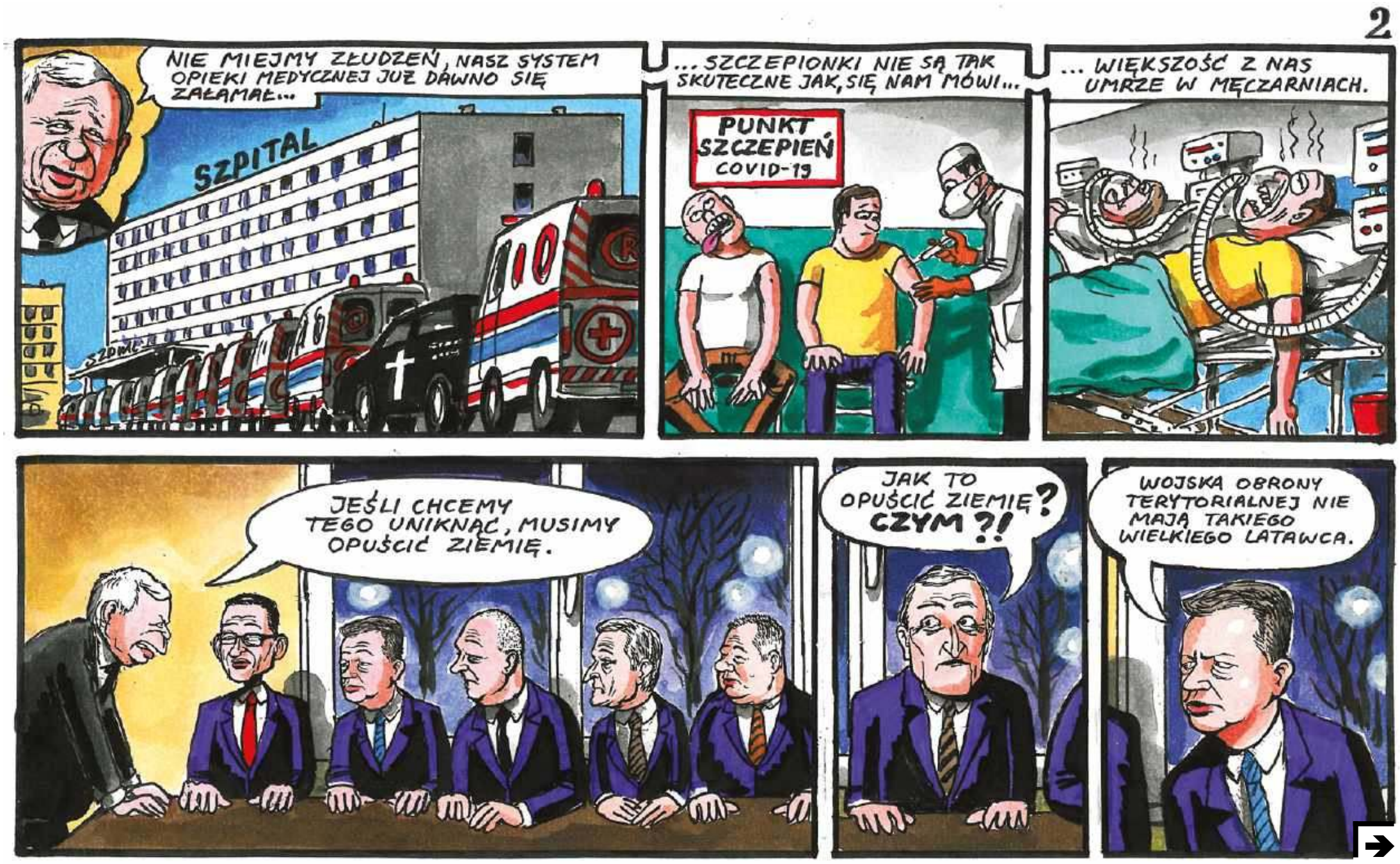

eprasa.pl 67bea7921d

Móżdżek Tygodnia

„Panie Ministrze Sprawiedliwości, Zbigniewie Ziobro, dziękuję jako Polka i matka za obronę naszej Ojczyzny przed poniewierką, upokarzaniem i łajaniem przez Niemców, Holendrów, Francuzów i innych. Właśnie uroczyście oddaliśmy suwerenność pod rządy obcych państw – z uśmiechem, oprawą PR-ową i ku radości tych, którzy nigdy Polski nie mieli w sercu. Ale »Jeszcze Polska nie zginęła«, dopóki są tacy jak Pan. Widzimy już, że »przemysł pogardy« Pana dopadł i poniewiera. Zapewniamy, że razem z Panem będziemy wiernie stać na straży niepodległości Polski i zniesiemy każde upokorzenie. Dla naszej Ojczyzny i przyszłości dzieci – warto”.

Przepraszamy za ten przydługi cytat z Facebooka, ale nie wolno uronić ni słowa z modlitwy, którą europosłanka Beata Kempa wzniosła do partyjnego zwierzchnika.

W średniowieczu takim spiczem mogłaby się popisać Joanna d’Arc tuż przed spłonięciem na stosie. Ale Ziobrę musiałby zastąpić w tej przemowie Bóg wszechmogący, a Niemców, Holendrów, Francuzów i innych – inni, czyli Anglicy, którzy Dziewicę Orleańską rozkazali spalić. Z oczywistych przyczyn nie mogłoby być ani słowa o dzieciach i macierzyństwie.

W epoce kamiennej jakaś ówczesna Kempa z przepaską na biodrach, zobaczywszy błyskawicę na niebie, wbiegłaby do jaskini przerażona, padłaby na kolana przed lokalnym szamanem i by zawyła: – Nasza umpaumpa boi się dzika rumpa, a pan jest wielki umpafe i bardzo chce się jeść umpafefe, fefe, fe.

W czasach współczesnych mój znajomy – artysta hiphopowy i polityk szczebla samorządowego – ułożył kuplet:

„Oto dzida tępa,
imię Beata, nazwisko Kempa.
Rozum jak wata,
nazwisko Kempa, imię Beata”.

W przyszłości android, który będzie zastępował człowieka, żeby nie trudziło go realne życie, nic w imieniu Kempy nie napisze do Ziobry, bo Ziobro będzie skamieliną, a poza tym androidy będą tak zaprogramowane, żeby nie tracić energii na pisanie skończonych idiotyzmów. □

Wszystkich, którzy grożą, że przestaną czytać „NIE”, jeśli „Móżdżkiem Tygodnia” nie będzie wiceminister Janusz Kowalski, pragniemy uspokoić: przyjdzie na niego czas, jak zresztą na wszystkich Januszów. Na razie można o nim przeczytać na str. 9. Wesołych świąt.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poczet niepremierów Polskich

O jedno słowo za daleko.

Ze wszystkich osób zawodowo parających się w Polsce polityką – a łącznie z samorządowcami jest ich około 70 tysięcy – tylko dwie nie marzą o tym, żeby zostać premierem. Pierwsza to Jarosław Kaczyński, faktyczny szef całego tego interesu. Jemu wystarczy dekoracyjne „wice”. Drugą jest Mateusz Morawiecki, który akurat marzyć nie musi. Wszyscy pozostali śnią o tym, by pewnego dnia zasiąść w najważniejszym gabinecie w Alejach Ujazdowskich. A jest to myśl wyjątkowo głupia. W XXI-wiecznej historii Polski każdy, kto choćby ogłosił chęć zostania szefem rządu, lądował potłuczony w politycznym niebycie. Nie wierzycie? Posłuchajcie.

Premier z Krakowa

Od kiedy Szymon Hołownia pod koniec listopada oznajmił, że **„jest gotów i chciałby zostać premierem RP”,** śmiało można założyć, że jego kariera skończy się sromotną klęską – a Prezesem Rady Ministrów nigdy nie zostanie. Tym, który zapoczątkował XXI-wieczną klątwę niedoszłego premiera, był nie kto inny jak Jan Władysław Rokita, wówczas używający genderowego imienia Maria. Wybić się pozwoliła mu powołana za rządów SLD–UP komisja śledcza ds. afery Rywina. Rokita zyskał uznanie Polaków zafrasowaną miną, urokiem wady wymowy i nieprzejednanym maglowaniem świadków. Z mało znanego posła z Krakowa w kilka lat przeistoczył się w lidera swojej formacji. Na wyborczych plakatach w 2005 r. reklamował się najbuńczuczniej, jak tylko się da – jako **„Premier z Krakowa”.** Już rozdawał stołki w gabinecie członkom koalicji PO–PiS, której idea wydaje się dziś czymś niesłychanym, gdy na przeszkodzie stanęła rzecz błaha – przegrane wybory. PiS wyprzedziło w nich PO różnicą niecałych 3 proc. głosów. Gdy wkrótce później wybory prezydenckie wygrał Lech Kaczyński, przyszłość przestała malować się przed Rokitą różowo. Nie pomogły rozmowy ostatniej szansy w kurii biskupiej w Gdańsku, nie został nawet wicepremierem, gdyż idea POPiS-u poszła się jebać. Rozpoczął się za to długi zjazd Rokity – aż po wycofanie się z życia politycznego we wrześniu 2007 r., żeby ustąpić miejsca żonie Nelli. Ta potrafiła mówić biegle po niemiecku, rosyjsku i polsku – ale niestety we wszystkich językach naraz.

Rokita zaczął seryjnie przegrywać procesy (m.in. z byłym szefem PZU Grzegorzem Wieczerzakiem i byłym komendantem głównym policji Konradem Kornatowskim) i stał się politycznym nikim: wykładowcą jezuickiej uczelni oraz publicystą coraz mniej znaczących gazet. W 2009 r. przypomniał o sobie, błaźniąc się w samolocie Lufthansy próbą zawłaszczenia schowka i okrzykami **„Niemcy mnie biją!”.** Został skazany za to przez bawarski sąd na grzywnę, a w związku z jej niezapłaceniem – na 30 dni aresztu.

W 2013 r. został wyrzucony z PO za to, że od pięciu lat nie płacił składek. Podobno pozamykał konta w banku i wymeldował się z mieszkania, aby utrudnić pracę komornikom, ścigającym go za przegrane procesy. Żyje głównie z tego, co jego żona zarobi na wynajmie mieszkań odziedziczonych po ojcu w Niemczech. Według najnowszych doniesień Rokita bardzo zgorzkniał. Spaceruje po krakowskich Plantach i wciąż narzeka.

Premier z Biłgoraja

Gdy w grudniu 2009 r. Janusz Palikot, ówczesny wiceszef klubu Platformy Obywatelskiej, wizytował wsie Lubelszczyzny, obiecywał rolnikom, że gdy tylko zostanie szefem rządu, rozwiąże ich problemy.

„Marzę o tym, by być premierem. Pracuję nad tym, prowadzę komisję „Przyjazne państwo”, spotykam się z wyborcami i zmieniam swój wizerunek (…). Każdy polityk, jeśli uczciwie stawia sprawę, chce być premierem” – tłumaczył „Rzeczpospolitej”.

Rok później Palikota w Platformie już nie było. Założył własną partię i to z jej ramienia chciał starać się o stanowisko szefa rządu. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 2012 r. twierdził, że jego ambicją jest wygrać wybory parlamentarne, zostać premierem i dokonać korekty kapitalizmu. Stało się jednak odwrotnie i korekta spotkała Palikota. Po początkowych sukcesach (trzecie miejsce w wyborach parlamentarnych w 2011 r.) w wyborach prezydenckich w roku 2015 miał całe 1,42 proc. poparcia, a w kolejnych parlamentarnych nie przekroczył progu pod rękę z SLD. Pożegnał się z polityką w grudniu 2017 r.

„Odchodzę, aby ktoś nowy odegrał właściwą rolę” – tłumaczył i dodał, że każe mu tak postąpić **„odpowiedzialność za kraj”.**

Zajął się tym, na czym zna się najlepiej – produkcją gorzały, gdyż ta w przeciwieństwie do polityków zawsze ma wzięcie.

Premier z Paczkowa

Kolejnym po Palikocie buntownikiem na scenie politycznej okazał się wkrótce Paweł Kukiz. Rokendrolowiec wąchał się z władzą już wcześniej: w 2005 r. poparł kandydaturę Tuska na prezydenta, a w 2010 r. – dla odmiany Marka Jurka. Przytulił się następnie do narodowców, antyaborcjonistów i przeciwników LGBT, aby w 2015 r. lekko od nich odskoczyć i uzyskać świetne trzecie miejsce w wyborach prezydenckich. Szło mu dobrze, dopóki nie dopadła go klątwa. Jej formułę wygłosił 3 czerwca 2015 r. w Radiu Zet, gdy zawyrokował: **„Będę premierem z koalicyjnym wicepremierem”.** Na jego obronę trzeba dodać, że dopowiedział przy okazji: **„Nie chcę, ale muszę”** oraz zaznaczył, że być może zostanie „wice”. Na fali sukcesu Kukiz wprowadził swoje ugrupowanie do Sejmu również z trzecim wynikiem. I wtedy zaczęły się kłopoty. Zbieranina posłów była egzotyczna: od rapera Liroya przez ojca Mateusza Morawieckiego Kor-

eprasa.pl 67bea7921d

nela po narodowca Roberta Winnickiego. Szybko zaczęli się oni od Kukiza odcinać i zakładać własne koła i kółka. Głównym postulatem Kukiza była chęć przemeblowania sceny politycznej przez wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. O co w nich chodzi, to rozumieją tylko ludzie z doktoratem. Dowodem czego frekwencja wynosząca 7,8 proc. podczas zorganizowanego przez prezydenta Komorowskiego referendum z 2015 r. dotyczącego m.in. JOW-ów. Zabawa ta kosztowała 70 mln zł, a Komorowskiemu nie uratowała skóry.

Po utracie głównego postulatu Kukiz zaczął się miotać. Odchodzili od niego kolejni działacze. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. ugrupowanie nie przekroczyło nawet progu. Rok później, aby ratować poślady, Kukiz zawiązał Koalicję Polską z PSL. Związek antysystemowej partii z najbardziej systemową partią w dziejach, która przetrwałaby na posadach nawet wojnę jądrową, był dla wyborców całkowicie niezrozumiały. To tak, jak gdyby Rolling Stonesi wzięli sobie na *groupies* siewców rzepaku. Koalicja dorobiła się przez to nawet złośliwych określeń, takich jak **„Rolnik Stones”.**

Przyszły premier Kukiz co prawda dostał się dzięki temu zabiegowi do Sejmu, ale w tym zostało mu ledwie kilkoro wiernych współpracowników. Niecały miesiąc temu PSL zdecydowało o zakończeniu współpracy z Kukizem z powodu różnic wewnątrzkoalicyjnych. Rokendrolowiec już nie tyle nie chce, ile nie może.

Premier z Wrocławia

Oprócz Kukiza kolejnym cudownym dzieckiem polskiej polityki okazać miał się Ryszard Petru. Ten polski Kennedy menedżerem został zapewne już w przedszkolu, do którego na pewno chodził w garniturze. Pierwsze polityczne szlify Petru zdobywał przy Leszku Balcerowiczu. Gdy ten był ministrem finansów za rządów AWS–UW, Ryszard mu doradzał. Niestety sam sobie nie doradził niestartowania w wyborach parlamentarnych w 2001 r., które sromotnie przegrał. Polska była jednak dla umysłu Petru za mała, został więc ekonomistą w Banku Światowym. Potem trafił do biznesu, gdzie wspomagał cennymi radami m.in. Polskie Koleje Państwowe.

W 2015 r. Petru postanowił wejść do polityki z grubej rury – utworzył fundację, a następnie partię Nowoczesna Ryszarda Petru. Szło mu świetnie, dopóki – co chyba oczywiste – nie wygłosił treści klątwy. Pierwszy raz o byciu premierem Petru wspomniał w 2016 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: **„Chcę być premierem, bo to rząd może zmieniać kraj”.** No i zaczął się zjazd. 31 grudnia 2016 r. Petru został przyłapany w samolocie lecącym na Maderę, mimo że obiecywał brać udział w opozycyjnej okupacji sali plenarnej Sejmu. Na domiar złego Ryszardowi towarzyszyła Joanna Schmidt, posłanka partii, co wzmogło plotki o ich romansie. Ruszyła lawina zawodowo-prywatna, którą Ryszard próbował zatrzymać w najgorszy możliwy sposób. **„Chcę zostać premierem. Jak zostanę premierem, to uporządkuję sprawy w Polsce na każdej płaszczyźnie”** – obiecywał w listopadzie 2017 r. w „Rzeczpospolitej”. 3 dni później nie rządził już nawet w ugrupowaniu własnego imienia. Przegrał wybory z Katarzyną Lubnauer. To nie przeszkodziło jednak Ryszardowi w zaklinaniu rzeczywistości. W 2018 r. w wywiadzie dla „Faktu” przyznał, że wcale nie zrezygnował z ambicji zostania premierem. Pomóc miały mu w tym kolejne ugrupowania: Plan Petru oraz Teraz!. Z obu tworów nic nie wyszło.

W kwietniu 2019 r. – znów w rozmowie z „Rzeczpospolitą” – przyznał, że chce zostać premierem, ale od tego celu jest **„trochę dalej, niż był”.** 2 miesiące później ogłosił trwałe rozstanie z polityką i powrót do biznesu, gdzie dziś dzieli się swoimi cennymi ekonomicznymi radami. Nowoczesna została z długami wynoszącymi ok. 2 mln zł, a złośliwi mówią, że duch Petru straszy nocami w pustym Sejmie, gdzie powtarza pewnym siebie głosem: „Będę premierem, będę premierem”.

Premier z Rymanowa

Kolejną – i na pewno nie ostatnią – ofiarą klątwy niedoszłego premiera został Robert Biedroń. Cudowne dziecko lewicy na szersze wody wypłynęło za innego niedoszłego premiera – Janusza Palikota. Dwóch premierów na jedną partię to było za dużo i Biedroń postanowił zostać prezydentem. Na razie Słupska i w 2014 r., ale zawsze… Sztuka ta mu się udała i z powodzeniem przezimował na stanowisku do 2018 r., gdy oznajmił powołanie partii Wiosna.

„Będę robił wszystko, by zostać premierem. Interesuje mnie realna władza, to premier może przygotować tak państwo, by się żyło w 2018 roku, nie w średniowieczu jak dzisiaj” – oświadczył w grudniu ówczesnego roku. No i – co oczywiste – zaczął długą drogę w dół. Biedroniowi zaczęto wypominać, że obiecał zrzec się mandatu po wygranych wyborach do Parlamentu Europejskiego, czego nie uczynił. Zamiast startować w wyborach parlamentarnych samodzielnie, postanowił pójść do nich z list SLD w porozumieniu z partią Razem.

„Chcę być i będę premierem (…). Wiosna będzie nasza i jesień będzie nasza” – zapowiadał na antenie TVN 24.

I o ile Wiośnie udało się wprowadzić do parlamentu 19 posłów i jedną senatorkę, o tyle już w styczniu 2019 r. Biedroń dostał nóż w plecy. Choć w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” obiecywał wówczas: **„Ja będę premierem, tylko premier może podejmować decyzje”,** to koledzy z koalicji mieli co do niego inne plany. Pragnęli, by wystartował w wyborach prezydenckich. Próba zrzucenia ciężaru na barki jego partnera Krzysztofa Śmiszka się nie powiodła i Biedroń musiał stanąć do walki. Ta po mizernej kampanii, na którą SLD skąpiło grosza, skończyła się klęską: Biedroń uzyskał 2,22 proc., o 0,16 proc. mniej niż 5 lat wcześniej Magdalena Ogórek. Od tamtej pory Biedronia w mediach jest mniej. Skupia się na siedzeniu w Brukseli i już nie wspomina o rychłym przewodzeniu Radzie Ministrów. Jego miejsce świeżego antysystemowego polityka z ludu zajął Szymon Hołownia. Który – jak wspomniałem na początku – właśnie ogłosił, że **„jest gotów i chciałby zostać premierem”.**

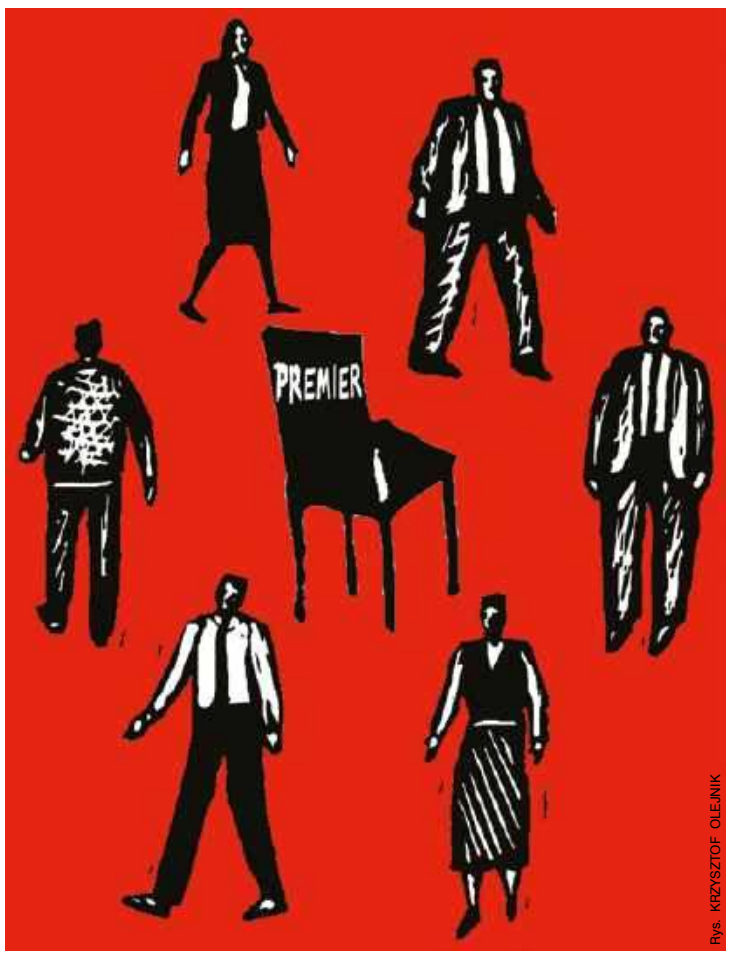

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Premier znikąd

Obserwatorzy sceny politycznej zaraz zaczną wytykać, że narracja o klątwie ciążącej nad chętnymi na fotel szefa rządu jest fałszywa. Mylą się. Premierami w XXI w. zostawali w Polsce głównie ci, którzy nigdy tego nie zapowiadali. Od Marka Belki poczynając, który gdy już z oporami szefem rady ministrów został, ze stanowiska próbował uciec: w maju 2005 r. chciał wcześniejszych wyborów i złożył dymisję, której nie przyjął prezydent.

Następni, tacy jak Kazimierz Marcinkiewicz, Ewa Kopacz, Beata Szydło czy Mateusz Morawiecki, nigdy nawet publicznie nie pisnęli, że mają ambicje bycia premierami – a spotkał ich ten zaszczyt.

Jarosław Kaczyński premierem w 2006 r. zostawał niechętnie, bo musiał ogarniać brudy w koalicji z Giertychem i Lepperem. Co skończyło się klęską po lekko ponad roku rządów i ośmioma latami w opozycji.

Jedynym, który wywinął się z tego schematu, wydaje się Donald Tusk – otwarcie stanął do walki o fotel premiera w 2007 r. i zajmował to stanowisko 2 razy z rzędu. Ale i na to mam wytłumaczenie. W jego przypadku klątwa nie zadziałała, gdyż wypierdolił się już gdzie indziej – startując w 2005 r. u boku „premiera” Rokity na urząd głowy państwa i reklamując się buńczucznie jako **„Prezydent z Sopotu”.** Prezydentem wtedy oczywiście nie został. A cena, jaką zapłacił za własne premierostwo, jest na tyle duża, że choć zrobił karierę europejską, w kraju zużył się doszczętnie. Czego świadectwem jest fakt, że bardziej niechętni jego powrotowi są dziś członkowie PO niż PiS.

Politolodzy twierdzą, że ogłaszanie się kandydatem na premiera ma w niektórych sytuacjach wymiar praktyczny i służy pokazaniu swojej pozycji nie wyborcom, ale członkom własnych ugrupowań. Lecz czy Rokita musiał coś w 2005 r. udowadniać? Albo założyciele własnych partii Palikot, Kukiz, Petru czy Hołownia? Ja

jestem gotów objąć sułtanat w Brunei, majątek po Billu Gatesie i żeby mi jeszcze Doda usiadła na mordzie – ale po co o tym gadać?

Na podstawie tej analizy możemy więc być przekonani, że ci, którzy ogłaszają się w Polsce przyszłymi premierami, z wielkim prawdopodobieństwem nigdy nimi nie zostaną.

MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

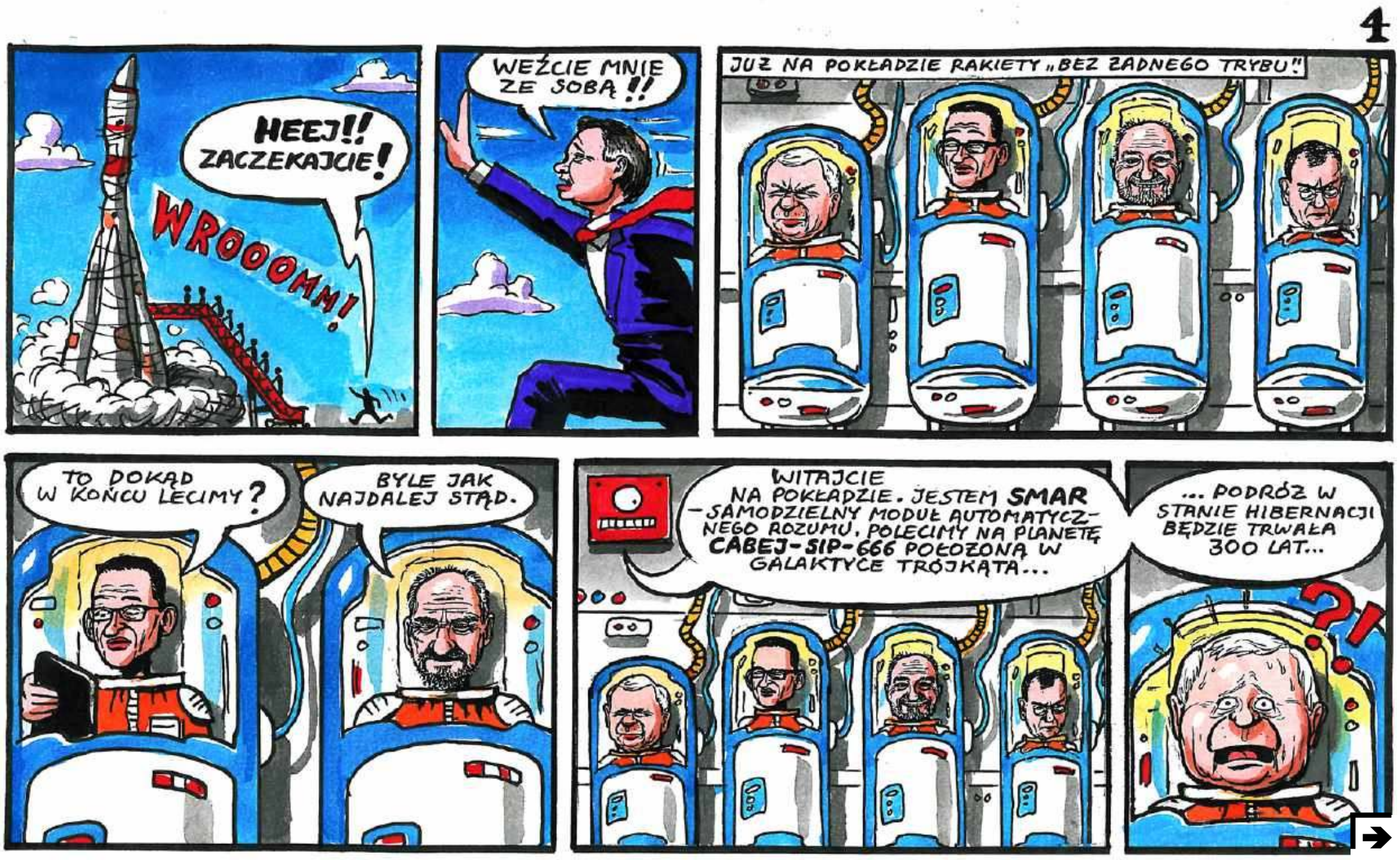

eprasa.pl 67bea7921d

Męczeństwo Joanny Scheuring-Wielgus

Lewica sztywniaków.

Gdy od nieocenionego nadkomisarza Marczaka, uważającego, że **„policji nigdy nie jest za dużo”** (jak policja ma takich rzeczników, hejterzy są już niepotrzebni), usłyszałam, że zatrzymana została 78-letnia kobieta, zatarłam rączki mojej pulchnej duszy. Psom odbija tak, że wiążą staruszki. Cudo. Na pewno to któraś z bojowych „Polskich babć”: cudownych starszych pań demonstrujących pod tęczową flagą z hasłem „Siła bezsilnych”. Czy można sobie wyobrazić lepszy dowód na to, że mentowni odjebało?

• • •

Atoli okazało się, że chodzi o kryminalistkę, która zaatakowała posłankę Joannę Scheuring-Wielgus. Torebką.

Taki tytuł ma informacja w „Wysokich Obcasach” – feministycznym dodatku do „Gazety Wyborczej” – obecnie przyozdabiającym swe logo błyskawicą Strajku Kobiet: **„Posłanka Scheuring-Wielgus zaatakowana na proteście w Warszawie”.**

Czytamy dramatyczną relację posłanki: **„Stanęłam, żeby zrobić zdjęcie kordonu policji, i w pewnym momencie ktoś mocno uderzył mnie z tyłu w plecy. Wyraźnie poczułam, że uderzono mnie jakimś przedmiotem. Odwróciłam się i okazało się, że zaatakowała mnie starsza pani. Torebką”.** Dalej posłanka opowiada, jak **„wszelkie próby podjęcia dyskusji”** z niebezpieczną staruszką **„spełzły na niczym”. „Dowiedziałam się tylko, że jestem komunistką, że źle zachowujemy się na ulicach i że to wszystko, co się dzieje, to moja wina”** – sprawozdaje gazeta.

„Scheuring-Wielgus zdecydowała się poprosić o pomoc policję, która spisała kobietę. – Stwierdziłam, że tak tego nie zostawię i złożę zawiadomienie, bo uważam, że nie można takich sytuacji zostawiać bez odpowiedzi. Nie można bezkarnie bić ludzi na ulicach – podkreśla posłanka”.

„Bić ludzi”? Serio?!

Bycie posłem – oraz posłanką – daje wiele przywilejów. Można wymachiwać legitymacją przed nosem policji, a gdy dostanie się gazem w twarz, usłyszy o tym cała Polska – podczas gdy zwykli obywatele są gazowani bez rozgłosu. Można stanąć twardym szeregiem nad głową prezesa Kaczyńskiego i patrzeć, jak umyka za mur rosłych młodzieńców ze Straży Marszałkowskiej – podczas gdy zwykłych obywateli nawet od chodnika przed płotem posesji prezesa oddzielają 82 wozy policyjne. A gdy prezes wyjdzie na trybunę bez żadnego trybu, można wygłaszać szydercze komentarze, które usłyszy – podczas gdy zwykły obywatel może swoje uwagi umieścić najwyżej w internecie, którego Kaczyński w życiu na oczy nie widział.

Ale z prawami wiążą się też obowiązki. Jednym z nich jest obowiązek znoszenia krytyki.

Mam pytania:

Czy posłanka Scheuring-Wielgus doznała torebkowej kontuzji? Czy agresywna staruszka wyrządziła jej torebką uszczerbek na zdrowiu? Czy też waląc ją torebką po plecach i wyzywając od komunistek, moherowa obrończyni prezesa naruszyła zaledwie jej poselską cześć?

W przełomowym wyroku w sprawie Oberschlick przeciwko Austrii z 1991 r. trybunał w Strasburgu uznał, że obywatel ma prawo nazwać polityka idiotą, albowiem ramy dopuszczalnej krytyki są szersze wobec polityków niż wobec osób prywatnych. To istotny wyrok – zwłaszcza jeśli żyje się w kraju, w którym politycy uważają, że należy im się szczególna ochrona czci.

Gdyby zwykła obywatelka na demonstracji dostała torebką po plerach od staruszki z przeciwnej strony barykady, to czy oczekiwałaby od policji ścigania tego bestialstwa? Czy też może zbyłaby to śmiechem – albowiem niewiele jest rzeczy równie śmiesznych jak rozsierdzona 80-latka uciekająca się do przemocy fizycznej?

• • •

Wiem, że to seksizm i ageizm w jednym – ale przemoc jest dla silnych. Gdyby posłance Scheuring-Wielgus przywaliło od tyłu 120 kilo sterydowego mięsa w kształcie kibola Legii, wniosek o ściganie byłby jak najbardziej zasadny. Ale jeśli agresorka nie jest emerytowaną mistrzynią MMA, to każda reakcja poza pobłażliwym uśmiechem ośmiesza reagującą.

Brak dystansu do siebie – a także poczucia humoru – jest straszliwym grzechem Nowej Lewicy. Ta smutna prawda rzuciła mi się w oczy, gdy lewicowy poseł Maciej Kopiec i Hanna Gill-Piątek, obecnie od Hołowni, postanowili złożyć doniesienia do komisji etyki, a także do prokuratury, po tym jak Janusz Korwin-Mikke w ramach wyzwania #Hot16Challenge2 wykonał rap własnej kompozycji z frazą **„pieprzeni socjaliści mają wisieć zamiast liści”.**

„Są granice dobrej zabawy. Nie ma zgody na jawne podżeganie do zabójstwa czy aktów przemocy. Tak zginęli Gabriel Narutowicz, Paweł Adamowicz czy Marek Rosiak” – lamentowała Gill-Piątek, a Kopiec z dumą powiesił na Twitterze wniosek: **„W związku z rażącym naruszeniem zasad etyki poselskiej przez posła Konfederacji pana Janusza Korwina-Mikke zwracam się do wysokiej komisji z prośbą o podjęcie regulaminowych działań prowadzących do właściwej oceny występku pana posła. Poseł Konfederacji zwraca się do słuchaczy i kilkukrotnie zapewnia ich, że osoby o odmiennych poglądach politycznych i gospodarczych zasługują na śmierć”.**

• • •

Szczęśliwie Gill-Piątek przeszła do Hołowni i teraz niech on się martwi jej nabzdyczonym poczuciem ważności. Ale Kopiec nadal jest posłem Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego Lewicy – co więcej w wieku 29 lat jest najmłodszym posłem w tym klubie i jednym z młodszych posłów obecnej kadencji. Tym bardziej należałoby się spodziewać, że wyczuje klimat młodzieży i zrozumie, że beka jest ważniejsza od poczucia urażonej godności. Podobnie jak powinna to rozumieć Scheuring-Wielgus, która z wykształcenia jest socjologiem, a z zawodu specjalistką od PR.

Kłopot polega na tym, że w przypadku większości dzisiejszych polityków – ze wszystkich stron barykady, ale szczególnie mnie interesuje opozycja – godność jest jedynym dobrem, którego mają w nadmiarze. W odróżnieniu od dystansu, poczucia humoru i inteligencji. Dokładnie odwrotnie niż tysiące ludzi, którzy od sześciu tygodni wychodzą na ulicę. Dlatego żaden polityk prowadzący sam siebie pod rękę nie zostanie twarzą tych protestów.

A szkoda, bo władza nad antyrządową duszą faktycznie leży na ulicy.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

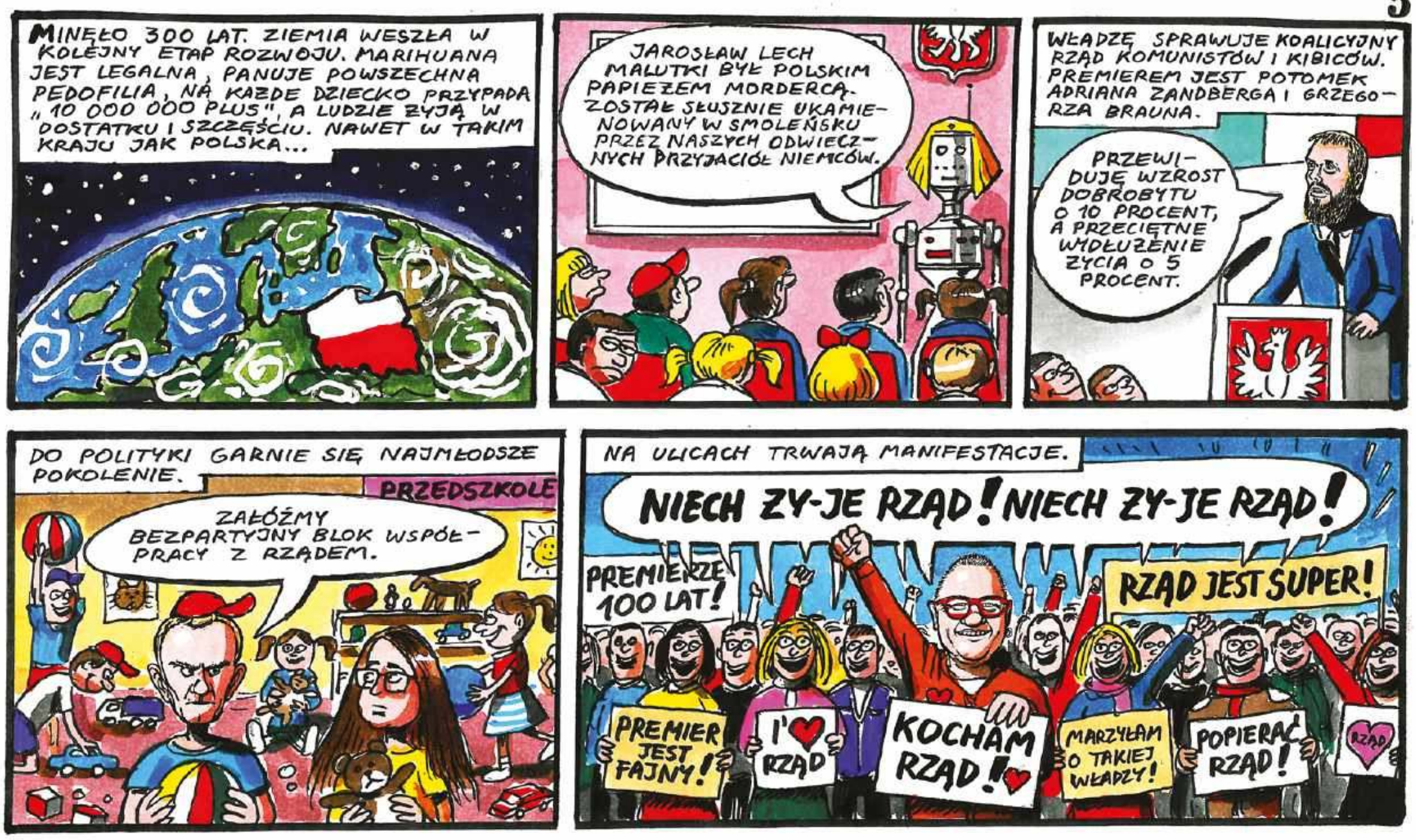

eprasa.pl 67bea7921d

Ballada o Januszku

Janusz Kowalski, sekretarz stanu w Ministerstwie Aktywów Państwowych i poseł Solidarnej Polski, czyli jasna gwiazda oszołomów.

Jest go wszędzie pełno, zabiera głos na każdy temat, przechwala się swoimi dokonaniami, wciskając ciemnemu ludowi opowieści z mchu i paproci, poucza, kreuje się na państwowca, prawdziwego patriotę, pogromcę lewactwa, LGTB i brukselskich elit. Po deklaracji **„weto albo śmierć”** w sprawie unijnego budżetu wielu obserwatorów sceny politycznej przyklasnęło z radości, że popełni spektakularne seppuku. Zamiast tego zamieścił na Twitterze 3 kropki, co można było odczytać jak pierdnięcie.

Polemista. Januszka (jak pieszczotliwie jest nazywany) poznałem w 1998 r. On był szefem Młodych Konserwatystów, młodzieżowej przybudówki Akcji Wyborczej Solidarność w Opolu, ja studiowałem na miejscowym uniwerku i działałem we frakcji młodych Socjaldemokracji Rzeczpospolitej Polskiej. Internet dopiero raczkował, nie było Facebooka ani Twittera. Napierdalaliśmy się *face to face* na debacie z udziałem licznej publiczności i mediów w formule trzech prawaków kontra trzech lewaków.

Januszek był już wtedy ostry jak brzytwa. Ponieważ nikt jeszcze nie słyszał o LGTB, a Unia Europejska nie czyhała na polską suwerenność, wojował z komuną i postkomuną, które czaiły się we wszystkich dziedzinach życia społeczno-gospodarczego. Uważał się za kogoś lepszego od nas, młodych lewicowców, gdyż miał patriotyczne korzenie. Przechwalał się, że jego ojciec był chrześniakiem marszałka Rydza-Śmigłego, a dziadek walczył w Pierwszej Brygadzie. Gdy po debacie zapytałem go, czy rzeczywiście wierzy we wszechobecną postkomunę, czy tylko świruje, spojrzał na mnie groźnie przeszywającym wzrokiem.

Bojownik. Ponieważ Kowalski na niczym innym się nie znał, jak tylko na napieprzaniu w czerwonych (jego głównym postulatem było wprowadzenie ustawy dekomunizacyjnej), dymił na ulicach. Walczył o ściągnięcie tablicy poświęconej PPR ze szkoły, przed siedzibą Sojuszu Lewicy Demokratycznej czcił pamięć ofiar stanu wojennego, obciążając polityków lewicy za zbrodnie PRL, zakłócał uroczystości 1-majowe i konferencje polityków SLD, organizował akcje plakatowe przeciwko prezydentowi Kwaśniewskiemu.

Jak przystało na prawdziwego ideowca, zaliczył kilka partii: Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe, Przymierze Prawicy, PiS, Platformę Obywatelską, znowu PiS i wreszcie Solidarną Polskę. Wszędzie robił gnój, skłócał się z ludźmi, którzy oddychali z ulgą, gdy odchodził albo był wyrzucany. Aby pozbyć się Januszka z partii, rozwiązano struktury lokalne PiS w Opolu.

„Według naszej oceny sytuacja jest taka: mamy jednego zdolnego młodego człowieka, ale o niezwykle impulsywnym charakterze, konfliktowego. A my chcemy, żeby PiS był partią ludzi w miarę kulturalnych” – mówił o Kowalskim Lech Kaczyński.

Był rok 2005 r. Januszek był radnym miejskim, przewodził stowarzyszeniu Stop Korupcji, a że zbliżały się wybory parlamentarne, myślał o załapaniu się na Wiejską. Zaczął spółkować z Platformą Obywatelską. Jego idolem został Donald Tusk. Kandydował do Sejmu, a głównym motywem kampanii była walka z korupcją i układami. Poparcia udzielił mu Jan Rokita, który w spocie wyborczym twierdził, że **„Kowalski to niezwykły przypadek człowieka, który sam jeden potrafił wykryć i odsunąć od władzy skorumpowaną mafię Opola”** (w rzeczywistości aferę w ratuszu wykryła i opisała „Nowa Trybuna Opolska”; wcześniej o nieprawidłowościach informowali opozycyjni radni).

Specjalista. Posłem jednak Kowalski nie został. W kampanii samorządowej wspierał popieranego przez PO Ryszarda Zembaczyńskiego, który walczył o reelekcję na prezydenta Opola. Podobno Januszek miał obiecany fotel zastępcy, ale przeszedł mu koło nosa. Obrażony zapowiedział definitywny rozbrat z polityką.

Choć w jednym z wywiadów Kowalski deklarował, że **„odrzuca styl uprawiania polityki z lat nomenklatury i PRL-u”**, a **„w tym sensie moimi politycznymi wrogami są nie tylko starzy komuniści, ale i te młode eseldowskie wilczki (…) i inni spadkobiercy dawnej polityki wykorzystujący władzę do jednego celu – poszerzenia własnego majątku”**, to szybko o tym zapomniał.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przeprosił się z PiS. Wyruszył na podbój stolicy. Dostał fuchy w radach nadzorczych spółek Investgas i Operator Logistyczny Paliw Płynnych, a na dokładkę posadę **„starszego specjalisty”** w Departamencie Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii Ministerstwa Gospodarki. Znajomi zachodzili w głowę, jak to możliwe, że Januszek został nagle fachowcem od bezpieczeństwa energetycznego, skoro nigdy nie zajmował się tą tematyką. Kariery nie zrobił, gdyż PiS szybko straciło władzę. Prasa tak opisała działalność departamentu, w którym pracował Kowalski, departamentu, który po kilkunastu miesiącach rozwiązał się sam: **„Ludzie zrezygnowali z pracy, bo nikt niczego od nich nie chciał i mieli dość przychodzenia do pracy, aby tylko przeczytać gazety i wypić kawę”.**

Nieważne, że Kowalski nie był tym, za kogo się podawał. Ważne, że miał już mocne CV. Podbił je jeszcze krótką pracą w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego u prezydenta Kaczyńskiego jako **„główny specjalista”** w Zespole ds. Bezpieczeństwa Energetycznego. I tak w ciągu kilkunastu miesięcy chłopak znikąd został w Warszawie fachowcem wysokiej klasy. Potem poszedł na swoje, ale interes kręcił się kiepsko.

Milioner. Karta się odwróciła w 2014 r. Kowalski wspólnie z Patrykiem Jakim wylansowali (organizując i prowadząc kampanię wyborczą) Arkadiusza Wiśniewskiego na prezydenta Opola, za co w podzięce dostał stołek wicka. Długo się nie narządził, bo gdy PiS objęło władzę, uznał, że pora iść w biznes. Został prokurentem, a potem wiceprezesem Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa, następnie wiceprezesem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, był członkiem rad nadzorczych firm: KGHM, Gas-Trading, System Gazociągów Tranzytowych EuRoPol Gaz i Poczta Polska. W ciągu czterech lat na państwowych posadach zbił prawdziwy majątek – prawie 2,5 mln zł – i mając czterdziestkę na karku, znalazł się w elitarnym klubie milionerów PiS, ludzi, którzy dzięki partyjnym układom dostali dobrze płatne stanowiska w spółkach skarbu państwa.

Ponad pieniądze Kowalski kocha jednak władzę. W 2019 r. zrobił niespotykaną woltę. Porzucił biznes i wystartował w wyborach do Sejmu.

Jest wiceministrem aktywów państwowych. Jeszcze jest...

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

TRYBUNA LUDZI

Czego życzycie Polsce w 2021 roku?

Facebook

Konrad Nawojski: Żeby w tych szczepionkach serio były chipy i ktoś mógł zagłosować za wyborców PiS-u.
Anna Koral: „Że jak ktoś powie »weto albo śmierć«, to żeby dotrzymywał słowa” – Zosia, lat 5.
Tymon Pieńkos: Rozbiorów.
Emilia Buda: Upadku.
Konrad Ostrowski: Wolę nie pisać, bo pisowcy przeczytają i zrobią na przekór…
Franz Makamele: Przypuszczam, że połowa życzeń może być w rodzaju wybuchu gazu na Nowogrodzkiej podczas zebrania partyjnego.
Mateusz Chmura: Żeby się emerytowany zbawca narodu poślizgnął na skórce od miękiszona. Skutecznie.
Paweł Kaźmierczak: Zdrowia nie będzie, bo COVID; pieniędzy nie będzie, bo lockdown; spokoju też nie będzie, bo rząd. To niech chociaż spirytusu całego na dezynfekcję nie przeznaczą.
Przemysław Cukierski: Żeby nie zrobiła ani kroku wstecz, jak Zbigniew Ziobro.
Maciek Rogala: Żeby upadła i ten głupi ryj rozbiła.
Mikołaj Buc: Niech Polska wypowie wojnę Czechom… a chwilę później się podda.
Lech Zarzycki: Aby był dla niej lepszy niż 2ziobro2ziobro.
Piotrek Pop: Zdrowia, zdrowia i jeszcze raz ***** ***.
Jakub Gałyga: Żeby działała tak dobrze jak „Cyberpunk” na konsolach.
Paweł Woś: Żeby dykty nie były takie ciężkie i żeby kanalizacja na Orlenie wyrabiała.
Marek Marek: Żeby Pietrzak przestał śpiewać „Żeby Polska była Polską”.
Ania Justyńska: Aby Bill Gates kierował moim życiem, bo ostatnio coś nie wychodzi.

Forum

stary praktyk: Na poważnie natomiast, bym dożył momentu, gdy będą przynajmniej część obecnej „ekipy” zamykać do pierdla.
Logik: Rok się jeszcze nie skończył. Do Sylwestra 2020 może się jeszcze wiele zmienić.
Komandor: Weto! Żadnego roku 2021!

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

eprasa.pl 67bea7921d

Jak zamykają się klawisze

Komendant Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej więzi podwładnych. Gdy sprawą zainteresował się tygodnik „NIE", komendant został odwołany ze stanowiska.

Z pisma majora Tomasza N., starszego wykładowcy Centralnego Ośrodka Szkolenia Służby Więziennej (COSSW) w Kulach, do generała Jacka Kitlińskiego, Dyrektora Generalnego Służby Więziennej: **„Zwracam się z prośbą o interwencję (…). Sprawa dotyczy bezprawnego zatrzymania mnie na terenie jednostki organizacyjnej Służby Więziennej, izolowania i ubezwłasnowolnienia, co ma związek z przekroczeniem uprawnień przez mojego przełożonego oraz działaniem odwetowym za zgłaszanie wobec niego nieprawidłowości".**

Przełożony to podpułkownik Dariusz Małolepszy, który dzięki Kitlińskiemu w styczniu 2020 r. został komendantem COSSW w Kulach. Funkcjonariusze dziwią się, dlaczego szef więziennictwa wybrał akurat Małolepszego na tak w końcu prestiżowe i odpowiedzialne stanowisko, skoro nie jest on naukowcem ani dydaktykiem, a przez większość prawie 30-letniej służby zajmował się ochroną przeciwpożarową. Widocznie w formacji, którą tak sprawnie jeszcze niedawno zarządzał Patryk Jaki, pozostało już tylko gaszenie pożarów.

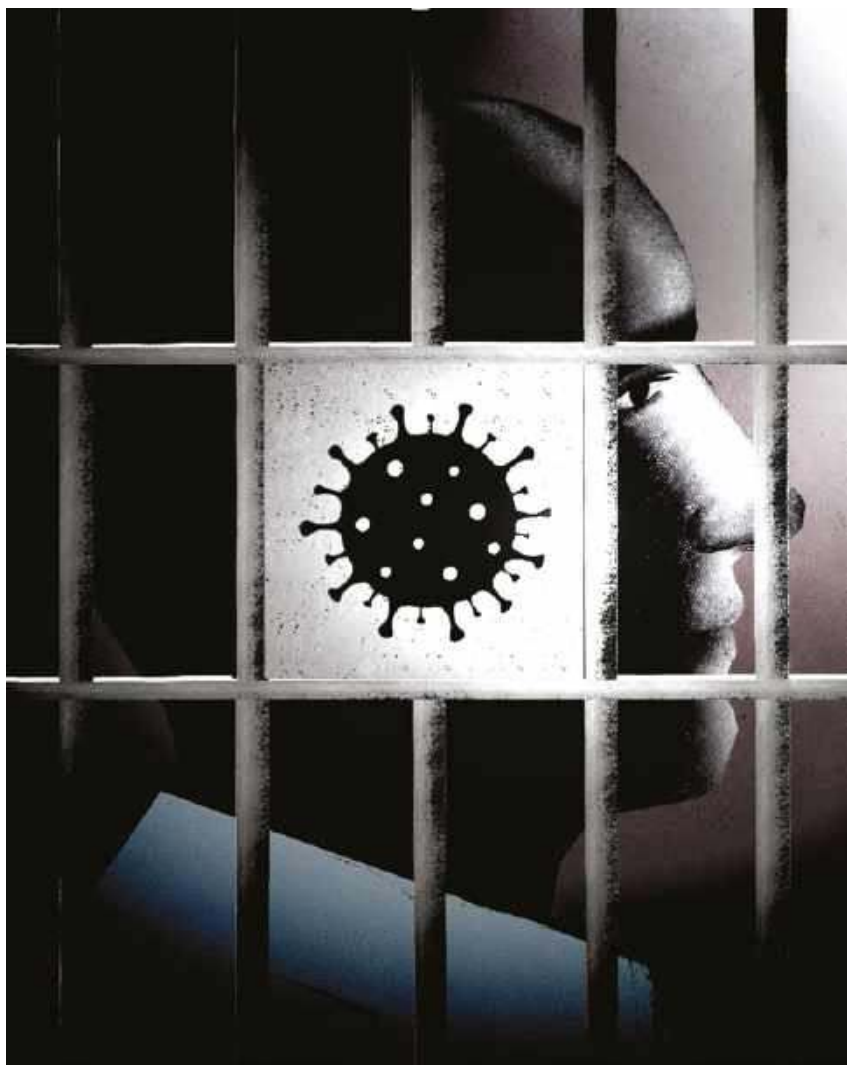

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Będąc po służbie i poza terenem COSSW, mjr N. dowiedział się, że miał kontakt z osobą, u której wykryto wirus SARS-CoV-2. Telefonicznie powiadomił o tym podoficera dyżurnego oraz bezpośredniego przełożonego. Ci powiadomili komendanta, który nakazał N. natychmiastowy powrót do COSSW. Rozkaz Małolepszego był co najmniej dziwny. N. mógł przecież siedzieć w domu, a przyjeżdżając do ośrodka pełnego ludzi, stwarzał zagrożenie epidemiologiczne. Każdy średnio rozgarnięty przedstawiciel *Homo sapiens* ma tego świadomość, ale nie komendant COSSW.

Gdy N. pojawił się na terenie ośrodka, pod pretekstem kwarantanny został „zaaresztowany" w jednym z pomieszczeń, choć tylko sanepid może nakładać takie obostrzenia. Małolepszy zażądał też odręcznie napisanej notatki służbowej. Major odmówił, argumentując, że koronawirus może przenosić się przez papier, a notatkę napisze na komputerze i prześle mailem, co też zrobił.

Po nocy spędzonej pod kluczem sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Komendant nadal żądał napisania odręcznej notatki,

mjr N. był coraz bardziej zdezorientowany bezprawnym pozbawieniem wolności, durnym żądaniem napisania odręcznej notatki i brakiem posiłku.

Sprawę rozwiązał dopiero sanepid, nakazując Małolepszemu natychmiastowe zwolnienie oficera, a ten opuścił miejsce odosobnienia następnego dnia w godzinach popołudniowych.

Po skardze wysłanej przez N. do gen. Kitlińskiego w COSSW pojawili się funkcjonariusze Biura Spraw Wewnętrznych (BSW) Centralnego Zarządu Służby Więziennej, wyspecjalizowanej jednostki do ścigania przestępstw wśród strażników więziennych. Z nieoficjalnych informacji wynika, że zajmują się nie tylko bezprawnym pozbawieniem wolności majora, ale także okolicznościami, w jakich komendant Małolepszy odbywał swoją kwarantannę.

Według moich ustaleń Małolepszy, „aresztując" majora, wziął odwet na podwładnym za to, że ten zbyt poważnie podchodził do swoich obowiązków. Otóż komendant powołał N. w skład specjalnego zespołu do spraw koordynacji działań podejmowanych w związku z zagrożeniem epidemiologicznym na terenie COSSW. Po skargach zgłoszonych przez pracowników COSSW major N. badał okoliczności odbywania ukrywanej przed współpracownikami kwarantanny przez Małolepszego. Ustalił, że komendant, będąc na odosobnieniu w domu (80 km od COSSW), rozkazał podwładnemu, aby przywoził mu dokumenty służbowe po godzinach pracy prywatnym samochodem. Takie kontakty z osobami postronnymi są złamaniem reżimu sanitarno-epidemiologicznego, za co grozi wysoka grzywna.

Wyjaśnienia wymaga też to, czy Małolepszy, który miał kontakt z innymi funkcjonariuszami i mógł przenosić koronawirusa, poinformował współpracowników, że udał się na kwarantannę. Wielu z nich nie wiedziało bowiem, co było powodem nieobecności komendanta w pracy. Odrębną kwestią jest to, czy przewożone dokumenty zgodnie z procedurami mogły być przetwarzane w domu komendanta i czy podwładny był upoważniony do wynoszenia ich poza COSSW, skoro obowiązki Małolepszego przejął jego zastępca. O zagrożeniu rozsiewania zarazy i swoich podejrzeniach mjr N. powiadomił sanepid i gen. Kitlińskiego.

Okazuje się, że Małolepszy „zaaresztował" nie tylko mjr. N. Bezprawnie wolności pozbawił też innego funkcjonariusza, od którego żądał poświadczenia nieprawdy w dokumentach. Strażnika pilnował kapitan P., szef „Solidarności" w COSSW w Kulach. Wyszła z tego bardzo nieprzyjemna sytuacja, bo „zaaresztowany" funkcjonariusz poczuł się na tyle źle, że został odwieziony do domu, a potem – w związku z rozstrojem zdrowia – trafił na długoterminowe zwolnienie lekarskie.

Wysłałem pytania do komendanta Małolepszego i generała Kitlińskiego. Panowie oficerowie nie zareagowali. Zamiast tego gen. Kitliński odwołał Małolepszego z funkcji komendanta. Przyjmuję taką odpowiedź i świetnie ją rozumiem.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

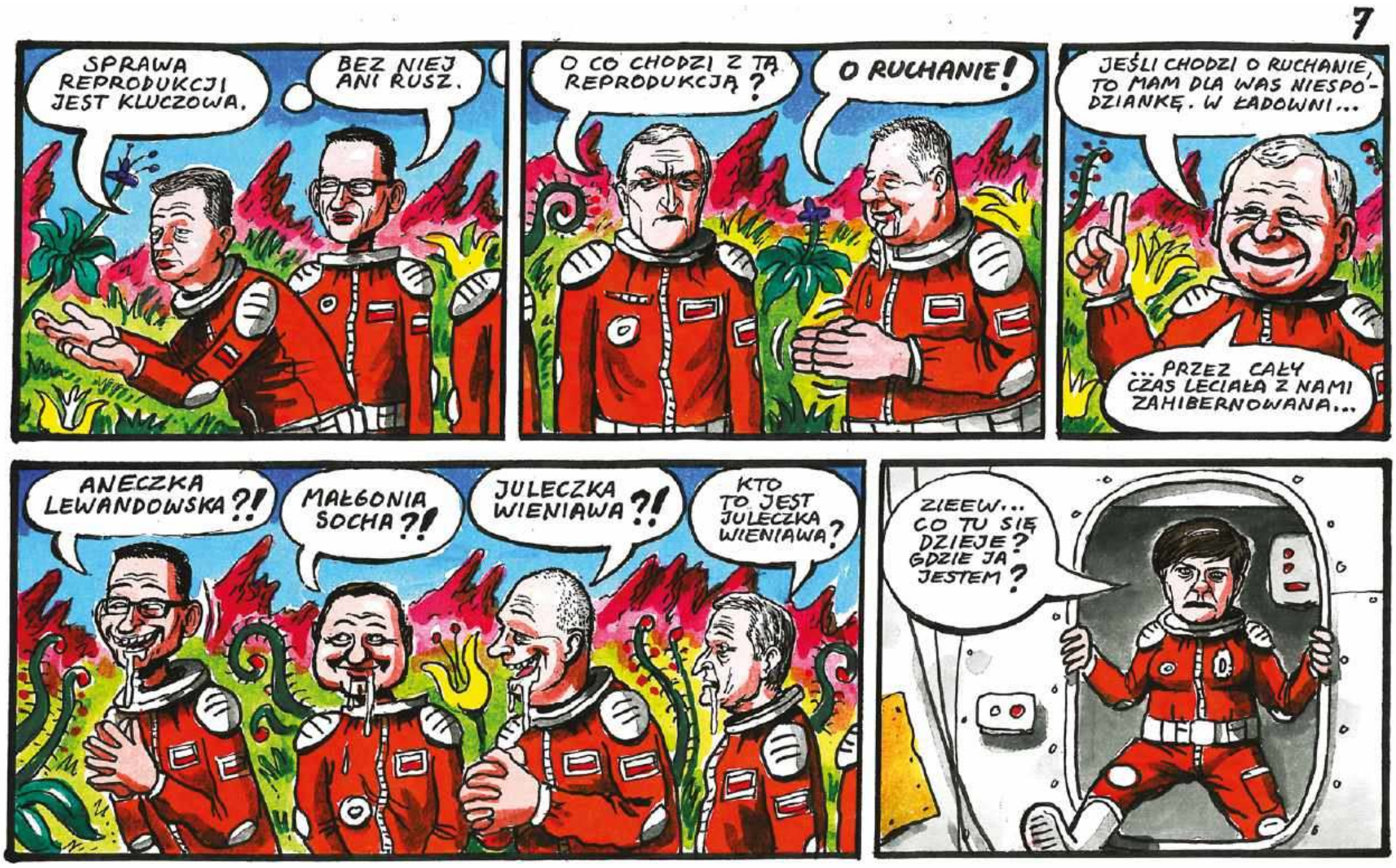

eprasa.pl 67bea7921d

Zabawa w chowanego

Triumf nabożnej godności czy pospolite przestępstwo.

Wzeszły weekend fundacja Nowy Nazaret poinformowała, że w jednej z podwarszawskich kaplic zorganizowała uroczystości pogrzebowe 640 ludzkich płodów. Nie symboliczne, ale prawdziwe – resztki małych ciałek miały zostać owinięte w pieluszki (dlaczego nie w garniturki i sukieneczki?), a następnie pogrzebane na cmentarzu parafialnym.

Co sił i koni pod maską popędziłem przyjrzeć się sprawie. No bo skąd wytrzasnąć 640 martwych płodów?

• • •

Doniesienia o pogrzebie, choć szybko rozeszły się po sieci, były w swojej wymowie lakoniczne. Oto anonimowy ks. Bartosz oznajmił na swoim facebookowym koncie: **„Przed chwilą razem z x. Mariuszem, na prośbę pani Marii Bienkiewicz z Fundacji Nowy Nazaret, odmówiliśmy modlitwy pogrzebowe nad ciałami 640 abortowanych dzieci. Po nocnym czuwaniu w kościele w Gończycach ich ciała zostaną złożone do grobu. Przed tą dzisiejszą uroczystością, przez całą noc, grupa osób każde z ciał tych dzieci przygotowała do pochówku – UBRAŁA W PIELUSZKĘ i złożyła w małej trumnie. Najwyższa pora, aby zacząć głośno mówić, że dzieciom poronionym i aborcjonowanym NALEŻY SIĘ GODNY POCHÓWEK. A nie jak dotychczas – spalenie razem ze szpitalnymi odpadkami!!! *In paradisum deducant vos angeli* („Niech do raju prowadzą was aniołowie” – przyp. M.M.). Uroczystość odbyła się w kaplicy domu pogrzebowego Exitus w Otwocku”.**

Do wpisu dołączono zdjęcia.

Wydarzenie rozgłosiła na Twitterze była działaczka Młodzieży Wszechpolskiej, a obecnie posłanka PiS Anna Maria Siarkowska. Napisała (pisownia oryginalna): **„Dzięki jednej z fundacji pogrzeb będą miały godny – spoczną w grobie, zamiast być spalone razem ze szpitalnymi odpadami. Btw. Od 22.10 w samym Szpitalu Bielańskim zabito już 26 dzieci. Jak długo to jeszcze potrwa?”.**

• • •

Żaden z dziennikarzy portalowych nie zadał sobie trudu, aby do pani Marii Bienkiewicz choćby zadzwonić. To, co od niej usłyszałem, tak zmierzwiło mi włosy, że chodzę w afro.

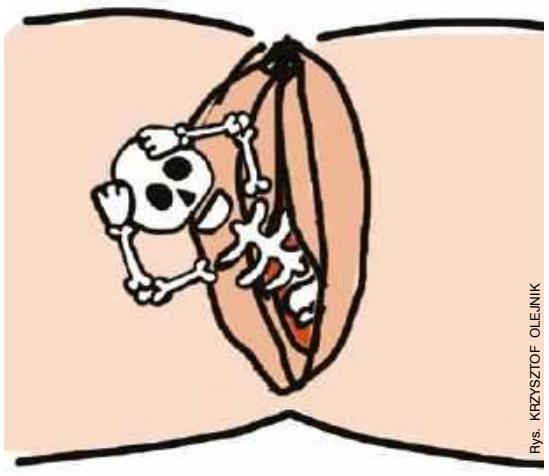

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Na początku rozmowy prezeska fundacji Nowy Nazaret wnikliwie dopytywała się, skąd telefonuję. Podałem imię, nazwisko, redakcję – i spodziewałem się jebnięcia słuchawką. Nie odłożyła…

Według słów pani prezes pozostałości zmarłych płodów (prosiła, aby w rozmowie z nią mówić **„dzieci nienarodzone”**) fundacja uzyskała z kilku szpitali, w tym z jednego – którego nazwy nie wymieni – jednorazowo aż 600. Żaden nie był szpitalem otwockim. Podwarszawskie rejony wybrała, bo dopiero tam udało jej się znaleźć odpowiednią kaplicę, miejsce na cmentarzu i dom pogrzebowy. Pierwotnie planowała uroczystości w Niepokalanowie, ale długo zwodził ją w tej sprawie kardynał Nycz, który uznał, że to jednak nie miejsce na takie rzeczy. W związku z tym płody przez 2 lata trzymane były w formalinie. Jak twierdzi pani Maria – w godnym miejscu.

Skąd wytrzasnąć można cudzy płód i jak trzymać go przez 2 lata? – słusznie zapytacie. Czy pozostałości po aborcjach (tych legalnie w 2019 r. wykonano w Polsce 1110) nie powinny być palone razem z obciętymi kończynami i wyciętymi kiszkami?

Formalnie – jak tłumaczy pani Maria, a ja jestem niewierzący – wszystko z jej punktu widzenia jest bez zarzutu. Zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia z 7 grudnia 2001 r. w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi za zwłoki uważa się ciała osób zmarłych i dzieci martwo urodzonych. Pani Maria zapewnia, że wszystkie 640 zwłok zdobyła ze szpitali legalnie i ma na to dokumenty. Można jej wierzyć. Polskie prawo teoretycznie zezwala na pochowanie szczątków ludzkich przez osoby trzecie. Ustawa o cmentarzach i chowaniu zmarłych dopuszcza, że jeżeli zmarłego nie pochowają małżonkowie lub najbliżsi krewni, to prawo pochowania zwłok przysługuje również osobom, które się do tego dobrowolnie zobowiążą. Z tego przepisu korzysta fundacja Nowy Nazaret.

• • •

Pojawia się jednak kilka „ale”. Po pierwsze w niektórych szpitalach z rozpędu czy lenistwa nie traktuje się centymetrowej zygoty, która poza szpitalem niejednokrotnie kończy żywot w kanalizacji, za człowieka, lecz za odpad medyczny. Tak jest szybciej i mniej biurokratycznie. Prezeska fundacji upatruje w całej sprawie spisku lekarzy, którzy przeprowadzają prywatnie aborcje na państwowym sprzęcie, a resztek przestępstwa pozbywają się, paląc dzieci nienarodzone razem z odpadami medycznymi. Lekarze praktycy sugerują z kolei, że nakłanianie matki do nadawania skrzepowi krwi imienia i płci mija się z celem i powoduje traumę. Fundacja Nowy Nazaret nie robiła rozróżnienia na płody małe i duże, z aborcji czy poronienia samoistnego – pochowała i takie, i takie. Jeden z płodów według pani prezes był tak duży, że nie chciał się zmieścić do trumienki.

Nawet jeśli wszystkie **„dzieci nienarodzone”** zostały wydane fundacji legalnie (jak odebrano 600 płodów z jednego szpitala? W co spakowano? Czym przewieziono?), zadziwiające wydaje się co innego. Pani prezes przyznaje otwarcie, że ze względu na nieporozumienia na linii fundacja–Kościół trupki przez 2 lata trzymano **„w godnym miejscu”.**

Prawo jest w tej kwestii bezwzględne i określa, jak zwłoki chować i gdzie. Nie pozwala ze zmarłymi grać w karty, jadać przy nich kolacji ani trzymać ich w garażu.

Pojawić się tu może zarzut zbezczeszczenia zwłok. Osobną kwestią są przepisy sanitarne – płody mogą przenosić choroby i zarazki. Czy ktoś, kto zobowiązał się do pochowania zwłok, a nie robi tego przez 2 lata, wywiązuje się z obowiązku, który na siebie wziął?

• • •

Wiele kobiet, które poroniły lub poddały się legalnej aborcji (ta do czasu opublikowania wyroku trybunału Przyłębskiej wciąż możliwa jest jeszcze w razie zagrożenia życia, ciężkiego uszkodzenia płodu lub gwałtu), ufa, że szpital pozbędzie się zwłok, a nie przekaże je religijnym fundamentalistom.

Według słów pani prezes, z jej fundacją współpracuje wiele lekarzy i położnych. Ich rolą jako chrześcijan jest przede wszystkim nakłanianie kobiet już w szpitalu, aby jednak urodziły. Wyobrażacie sobie stan psychiczny zgwałconej kobiety, której personel szpitala wciska, że warto jednak dziecię powić? Albo takiej, która nosi w sobie bolesnego dwugłowego potworka i słucha umoralniających kazań doktora?

Ze słów pani Marii wynika ponadto, że na podstawie otrzymanych ze szpitala dokumentów da się ustalić imiona i nazwiska matek tych płodów! Nie wiem, co na to RODO, ale wyobrażacie sobie po dwóch latach od aborcji albo poronienia domową wizytę kilku pań w beretach, które mówią, że wiedzą o tym, co się stało, i chciałyby porozmawiać? Albo zaprosić na organizowany właśnie pogrzeb waszego płodu?

Szefowa fundacji zaprzecza, aby dochodziło do takich zachowań, natomiast tłumaczy, że mnóstwo kobiet się do nich zgłasza, bo żałuje. Przyczynę cierpień wielu ludzi prezeska upatruje zaś w tym, że nie wiedzą, iż sami byli niedoszłymi ofiarami aborcji. Wiele takich niedoszłych matek i ofiar miało pomagać przed otwockim pogrzebem w przygotowywaniu cudzych zwłok. Co na to przepisy sanitarne?

• • •

Makabryczna zabawa zwłokami wydała mi się tak niedorzeczna, że na własne oczy postanowiłem odwiedzić cmentarz i zobaczyć grób. Stoi duży, przyozdobiony, a relacja Telewizji Trwam z mszy pogrzebowej zaszczyconej przez biskupa siedleckiego Kazimierza Gurdę udowadnia, że to nie sen. Płody chowano naprawdę, a nie symbolicznie.

To nie pierwsze takie wydarzenie w Polsce. Pogrzeb nr 1 odbył się w 2005 r. na warszawskim Służewiu, podobne organizowano m.in. w Białymstoku. Tam według doniesień medialnych brać udział w pogrzebach mieli jednak rodzice dzieci.

Trudno zarzucać w tej sprawie pani Marii złą wolę, konszachty z władzą czy chęć robienia polityki. Kulturalna i uprzejma starsza kobieta uważa, że w odróżnieniu od Kaczyńskiego lub Morawieckiego, o których ma jak najgorsze zdanie i zarzuca im cyniczną grę i krew na rękach, jej postawa jest całkowicie szczera. Otrzymała od Boga misję i ratuje w ten sposób ludzkość przed potępieniem. Prokuratury i policji się nie boi i już szuka płodów do następnych pogrzebów.

MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 67bea7921d

Wojna żłobów

„War on Christmas” (**„Wojna z Bożym Narodzeniem”**) to koncept prawackiej Ameryki, firmowany dziś głównie przez telewizję Fox News, która grozi Amerykanom, że jeśli będą mówić **„Wesołych świąt”** zamiast **„Radosnego Bożego Narodzenia”**, cały kraj ześlizgnie się w otchłań pogaństwa. Przez ostatnie kilkanaście lat był to element amerykańskiej wojny kulturowej, który ekscytował i mobilizował szeregi prawaków, liberałów zaś śmieszył do łez, ale przecież nie pociągał za sobą ofiar. W dobie koronawirusa zmieniło się to radykalnie.

Sam pomysł, że jacyś wrogowie wiary i narodu usiłują podkopać fundamenty chrześcijańskiej tożsamości Ameryki poprzez walkę z religijnym charakterem grudniowych świąt, ma 100 lat. Lamenty nad tym, iż w wyniku żydowskiego spisku **„mamy trudności ze znalezieniem kartek świątecznych, które w jakikolwiek sposób wskazywałyby, że Boże Narodzenie upamiętnia czyjeś narodziny”**, pojawiły się w latach 20. XX w. w pisemkach wydawanych przez wielkiego wizjonera biznesu i równie wielkiego antysemitę Henry’ego Forda. W 1959 r. grupka oszalałych antykomunistów, nazywająca się John Birch Society – na cześć baptystycznego misjonarza, który był także kapitanem wywiadu sił powietrznych USA i w tym drugim charakterze poległ z rąk Chińskiej Armii Ludowej w 1945 r. – ogłosiła, że międzynarodowy spisek „czerwonych” przypuścił **„atak na Boże Narodzenie”**. Czerwoni chcieli obedrzeć święta z ich religijnego wymiaru, działając podstępnie poprzez domy towarowe, które miały **„używać symboli i emblematów ONZ jako ozdób choinkowych”**, co stanowiło **„element szerszego planu, nie tylko promocji ONZ, ale także zniszczenia wszelkich wierzeń i zwyczajów religijnych”**.

Zarówno antysemickie bajdurzenia Forda, jak i paranoiczne koncepcje „birchersów” przez kilkadziesiąt lat tkwiły tam, gdzie ich miejsce, czyli na kompletnym marginesie publicznego dyskursu. Ale wtedy nie było telewizji Fox News.

W 2004 r. niejaki John Gibson, gospodarz radiowego talk show i nawiedzony prawicowiec, napisał książkę pod doniosłym tytułem „Wojna przeciw Bożemu Narodzeniu: dlaczego liberalny spisek, aby zakazać świętej chrześcijańskiej tradycji, jest gorszy, niż myślisz”. Gibsona dostrzegł i zaprosił do programu Bill O’Reilly, gwiazda prawackiego dziennikarstwa, dziś już nieco przygasła, po tym jak „New York Times” ujawnił, że Fox News w ciągu 15 lat zapłaciła 44 mln dolków sześciu kobietom, które oskarżyły tego apostoła konserwatyzmu o molestowanie seksualne.

Jednak w 2004 r. słowo O’Reilly’ego miało wśród religijnej prawicy w USA doniosłość ewangelii, a sama idea wrednego lewactwa, zatruwającego amerykańską duszę akurat nad żłóbkiem Dzieciątka, dobrze rezonowała wśród chętnych do bitki „rednecków” (amerykańska odmiana „buraka”).

Przez następne kilkanaście lat idea wojny z Bożym Narodzeniem rosła w siłę – zwłaszcza od kiedy włączył się w nią Donald Trump, który nigdy nie uchylał się przed udziałem w jakiejkolwiek wywołanej przez Fox News zadymie. **„Jeśli zostanę prezydentem, będziemy mówić »Radosnego Bożego Narodzenia« w każdym sklepie”** – obiecywał w kampanii, wzywając do bojkotu firm, które podjęły próbę uczynienia okresu świątecznego bardziej powszechnym poprzez rezygnację z wyraziście chrześcijańskich motywów na rzecz bardziej uniwersalnego świątecznego przekazu. Ekstremistyczna organizacja Liberty Council – coś jak nasze Ordo Iuris – co roku ogłasza listę „Grzecznych i niegrzecznych”, na której chwali firmy używające religijnej retoryki i ornamentyki do promocji przedświątecznej sprzedaży i karci te, które próbują zachowywać religijną neutralność, życząc klientom **„Wesołych świąt”** albo w ogóle przemilczając święta.

To wszystko nie miało dotychczas specjalnego znaczenia, stanowiąc swoisty amerykański folklor. Dziś jednak nawiedzeni obrońcy Bożego Narodzenia przed zarazą multikulturowości narażają życie dziesiątków tysięcy współobywateli na zarazę znacznie bardziej namacalną.

Specyficzna infantylność amerykańskiej polityki sprawia, że każdy polityczny spór w tym kraju rządzi się prawami amerykańskiego futbolu: im silniej napierdalają się zawodnicy na boisku, tym bardziej fanatyczni są kibice. Przez to barw partyjnych nabierają kwestie całkiem niepartyjne: najlepszym przykładem z ostatniego czasu jest dyskusja o potrzebie i skuteczności noszenia masek, która w USA przekształciła się w wojnę kulturową obrońców prawdziwej amerykańskiej wolności z kryptosocjalistami, którzy chcą tę wolność Ameryce odebrać, posługując się w tym celu mitem pandemii, której tak naprawdę nie ma.

Gdy ten punkt widzenia nałożył się na ideę walki z Bożym Narodzeniem, której prawdziwy chrześcijanin musi stawić czoło, ofiary są nieuniknione.

Liczba zachorowań zbliża się w USA do 200 tys. dziennie – co oznacza, że Amerykanie, stanowiący 4 procent ludności globu, odpowiadają za jedną trzecią światowych przypadków COVID-19. Centrum Kontroli Chorób w Atlancie wydało więc ostrożne zalecenie, żeby na święta nie podróżować i nie spotykać się w zbyt wielkim gronie. Niektórzy włodarze lokalni byli odważniejsi, ale natychmiast spotkali się z oporem. Gubernator Nowego Jorku Andrew M. Cuomo wprowadził limit dziesięciu osób na imprezach z okazji Dnia Dziękczynienia i Bożego Narodzenia, na co spora część lokalnych szeryfów od razu oświadczyła, że nie będzie go egzekwować. A prawicowa prasa zakrzyknęła jednym głosem: **„Nie damy unieważnić Bożego Narodzenia!”**.

„Lewica chce po prostu anulować nasze tradycje. Nie pozwólmy im”; „Nie anulujemy Święta Dziękczynienia. Nie anulujemy świąt Bożego Narodzenia. Nie anulujemy rodziny. Ale anulujemy lockdown”; „Przygotuj się na to, że demokraci zechcą odwołać Boże Narodzenie” – lamentuje prawica w mediach społecznościowych. I dodaje: prawdziwi Amerykanie będą obchodzili prawdziwe święta.

„Dzieci zobaczą dziadków, kuzyni będą się bawić na podwórku, bratowa przyniesie placek z truskawkami i rabarbarem, a indyk będzie przesuszony”

– ogłosił z dumą radny Nowego Jorku Joe Borelli.

Jeśli myślicie, że prawicowa ofensywa w obronie Bożego Narodzenia przed zdrowym rozsądkiem opiera się na braku wyobraźni, to się mylicie.

Tucker Carlson – godny następca Billa O’Reilly’ego, najczęściej cytowany i najbardziej pojebany gospodarz programu w telewizji Fox News – wprost obwieścił wielbicielom, że warto oddać życie za gwiazdkową kolację: **„Jeśli śmierć jest nieunikniona, to może powinniśmy się zatrzymać na chwilę, zanim zniszczymy sens życia w imię próby uniknięcia śmierci”**.

A w razie czego przecież i tak wszyscy obrońcy Bożego Narodzenia pójdą do nieba. Całymi rodzinami.

AWŁ

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Dialogi dam w drodze do kościoła

Święta Bożego Narodzenia to mój ukochany czas w roku – orzekła **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA. GOŚKA DANISZEWSKA** oniemiała. Wiadomo, że ludziom odbija na starość, ale żeby aż tak…

Daniszewska: – Jezu malusieńki, tak ci się podoba?

Wołk-Łaniewska: – Coś ty! Tygodnik „NIE” wydaje wtedy podwójny numer i potem przez 10 dni nie muszę nic pisać!

– Dobra, dobra, nie kryguj się, i tak wszyscy wiedzą, że jesteś grafomanką.

– O, przepraszam, uraziłaś moją zawodową dumę. Nie jestem grafomanką, tylko jestem chciwa. Gdyby twój mąż nie płacił wierszówki, tylko dajmy na to uśredniony ryczałt, w życiu bym nie miała pięciu tekstów w numerze.

– To gruby numer, może Czytelnicy nie zauważą…

– Sojowe latte!

– Ty mi proponujesz?

– Nie, ubliżam. Dowiedziałam się właśnie, że to przekleństwo jest.

– Skąd się dowiedziałaś?

– Z Tefałenu oczywiście. Że lewica jest do niczego, bo „sojowe latte”… Znaczy, że miastowi hipstersi, co nie rozumieją ludu. Nawiasem mówiąc, zgadzam się, że lewica jest do niczego ostatnio, ale nie sądzę, żeby dobór kawy był jej największym problemem.

– A ty jaką kawę pijesz?

– Podwójne espresso ze śmietaną z 30 procentami tłuszczu. Żadnych kompromisów.

– No widzisz, a dziwiłaś się, że cię Czarzasty na listę nie wpisał. Ty tam nie pasujesz.

– Do tej lewicy to chyba nikt dziś nie pasuje.

– A może jednak ta lewica nie pasuje do niczego? Do ulicy zwłaszcza.

– To prawda. Gdy widzę te zajebiste demonstracje, to żal dupę ściska, że nikt z lewicy się tam nie liczy… Dzieciaki mają genialne poczucie humoru. Ostatnio szli mi tu pod oknami z hasłem: „Uwolnić Jarka i kota”. Bo policja uniemożliwiła Jarosławowi Kaczyńskiemu udział w demonstracji z okazji rocznicy stanu wojennego i obrońcy wolności szli, żeby go odbić.

– I co, udało się?

– Nie, bo nie było go w domu. Poszedł do kościoła Kostki złożyć wieniec na grobie Popiełuszki. Piękny widok skądinąd, maleńki prezesik i monstrualny wieniec, wyższy od niego o dwie głowy.

– Gdzie wieniec ma głowę?

– Tam, gdzie prezes chyba.

– We własnej dupie i dlatego nie wie, co się w kraju dzieje?

– Kto? Prezes czy wieniec?

– Zgadnij.

– Ale à propos chodzenia do kościoła: zakochałam się absolutnie w profesorze Simonie. Nikt tak pięknie jak on nie mówi o rzeczach świętych dla Polaków. „W normalnym kraju by zamknęli kościoły, zamknęli pogrzeby, pomodlić się można w domu, przed telewizorem, co to za religizm jest?” – pytał prof. Simon ze szczerym zdziwieniem, dodając, że „fanatyzm religijny nie może przeważać nad zdrowym rozsądkiem”.

– Rzeczywiście piękne.

– Zmieniając temat: co będziecie robić przez te 10 dni, przez które ja będę nie pisać?

– A co mamy robić? To co zwykle. Guseł żadnych nie odprawiamy.

– Nie żrecie nawet?

– No nie, coś tam się zeżre, ale nic specjalnego.

– Jak to nic? A uszka z grzybami? A kompot z suszu? A kutia? Jezus malusieńki czy ukrzyżowany – to mi nie robi różnicy, ale kuchnia wigilijna z naleciałością kresową naprawdę budzi we mnie rodzinność.

– Ty jednak kryptokatol jesteś.

– Jeśli już, to kryptoprawosławol… Ale tylko kulinarny.

– Ja jestem kulinarną ateistką. Chociaż nie, właściwie to bardzo lubię karpia faszerowanego, ale to straszna robota, robię go więc tylko raz do roku, właśnie koło 24 grudnia.

– A ten ohydny śledź z piernikiem, o którym tyle opowiadasz? Toż to nieślubne dziecko dwóch czołowych wigilijnych potraw.

– Po pierwsze: nie robię go na tzw. wigilię, po karpiu już nie mam siły. Po drugie: jak śmiesz? Ohydny? To najwspanialsze z dań, których nigdy nie spróbowałaś. I po trzecie: jakie nieślubne? Ty nie masz pojęcia, ile się trzeba napracować, żeby to ze sobą ożenić.

– Nie mam.

– To ci powiem. Żebyś miała.

– A nie, dziękuję, nie wierzę w małżeństwo.

– I tak ci powiem. Najpierw więc bierzesz 2 lub 3 gatunki śledzi wraz z wymoczoną ikrą, dorzucasz ziele angielskie i liść laurowy i to wszystko namaczasz w oleju słonecznikowym, najlepiej z Ukrainy, z pierwszego tłoczenia. Na miesiąc! Potem pieczesz wypasiony korzenny piernik z miodem gryczanym. Ów piernik następnie moczy się w białym occie winnym z sokiem z cytryny, aż zrobi się z tego brązowa breja. Do tego jabłka, szara reneta, i cebula. I teraz następuje clou programu: stolnica i ciężki tasak. I to trzeba razem posiekać. Żaden malakser nie zastąpi bicepsów. Ręka odpada. Na koniec grubo mielony pieprz…

– Nadal uważam, że zalatuje, za przeproszeniem, tradycją.

– A uważaj sobie. U mnie w domu rodzinnym tradycja była inna. Jako dziecko nawet lubiłam święta, bo na choince były prawdziwe świeczki i włosy anielskie. Zawsze jedno od drugiego mogło się zapalić. I kilka razy tak się zdarzyło, zawsze więc wiadro z wodą stało w pobliżu. Ciocia Halinka grała kolędy i wypijała alkohol z buteleczek wiszących na choince. Dzieci dostawały skorupki, a smak rumu łączył się z czekoladą.

– Rozmarzyłaś się jednak nieco…

– Naprawdę to się rozmarzyłam ostatnio, gdy przeglądałam archiwum fotografii. Archiwum to wielkie słowo, po prostu kilka szuflad zawalonych zdjęciami bez ładu i składu. I raptem patrzę: zdjęcia z Bożego Narodzenia. Tu u nas, w Konstancinie.

– Pierwsza gwiazdka za oknem…

– Gołe dupy w basenie. Nieżyjący dziś rockman, wybitna artystka ze swoim ówczesnym mężem, dziś w Nowym Jorku, mój były kochanek ze „Sportowca” ze swoją śliczną żoną, jeden opozycjonista ze swoją ówczesną kochanką, a pierwszą narzeczoną mojego pierwszego męża nieboszczyka. Kłębowisko ciał bez dodatków tekstylnych, szczęście na twarzach, tylko opozycjonista jakoś ustawił się tyłem do aparatu. Ale wiadomo, katolik, żona i czwórka dzieci. Film wywołaliśmy za granicą i nikt tych zdjęć nie widział. Szkoda, że zestarzeliśmy się i już nie czcimy tych wspaniałych rodzinnych świąt w taki piękny sposób.

– Też żałuję, zwłaszcza że nigdy się nie załapałam. Chociaż zdjęcia byś pokazała.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Wolnomyśliciel Ziobro

W poszukiwaniu straconego prawa, czyli sprawa Mirosława Ciełuszeckiego.

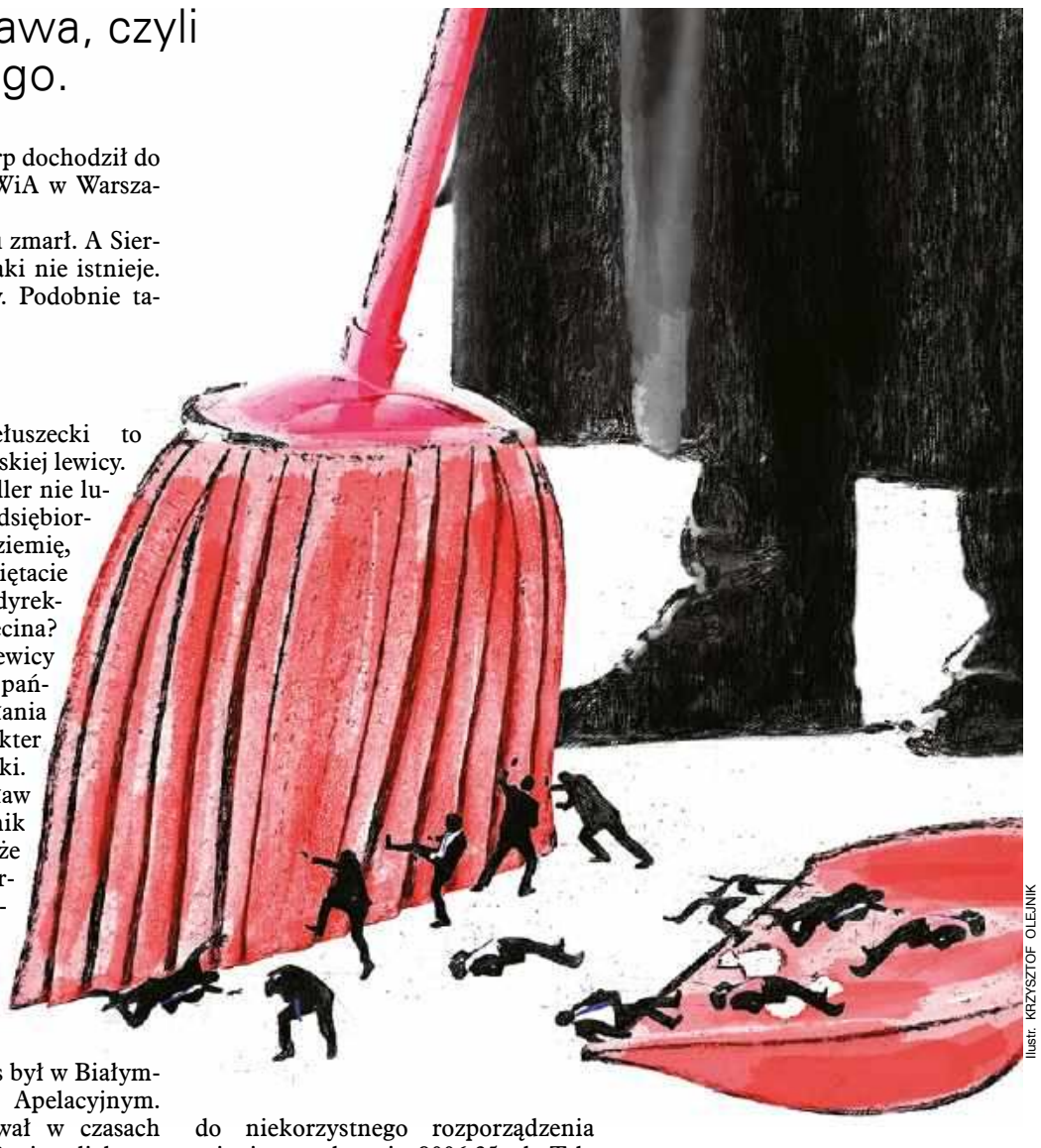

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przed Sądem Najwyższym zebrało się kilka osób. Wydyma wiatr wielki transparent: „Sprawa Mirosława Ciełuszeckiego hańbą polskiego wymiaru sprawiedliwości". Transparent jest wysłużony, wiosną 2019 r. ozdabiał Krakowskie Przedmieście. Miał skłonić prezydenta Andrzeja Dudę do aktu łaski.

Czekamy na decyzję. Może Mirosław Ciełuszecki odejdzie stąd jako osoba niewinna? A może zabiorą go do więzienia?

W drzwiach pojawia się dziewczyna z rudym warkoczem. Pod maską ze znakiem strajku kobiet uśmiech.

– Sprawa Mirka jest złożona, wyrok 16 grudnia 2020 r.! – krzyczy.

Amerykanin

Historia była opisywana, zatem tylko streszczam. Mirosław Ciełuszecki to zdolny amerykański przedsiębiorca, który uwierzył Lechowi Wałęsie, że interesy trzeba robić we własnym kraju. Sprzedał, co miał, i na rodzinnym Podlasiu założył spółkę Farm Agro Planta. Planta – tak nazywa się wieś przy granicy z Białorusią, w której chciał zbudować terminal przeładunkowy, największy terminal nowego Jedwabnego Szlaku.

Po przekroczeniu granicy zmienia się rozstaw szyn, trzeba dopasować koła do szerszych torów. Odczepić stare, podnieść wagon, zmienić tzw. wózki. Pomysł rozbudowy otwierającego wschodnie rynki terminalu narodził się sam. Ciełuszecki postawił na handel ze Wschodem, amerykańskie zboże zamieniał w Mińsku na komponenty do nawozów sztucznych.

Do 2002 r. wszystko szło jak z płatka. Płacił wysokie podatki, zatrudniał 150 osób, przymierzał się do zakupu Zakładów Azotowych w Kędzierzynie-Koźlu.

Któregoś ranka w 2002 r. walenie w drzwi.

– Otwierać, policja!

Kajdanki. Pół roku w areszcie. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zabezpieczyła komputery firmy. Prokuratura oskarżyła Ciełuszeckiego o spowodowanie wielomilionowych strat we własnej spółce Farm Agro Planta S.A. i niekorzystne rozporządzenie jej mieniem. Miał za drogo sprzedać spółce działki w Plancie.

Trup

W Farm Agro Planta Ciełuszecki miał 98 proc. udziałów. Drobni udziałowcy nie czuli się pokrzywdzeni zakupem. Więcej – wietrzyli biznes życia.

– Myśleliśmy, że to tylko chwilowy zakręt. Że wszystko się wyjaśni – opowiada pracownik spółki.

Był o tym przekonany również doradca Ciełuszeckiego Marek Karp, twórca Ośrodka Studiów Wschodnich, pionier dialogu polsko-białoruskiego. Też był na celowniku prokuratury. Bo może doradzał fikcyjnie?

13 sierpnia 2004 r. Karp przyjechał do Białej Podlaskiej. Wyjechał z miasteczka na noszach. W jego opla wjechał białoruski TIR.

Spisano kierowcę Siergieja Zawidowa. Potem go wypuszczono, sprawa nie była gardłowa, Karp dochodził do siebie w szpitalu MSWiA w Warszawie.

Miesiąc po wypadku zmarł. A Siergiej Zawidow? Nikt taki nie istnieje. Paszport był fałszywy. Podobnie tablica rejestracyjna.

Minister

Dla prawicy Ciełuszecki to gwóźdź do trumny polskiej lewicy. Narracja jest taka: Miller nie lubił niezależnych przedsiębiorców. Niszczył i solił ziemię, na której wyrośli. Pamiętacie Romana Kluskę? A dyrektorów stoczni ze Szczecina? Polska pod rządami lewicy naruszała standardy państwa prawa. Działania państwa miały charakter zorganizowanej nagonki.

Tak to widzi Bronisław Wildstein i tygodnik „W sieci". Podkreśla, że wdowę po Marku Karpie zastraszał prokurator Sławomir Luks. **„W aktach sprawy prokurator ten nie figurował"** – podkreśla dziennikarz.

Pewnie, że nie. Luks był w Białymstoku Prokuratorem Apelacyjnym. Rzeczywiście awansował w czasach rządów SLD. Ale PiS nie zdjęło go ze stanowiska! To jedyny z prokuratorów tego szczebla, który przetrwał Ziobrową miotłę…

Zbigniew Ziobro został ministrem sprawiedliwości i Prokuratorem Generalnym, gdy premierem był Kazimierz Marcinkiewicz. Przetrwał jego rząd i rząd Jarosława Kaczyńskiego. Trzymał lejce od 31 października 2005 do 16 listopada 2007 r. Czyli 747 dni. Co zrobił w sprawie Ciełuszeckiego i Karpa? Nic.

Do Sądu Rejonowego w Bielsku Podlaskim pofatygował się Jerzy Buzek, żeby opowiedzieć, jak ważne jest dla Polski otwarcie na Wschód. Że Farm Agro Planta robiła dobre rzeczy…

Ziobro był ministrem, gdy w 2006 r. zapadł wyrok. Sądził asesor. Zdecydował: Ciełuszecki posiedzi 4,5 roku.

Biegły

Sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Białymstoku. Najważniejszym biegłym był Janusz M. z Olsztyna. 2 marca 2010 r. podczas rozprawy okazało się, że biegły to nie biegły. Kłamie, że ma uprawnienia. Dawno temu, 6 marca 2006 r. został skreślony z listy przez prezesa Sądu Okręgowego w Olsztynie z powodu niewywiązywania się z obowiązków.

Powinny zareagować organy państwa: wysoki sąd oraz wystawiona do wiatru prokuratura. Chodzi o czyn ścigany z urzędu!

Ścigania zażądał jedynie Mirosław Ciełuszecki. Podejrzewał biegłego o popełnienie dwóch przestępstw. Pierwsze: uprzedzony o odpowiedzialności karnej M. skłamał, że jest biegłym sądowym. Drugie: doprowadził skarb państwa, a konkretnie Prokuraturę Okręgową w Białymstoku, do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w kwocie 9006,35 zł. Tyle zapłaciła za opinię.

Ciełuszecki prosił też o ściganie prokuratorów Prokuratury Okręgowej w Białymstoku za bezczynność. Wiedzieli, co się stało, i nie kiwnęli palcem.

Zawiadomienie trafiło do Prokuratury Rejonowej w Ełku. **„Sekretariat Prokuratury zawiadamia Pana jako osobę, która złożyła zawiadomienie o przestępstwie, że postanowieniem Prokuratora Rejonowego w Ełku z dn. 25 lutego 2013 r. odmówiono wszczęcia śledztwa".** Podpisana pod dokumentem młodsza referent Karolina Fadrowska nie podała powodów.

W Polsce rządził Donald Tusk, ale ministrem sprawiedliwości był Jarosław Gowin.

Komputer

Zbigniew Ziobro wrócił na stanowisko ministra sprawiedliwości 16 listopada 2015 r., 4 miesiące później został też Prokuratorem Generalnym. Zapowiedział koniec republiki kolesi. Sądy w Polsce będą przewietrzone. Prokuratury też. W sądach pracują złodzieje kiełbasy, a to praca dla sprawiedliwych, uczciwych ludzi.

Białostocki sąd powołał nowych biegłych, co nie miało większego znaczenia. Zagubiono najważniejsze dowody w sprawie: serwer i komputer firmy, na których znajdowały się dane księgowo-finansowe.

Na prokuraturze ciąży obowiązek odpowiedniego zabezpieczenia materiału dowodowego. Powinna więc zrobić kopie materiałów źródłowych. Ktoś zapomniał, ktoś przegapił? Przepadł nie tylko dowód w sprawie. Materialna wartość zguby to ponad 100 tys. zł.

Powinien się zrobić raban na pół Polski. Ziobro powinien nakazać wszystkie możliwe czynności dowodowe i procesowe, mające na celu wyjaśnienie skandalu. Nie zrobiono nic.

Nigdy nie rozważano kwestii odpowiedzialności organów, które po oficjalnym ujawnieniu nieprawidłowości wsadziły końce w wodę.

Zawiadomienie o przestępstwie złożyli przyjaciele Ciełuszeckiego.

W prokuraturach poleciały głowy, rządzą nowi ludzie, będzie dobrze – myśleli. Przeanalizowano sprawę w trzech prokuraturach, w końcu komputer był duży, stacjonarny, żaden tablet czy laptop.

Prokuratora Rejonowa w Augustowie: **„Biegłemu Januszowi M. został przekazany dowód rzeczowy (…). Po sporządzeniu opinii w/wym. nie zwrócił komputera".**

Prokuratura Okręgowa w Suwałkach: **„Przedmiotowy komputer został przez Janusza M. zwrócony do Prokuratury Okręgowej w Białymstoku w dniu 27 lipca 2006 r., ta zaś nie przekazała go Sądowi Rejonowemu w Bielsku Podlaskim z aktem oskarżenia w sprawie V Ds. 5/05 z dn. 12 grudnia 2006 r.".**

Prokuratura Okręgowa w Białymstoku: **„Nie zdołano ustalić, co się stało z komputerem – serwerem Farm Agro Planta S.A.".**

Sąd w Bielsku Podlaskim dostał akt oskarżenia bez sprzętu, choć jest wymieniony w załącznikach.

Tak czy siak 4 kwietnia 2017 r. odmówiono wszczęcia śledztwa w sprawie zaniedbań **„wobec ustalenia, że nastąpiło przedawnienie karalności"** (PR Ds. 202/2017 r.).

W lipcu 2018 r. Sąd Okręgowy w Białymstoku wydał wyrok w sprawie Ciełuszeckiego: 3 lata więzienia.

Cypr

W 2018 r. poszła pod młotek ziemia w Plancie graniczącą z terminalem Ciełuszeckiego. Kupiła spółka cypryjska. Maciej Lisowski, prezes zajmującej się pomocą prawną Fundacji Lex Nostra, wytknął w piśmie do Ziobry, że Sąd Rejonowy w Bielsku Podlaskim złamał prawo. Klepnął transakcję, choć przetarg dotyczył działki rolnej, cudzoziemcy nie są rolnikami ani nie mieli zezwolenia na nabycie ziemi w Polsce, a wylicytowana cena 5-krotnie przekraczała wartość kapitału zakładowego.

Po co spółce ziemia rolna? Może po to, żeby mieć kontrolę nad Jedwabnym Szlakiem?

Łaska

4 czerwca 2019 r. członkowie Komitetu Obrony Ciełuszeckiego ustawili się przed Pałacem Prezydenckim. Zgromadzili się pod transparentem, tym o hańbie, bo na biurku Dudy leżał wniosek o ułaskawienie Ciełuszeckiego.

Duda ma lekką rękę do ułaskawiania. Na dzień dobry ułaskawił ministra Mariusza Kamińskiego, choć nie został prawomocnie skazany. Poza nim 100 innych osób, wśród nich handlarzy narkotykami, pedofila i mordercę. Ostatnio – wbrew rekomendacji Ziobry – ulitował się nad kierowcą, który prowadził po pijaku. Szczegółów brak, kancelaria prezydenta uważa, że to nie jest informacja publiczna.

Protest przed pałacem w sprawie Ciełuszeckiego nie zrobił na Dudzie wrażenia.

„Panie prezydencie, to ważne i pilne!" – zaapelowała dyrektorka Telewizji Biełsat Agnieszka Romaszewska-Guzy. Jej matka Zofia Romaszewska jest etatową doradczynią Dudy. Nie ceni sądów i sędziów, choć przecież przyznali Romaszewskim 265 tys. zł za kombatancką przeszłość.

– Mamy rozbić układy w sądach i prokuraturach. – Romaszewska poganiała Ziobrę, wzbudzając konsternację otoczenia.

22 października 2019 r. Sąd Apelacyjny w Białymstoku klepnął wyrok Sądu Okręgowego w Białymstoku. Apelację złożył oskarżony i prokuratura.

3 lata odsiadki jest w sam raz – ustalił sąd. Ze sprawy wyłączył zarzuty, z których sąd niższej instancji uwolnił Ciełuszeckiego.

Pieniądze

10 lutego 2020 r. Sąd Okręgowy w Białymstoku ustalił koszty postępowania, które musi pokryć skazany Ciełuszecki. Chodzi o 55 952,32 zł. Za doręczenia naliczono tylko ryczałt, 15 zł. Lwią częścią pieniędzy nakarmiono biegłych. Na ich opinie poszło 43 980,95 zł.

Tego samego dnia sąd wydał wezwanie do zapłaty. Do kosztów dorzucił grzywnę w wysokości 25 tys. zł, bo skazany ociąga się z zapłatą. W sumie skarb państwa chce 80 952,32 zł. Albo wyśle komornika.

Na razie nie wiadomo, kiedy Sąd Okręgowy w Białymstoku zacznie badać zarzuty wskazane przez sąd apelacyjny do powtórnej oceny.

• • •

Czy Ciełuszecki jest niewinny? Nie wiem. Biznesmen jest chory, w Białymstoku trwa postępowanie związane z odroczeniem wykonania kary. Sąd Najwyższy nie uwzględnił wniosku obrońców o jej wstrzymanie.

Wiem, że Zbigniew Ziobro, uzdrowiciel polskiej sprawiedliwości, przygląda się ze swego ministerialnego fotela chocholemu tańcowi Mirosława Ciełuszeckiego już… ile to będzie? Policzyłam – 2579 dni.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 67bea7921d

Polska pierdoli psycholi

Po pandemii koronawirusa czeka nas epidemia chorób psychicznych. Wariaci będą mieć obłędnie przejebane.

Psychiatrzy i psychologowie, bez względu na odmienne podejście terapeutyczne, zgadzają się w jednym: gdy skończy się ta kurewska pandemia, nastąpi pandemia masowych zaburzeń psychicznych. Koronawirus i reakcja na niego fatalnie wpływają na sferę ducha. Nasilają się alkoholizm i przemoc domowa. Rozpadają się związki. Ludzie tracą pracę, co jest tak samo stresujące jak rozwód czy śmierć bliskiej osoby. A system publicznej ochrony zdrowia psychicznego dogorywa.

Jeśli psychiatria dorosłych jest w opłakanym stanie, to stan psychiatrii dziecięcej to horror, a może raczej podła zdrada Polaków. Najsłabsi w społeczeństwie – dzieciaki po próbach samobójczych, dotknięte depresją, psychozą czy anoreksją – są na siłę wypisywani ze szpitali, aby stworzyć łóżka covidowe. W listopadzie Rzecznik Praw Obywatelskich wystosował do ministra zdrowia dramatyczny list w tej sprawie.

Odrobina prywaty. Moja przyjaciółka ma schizofrenię. Boi się sama iść do poradni zdrowia psychicznego w pewnym wojewódzkim mieście w południowo-zachodniej Polsce. Czekam więc na lekarza razem z nią, potem wracamy do domu; jeśli jest w dobrej formie, to komunikacją miejską, jeśli w złej, bierzemy taryfę.

Oto garść opowieści z poczekalni. Opowieści ponurych, ale prawdziwych. Zmieniono imiona i szczegóły, które pozwoliłyby zidentyfikować opisywane osoby.

Akademia i schizofrenia

Andrzej ma 45 lat. Jest wykładowcą na publicznym uniwersytecie. Od lat zmaga się ze schizofrenią. Gdy miał 4 albo 5 lat, był molestowany w popegeerowskiej wsi na ścianie wschodniej przez nastoletniego sąsiada, ministranta. Jak sam mówi, prawie 40 lat zajęło mu przyznanie, że pedofil spierdolił mu jego życie intymne. Zapach i smak kutasa zabierze ze sobą do grobu.

Wybierał niewłaściwe kobiety – alkoholiczki, narkomanki, z zaburzeniami odżywiania, molestowane w dzieciństwie, bite do krwi przez partnerów. Chcące, aby je podduszał w trakcie seksu. Jego nawracające pytania do psychologa, czy on jakoś podświadomie przyciąga takie osoby, czy też polskie kobiety tak bardzo są naznaczone traumami, pozostały bez odpowiedzi.

Andrzej to wielki chłop – na oko jakieś 195 cm wzrostu. Kilka lat temu wyglądał koszmarnie. Utył do ponad 180 kilo. Dopiero podczas terapii zrozumiał, że masywne brzydkie ciało było jego pancerzem obronnym. Dzięki niemu miał być nieatrakcyjny dla innych zwyrodnialców, ale także dla kobiet, które bał się skrzywdzić. Przez lata seks kojarzył mu się z czymś brudnym, manipulacją i przemocą. Uciekał od tragicznego życia intymnego w pracę. W roku 2016 opublikował 22 artykuły, czyli więcej niż niejeden uczony przez 10 lat. Śmieje się, że jego szef musi lubić schizofrenię podwładnego.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Filmy Sekielskich o księżach pedofilach były dla niego wstrząsem.

– Dużo o nim czytałem, ale nie byłem w stanie aż po dziś dzień go zobaczyć. U psychiatry wyłem godzinę, rozpaczliwie pytając, czy jako ofiara molestowania nie jestem zagrożeniem dla dzieci, czy sam nie mam takich skłonności. Wiem jedno: gdybym miał, wolałbym się powiesić niż skrzywdzić jakiekolwiek dziecko – mówi.

Ojciec mężczyzny do dziś nie wie, co synowi stało się w dzieciństwie. Gdy powiedział o tym matce, ta z wrzaskiem zapytała, czy był to ktoś z rodziny. Kiedy dowiedziała się, że nie, nigdy nie wracała do tematu. Siostra Julia powiedziała: – Andrzejku, ty nie byłeś molestowany.

W kraju, w którym edukacją seksualną zajmują się klechy i twarde porno, nikt nie uczy rozmów na takie tematy. Nikt nie wie, jak się zachować na wieść, że ktoś z najbliższych padł ofiarą przemocy seksualnej. Skrzywdzeni zostają sami ze swoim bólem. Są jak trędowaci.

– Trzykrotnie byłem w psychiatryku, w tym 2 razy w zeszłym roku, raz przez ponad miesiąc, raz 8 dni. Warunki socjalne w poniemieckim gmachu jak w III Rzeszy. Brak lekarzy, zajmowali się mną jacyś niedouczeni studenci. A jedna młoda lekarka, dziwka bez szkoły, szczuła mnie na ordynatora, żebym wybuchnął i przez to później wyszedł ze szpitala – skarży się Andrzej.

Julia bez Romea

Wspomniana siostra Andrzeja to prosta niewykształcona dziewczyna. Całe życie marzyła o dobrym mężu i dwójce dzieci. A tymczasem ma męża, Przemka, który ją wyzywa od czubów, pojebów i wariatek. Julia okłada go za to po pysku, bo wie, że mąż jej nie odda. Przemek po pijaku dzwoni do matki, że jest nieszczęśliwy, bo nie ma dziecka. Nie rozumie, że aby zajść w ciążę i mieć szansę urodzenia zdrowego dziecka, Julia musiałaby przestać brać leki antypsychotyczne. A wtedy na pewno wylądowałaby w psychiatryku. Julia swe niespełnione uczucia rodzicielskie przelewa na bratanice i siostrzeńca, którzy ją uwielbiają.

Problemy psychiczne Julii zaczęły się, gdy miała 16 lat. Wciąż oglądała gazety z modelkami. Wszystkie wyglądały zjawiskowo. Piękne i szczupłe. Piękne, bo szczupłe.

Wykształcony brat wciąż jej powtarza, że padła ofiarą patriarchatu, ale ona nie bardzo wie, co to znaczy. Pamięta, iż zaczęła pić litrami kawę, aby zabić głód. Schudła 20 kilo. Wylądowała w szpitalu na oddziale endokrynologicznym. Gdy wyrwała kroplówkę, przewieziono ją do psychiatryka.

– Tam to by normalna osoba zwariowała. Koleżanka z pokoju chodziła po oddziale i mówiła, że jest Matką Boską. Kiedyś wysmarowała mi gównem włosy. Widziałam, jak rodziny przyjeżdżają do pacjentek w dniu wypłaty renty, zabierają pieniądze i nie pojawiają się przez kolejny miesiąc. Nigdy już nie chcę tam wrócić – mówi Julia.

Julia to wrażliwa dziewczyna. Pracuje w hospicjum. Codziennie z czułością opiekuje się gasnącymi ludźmi. Przez 3 lata pracowała w miejskim Domu Opieki Społecznej. Ale nie mogła patrzeć na kolegę szarpiącego podopiecznych za uszy przy karmieniu, o czym doskonale wiedziały jego przełożone. Miała dość lżenia przez schorowanych ludzi, których tuzin goliła jedną maszynką, budzonych o 4.30 nad ranem, aby ogarnąć ich przed dzienną zmianą. Miała dość zapachu gówna; podopiecznym w ramach oszczędności zmieniano pampersy 2 razy dziennie. Bolał ją kręgosłup od dźwigania stukilowych zniedołężniałych mężczyzn.

Julia słyszy głosy. Panicznie boi się, że coś powie przeciwko sobie. Wciąż rzyga, bo boi się, że przytyje i będzie brzydka, bezwartościowa. Leki się przez to nie wchłaniają, musi więc odwiedzać psychiatrę 2 razy w miesiącu. Jedyna jej przyjemność to słuchanie piosenek disco polo i kupowanie nowych ubrań i kosmetyków w galeriach handlowych. Są dni, gdy wolałaby nie żyć.

Od psychiatryka do psychologii

Dżesika to studentka czwartego roku psychologii. Chciałaby pomagać chorym takim jak jej ojciec schizofrenik. Nie lubi kolegów i koleżanek ze studiów. Pamięta, jak na pierwszym roku niemal wszyscy chcieli leczyć ludzi. Na czwartym rozglądają się za praktykami w działach HR wielkich korporacji i chcą robić kursy z psychologii biznesu. Gdy się dowiadują, jak kiepsko zarabiają psycholodzy w publicznej służbie zdrowia, wybuchają śmiechem.

Dżesika potwierdza to, co swego czasu powiedział o kandydatach na psychologię Zbigniew Lew-Starowicz. Że od lat idą tam 3 kategorie ludzi: tacy, którzy chcą rozwiązać problemy swoje i swoich bliskich; tacy, co chcą władzy nad innymi; wreszcie tacy, którzy chcą pomagać innym.

Dżesika dokładnie wie, kiedy zaczęły się jej problemy: 10 maja 2008 r. Wtedy z koleżankami i kolegami ze szkoły katolickiej pojechała na wycieczkę do Krakowa. Dziewczynki zachowywały się dość głośno, radośnie szczebiocąc. Podszedł do niej mąż wuefistki i wrzasnął: „Zamknij się, ty dziwko!”.

Dżesika ma pretensje do rodziców, że wbrew jej woli po tym incydencie zabrali ją do innej szkoły. I wielki żal do ojca, że nie poszedł do skurwiela, który ją wyzwał, i nie nakładł mu po pysku.

W nowej szkole zaczął się koszmar. Inni uczniowie i uczennice zaczęli ją już pierwszego dnia wyzywać od grubasek i świń. Przestała jeść. Gdy schudła do 40 kilo, trafiła do psychiatryka – uznano, że wychudzenie zagraża jej życiu.

– W psychiatryku wreszcie mogłam się najeść. W miesiąc przytyłam 15 kilo. Tuczono mnie jak prosiaka. Żadnej terapii nie było. Rodzice chcieli, żebym była w szpitalu dłużej, ale po wyjściu na przepustkę wprost powiedziano mamie, że brakuje łóżek i nie mogę dłużej zostać.

Po miesiącu Dżesika znów ważyła 38 kg. Do dziś zmaga się z anoreksją. Uwielbia gotować. Nienawidzi jeść. Jej życie intymne nie istnieje. Boi się mężczyzn. Nienawidzi swojego ciała.

Święta Maria

Maria dobiega pięćdziesiątki. Ma kilkaset złotych renty. Ma kochającą mamę, z którą mieszka, i 2 koty. Ale najważniejsze jest to, że ma Boga w sercu. Wszystko, co zarobi ciężką harówką na czarno, przeznacza na misje kościelne. Wciąż denerwuje koleżanki, bo wytyka im, że zamiast na fryzjera i kosmetyczkę powinny dawać na Kościół. Gdy słyszy o ofiarach księży pedofilów, sądzi, że to podstawione osoby. Ksiądz przecież zastępuje Chrystusa na ziemi i nie mógłby nikogo skrzywdzić.

Maria była cicha, nieśmiała, nigdy nie miała faceta. Jej problemy zaczęły się ponad 25 lat temu. Ciężko znosiła psychiczne znęcanie się szefowej nad podległymi jej pracownicami. Gdy poniżana i upokarzana koleżanka zanosiła się płaczem, Maria wybuchła i zaczęła wrzeszczeć na szefową. Ta wezwała karetkę, która zabrała Marię do psychiatryka.

Maria sprząta domy i mieszkania bogatych ludzi. Cieszy się, gdy dostanie dychę za godzinę. Miesiąc temu myła okna w filii dużego niemieckiego banku. Policzyła dokładnie. Okien było 63. Za umycie jednego dostała niespełna 2 zł.

Bomba z opóźnionym zapłonem

Gdy przed kilkoma laty PiS zarzucało PO, że wygrała w więzieniach, platformersi z rozbawieniem mówili, że PiS zwyciężyło w psychiatrykach. Stosunek elit do ludzi z problemami psychiatrycznymi oscyluje między pogardą i lekceważeniem. Przeciętnie na terapię dorosły pacjent czeka rok albo 2. W tym czasie skazany jest na cierpienie. Niektórzy nie dożywają terapii, podcinając sobie żyły, zażywając garść tabletek nasennych, głodząc się na śmierć lub wieszając na klamce.

Wartość społeczeństwa poznaje się po tym, jak traktuje najsłabszych i bezbronnych członków. Jeśli nie podejmie się szybkich i zdecydowanych kroków, zwłaszcza w psychiatrii dziecięcej, to czeka nas katastrofa. Trzeba będzie zweryfikować diagnozę Piłsudskiego o Polakach, że ludzie to kurwy, ale naród wspaniały. Tak. Ludzie to kurwy, a naród skurwiały. I chory.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Wdowa po esbeku

Anna mieszka w Poznaniu. Ma 91 lat i dwie niepełnosprawne córki. Starsza „dziewczynka” ma 71, młodsza 66 lat. Prawie pół wieku temu mąż jechał do Piły, samochód wpadł na plamę oleju, wyrzuciło go na zewnątrz. Wtedy, w 1975 r., został inwalidą. Zmarł w 2017 r.

Anna od siedemdziesięciu lat zajmuje się dziećmi. Najmłodszy syn chował się zdrowo, córki miały problemy ze słuchem. Jedna w ogóle nie słyszała, druga również nie mówiła. Opieka nad kalekami nie pozwalała kobiecie na opuszczanie domu. Dlatego nie wypracowała własnej emerytury.

Dostała po mężu 3,2 tys. zł brutto. Kilka miesięcy później weszła w życie tzw. druga ustawa dezubekizacyjna. Emerytura skurczyła się do 1000 zł.

„To skandal, że esbecy mieli takie świadczenia. Zwyczajnie im to się nie należało, dlatego dostali średnie, zwykłe. To jest sprawiedliwa Polska” – mówił wiosną 2020 r. Andrzej Duda na konwencji prezydenckiej w Warszawie. Anna nie chce tego komentować.

Skarpeta

Najchętniej rozmawia między jedenastą a południem. Ma wtedy czas, obiad pyrkocze na kuchni.

– Dzisiaj rosołek na skrzydełkach z kurczaka – zdradza.

Przepis? Warzywa, woda, 5 skrzydełek. Po 2 dla córek, jej wystarcza jedno. Do tego po pół bułki. Wczoraj była zupa burakowa z ptysiami. Na Wigilię zrobi grzybową. Dostała od pielęgniarki z przychodni suszone prawdziwki. Leśne grzyby traktuje podejrzliwe, ale te są piękne, same łebki. Do tego pierogi i w wazonie gałązka świerku z ogrodu. Prezenty? Dawno odwykła od prezentów.

Prosi, żeby w artykule nie podawać jej nazwiska. Ona nie rozmawia ze mną, żeby coś dostać. Chciałaby tylko skłonić Sąd Okręgowy w Poznaniu, żeby rozpatrzył jej odwołanie od decyzji Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA. Papier leży i leży, dziurę w końcu wyleży, bo sąd czeka na interpretację Trybunału Konstytucyjnego. A prezes Julia Przyłębska ma inne zajęcia. Trudno mieć żal, musi przygotować kolację dla Jarosława Kaczyńskiego albo pokazać się z mężem – ambasadorem w Berlinie.

Anna chce, żeby sąd nie oglądał się na trybunał, bo pieniądze w jej skarpecie się kończą. Skarpetę wypchała w lepszych czasach, zawsze była przewidująca.

– Dziewczynki? – powtarza pytanie. – Wiek już taki, że czują się różnie. A ja w ogóle nie choruję, bo nie mam za co.

Warkocze

Gdy wybuchła wojna, miała 10 lat. Pamięta jak przez mgłę. Wysiedlenie. Obóz pośredni. Głód.

– Niech pani przeczyta książkę „Zapamiętane z Bruckstadt. Wspomnienia wojenne mieszkańców Ziemi Uniejowskiej” – radzi. – Tam jest relacja siostry. Szczegółowa.

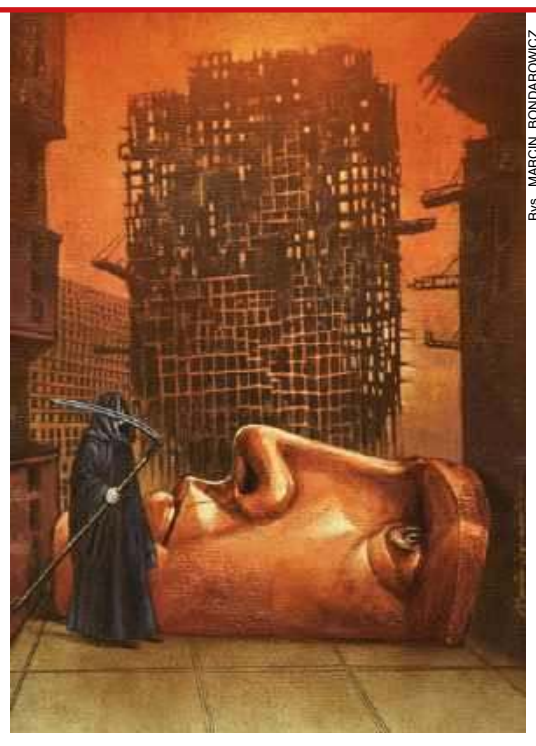

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Mieszkali w Rożniatowie. Zamożni, dwie pary koni i dwie furmanki. 5 czerwca 1940 r.

eprasa.pl 67bea7921d

Rewolucja jest kobietą.
Z włosami pod pachami.

Julka, julka, pamiętasz

Po starannym przeanalizowaniu trendów kulturowych, wyłonionych w roku 2020, doszłam do niepokojącego wniosku, że jestem dzieckiem julki i dziadersa.

I. Dziadocen

To, kim jest dziaders, chyba wiedzą już wszyscy. To mężczyzna (przeważnie) w wieku średnim plus (choć niekoniecznie), który lubi myśleć o sobie, że jest postępowym egalitarystą, a tak naprawdę tkwi w okowach patriarchatu i z tej pozycji z wyższością poucza wszystkich – a najchętniej młodsze od siebie kobiety – jak rozumieć świat. Jak syntetycznie ujmuje to Agnieszka Graff, chodzi o mężczyzn **„mających się za sojuszników kobiecej sprawy, ale pozostających pod wpływem seksistowskich nawyków”.** Mężczyźni z gatunku dziadersów – dominujący we wszystkich opcjach życia publicznego

z wyjątkiem skrajnej prawicy, co czyni nasz czas **„epoką dziadocenu”** – zatruwają julkom życie, choć często chcą dobrze. Wobec protestów po orzeczeniu trybunału Przyłębskiej dziadersem okazał się nie tylko niedawny idol walki o wolne sądy prof. Rzepliński, który nazwał protestujące dziewczyny **„hołotą”**, ale także mój ulubiony marszałek Grodzki, który postanowił je wesprzeć, mówiąc: **„To kobiety sprawiają, że nasze codzienne życie toczy się harmonijnie i gładko, w sposób jakby trochę niezauważalny”.** Jak trafnie streściła myśl Grodzkiego Agnieszka Wiśniewska: **„Kaczyński, ty chamie, kobiety protestują i mam przez to skarpety nieuprane”.**

Ale to nie wszystko. Dziaderstwo to nie tylko stosunek do kobiet – także do świata, polityki, gospodarki. Mariusz Janicki, pisząc o dziadersach w „Polityce”, przypisał im cechy kojarzone z archetypem czytelnika „Polityki”: zapatrzenie w gospodarkę, fetysz zrównoważonego budżetu, kult przedsiębiorczości, wstręt wobec „rozdawnictwa” – a także odruchowe przeliczanie każdej politycznej idei na mandaty zgodnie z systemem D’Hondta. Krótko mówiąc: dziadersi są obrzydliwi.

II. Julkizm

Z kolei julka to kobieta urodzona mniej więcej w roku 2000 (gdy najczęściej nadawanym dziewczynkom imieniem była Julia), postępowa bezkompromisowo, nienawidząca dziadersa i jego przemądrzałości, wyrażająca swoje radykalne opinie głównie na Twitterze, ale ostatnio także na ulicach. Julka to w zasadzie określenie pejoratywne – kpina z pewnej postawy, którą reprezentanci konkurencyjnych postaw, np. kuce i sebixy, uważają za niesłuszną. Z tego powodu kapituła Młodzieżowego Słowa Roku, zalana julkowymi zgłoszeniami, postanowiła nie wyłaniać w roku 2020 zwycięzcy – uznając, że zorganizowana akcja głosowania na słowo oznaczające **„młodą dziewczynę, która mówi dużo, a wie mało, co jest często skorelowane ze skrajnie lewicowymi poglądami”**, nie może zostać nagrodzona **„w sytuacji, w której wyśmiewane »julki« są bite na ulicach”.**

Kapituła niewątpliwie chciała dobrze – ale jestem dziwnie pewna, że raczej wcześniej niż później julki przejmą obelżywe w założeniu określenie i jego pierwotna pejoratywność zaniknie, zalana strumieniem bojowej autodefinicji, podobnie stało się to np. z pojęciem „J.P.2”, którego tygodnik „NIE” był prekursorem. Antycypując ten proces, będę używać słowa „julka” w znaczeniu opisowym, a nie obelżywym, co z góry zaznaczam.

III. Białastwo

Gwoli ścisłości: zachwyca mnie wszystko, co słyszymy dziś od julek na ulicach. Bezkompromisowe przekonanie, że aborcja jest prawem człowieka, otwarta wrogość wobec Kościoła, posunięta do **„zakłócania mszy świętych”** i **„aktów wandalizmu”** polegających na wypisywaniu numeru telefonu wsparcia aborcyjnego na kościelnych murach, wulgarność języka podbita drwiną z dobrych manier (**„Nadmienię, że jestem wkurwiona”**) – to wszystko jest absolutnie genialne. Zachwycająca jest ich – żeby zacytować prezesa – wyzywająca ojkofobia: jednym z popularnych julkowych haseł twitterowych jest **„jebać polaczków”.** Kurewsko cieszy mnie ich antyrasistowska postawa, nawet jeśli jest nieco egzaltowana: powszechną reakcją julek na doniesienia o ruchu Black Lives Matter było stwierdzenie: **„Wstyd mi, że jestem biała”.**

Karierę w sieci robi *screen* z wpisu julki, której w ucho wpadł słuchany przez młodszego brata e-book „W pustyni i w puszczy”:

„Jprdl, zaktualizujcie w końcu listę tych lektur, co pięć sekund m-mord”.

Tłumacząc na dziadersowy: rozpoczynając od słów **„ja pierdolę”,** autorka wyraża dezaprobatę dla częstego używania przez Sienkiewicza słowa **„Murzyn”. „Murzyn”,** podobnie jak **„Cygan”** – co zapewne należy wytłumaczyć nie tylko dziadersom – należą do słów, które stały się niecenzuralne. Klucz jest bardzo prosty: określenia nie są neutralne, jeśli osoby, których dotyczą, nie uważają ich za neutralne, dostrzegając w nich

wrogie stereotypy. Piszę to bez odrobiny ironii: sama miałam pewien problem z przyjęciem tego faktu do wiadomości i zazdroszczę julkom, że dla nich jest to oczywiste.

IV. Antysamczość

Z drugiej jednak strony – i to powód, dla którego dostrzegam dziaderstwo w swoich korzeniach – julki są wyrazicielkami tego kształtu feminizmu, który budzi we mnie dziaderskie zgoła rozbawienie. Objawia się w takich mniej więcej deklaracjach: **„Ludzie, którym nie ufam: 1. mężczyźni; 2. ludzie, którzy nie nienawidzą mężczyzn”; „Przestańcie mi przypominać, że mężczyźni istnieją”.**

Jeśli w tym miejscu myślisz sobie, Drogi Czytelniku, że tego typu enuncjacje to efekt złamanego serduszka, to oczywiście jesteś dziadersem do kwadratu i nie ma już dla ciebie nadziei. Uogólniona nienawiść do mężczyzn jako postawa właściwa i godna promowania stała się tegorocznym feministycznym przebojem – elementem tożsamości julek na całym świecie – dzięki niepozornej książeczce napisanej przez 25-letnią francuską aktywistkę Pauline Harmange.

Licząca 80 stron broszurka złożona jest z dziewięciu wypracowań zakończonych tą samą konkluzją: pryncypialna niechęć do mężczyzn to droga do odnalezienia szczęścia w kobiecej przyjaźni i „siostrzeństwie”. Młodzieńcze, nieco egzaltowane wynurzenia autorki opublikowane w 250 egzemplarzach przez niszowe wydawnictwo Monstrograph zapewne przeszłyby bez echa, gdyby tytuł *„Moi les hommes, je les déteste”* (tłumaczony jako „Nienawidzę mężczyzn”, choć tak naprawdę oznacza raczej coś jak „Mężczyźni, jak ja ich nie znoszę”) nie zwrócił uwagi Ralpha Zurmély’ego, będącego doradcą francuskiej minister ds. równości płci Élisabeth Moreno.

Zurmély, nie czytając książki, uznał ją za **„odę do mizoandrii”** i wystosował do wydawcy list z pogróżkami: **„Pozwalam sobie przypomnieć, że podżeganie do nienawiści ze względu na płeć jest przestępstwem! W związku z tym proszę o niezwłoczne usunięcie tej książki z katalogu pod rygorem odpowiedzialności karnej”.** Po tym jak jego wygłup opisał postępowy portal „Mediapart”, ministerstwo się od niego odcięło, ale było już za późno. Książeczka, którą prawdopodobnie przeczytaliby rodzice autorki i kilkoro jej przyjaciół, po kilku dodrukach w mikrowydawnictwie została przejęta przez wielki dom wydawniczy Éditions du Seuil, a także przetłumaczona na angielski, niemiecki i hiszpański. W ten sposób młodzieńcze enuncjacje autorki stały się manifestem pokolenia.

Kłopot polega na tym, że spora część tych enuncjacji wydaje mi się dość niemądra.

V. Niegolizm

Pauline Harmange przekonuje, że feministki błądzą, gdy ich mizoandria jest jedynie żartobliwa, albowiem **„taka postawa ma ważkie powody; obojętność nie wystarczy, potrzebny jest gniew”.** Harmange nie uważa zresztą, że jej nienawiść do mężczyzn jest rzeczywiście „mizoandrią” – proporcjonalnym odbiciem męskiej mizoginii – albowiem **„jest to bierna nienawiść, nie będziemy chwytać za broń”.** A tymczasem jeśli chodzi o mizoginię, kobiety są jej prawdziwymi ofiarami, co autorka wie z nieosobistego doświadczenia – jej mąż jest wyjątkiem od jej reguły nienawidzenia mężczyzn – tylko z pracy w organizacji feministycznej, która od kilku lat pomaga ofiarom gwałtu i napaści na tle seksualnym: **„Mogę stwierdzić, że większość agresorów to mężczyźni”.**

Ale tak naprawdę – przyznaje autorka mniej więcej wprost – to tylko pretekst. Nienawidzenie mężczyzn jest fajne: **„W mizoandrii widzę drogę ucieczki; sposób na egzystencję poza wyznaczonymi ścieżkami, na to, żeby mówić »nie« każdym oddechem. Nienawiść do mężczyzn, jako grupy społecznej, a często także jednostek, sprawia mi wiele radości”.** Albowiem mężczyźni są **„gwałtowni, samolubni, leniwi i tchórzliwi”** i mimo wielokrotnych przypomnień nie odstawiają mleka do lodówki.

Staroświeckie koncepty feminizmu – te, które wyrażała np. Gloria Steinem, mówiąc, że jest to postawa **„kobiety lub mężczyzny, wierzących w społeczną, polityczną i ekonomiczną równość kobiet”** – są już do niczego. Żaden mężczyzna nie może być feministą, ponieważ mężczyźni **„nie mają prawa przywłaszczać sobie terminu, który został ukuty przez ofiary ucisku”.** Zaliczanie mężczyzn do grona feministów jest **„bardzo szlachetne”,** ale **„przez 40 lat oddzielających definicję Glorii Steinem od mojej pracy udowodnili oni, że nie zasługują na zaufanie, jakim obdarzyły ich kobiety”** – wyjaśnia bezkompromisowo Harmange w jednym z wywiadów. Obok zdjęcie: krótkowłosa brunetka w dużych okularach z rękami założonymi za głowę i gęstym zarostem pod pachami.

Rysunki TOMASZ WIATER

Czy golenie pach jest grzechem porównywalnym z ufaniem mężczyznom? Czy jedno i drugie czyni mnie tylko antyfeministką, czy już pełnometrażowym dziadersem? A może – mówię sobie na pocieszenie – to tylko kwestia wieku? Może nie jestem dziadersem, tylko po prostu starą babą?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

przed dziesiątą przyszło trzech niemieckich żołnierzy.

– Wynoście się! – powiedzieli 7-osobowej rodzinie.

Matka chorowała na serce.

– Proszę, pozwólcie zostać – błagał ojciec.

Cudem uniknął śmierci za stodołą. Pod stertą słomy, w skwarze czekali na transport do Łodzi. Podróż wozami konnymi do fabryki przy ul. Łąkowej. Właśnie tutaj znajdował się centralny obóz przesiedleńczy. Czarna kawa i chleb, jedzenia nie wystarczało dla wszystkich. Nocleg na podłodze, ludzie umierali jak muchy. Znów transport – wagonami bydlęcymi do Łochowa. Tak ciasno, że nie było gdzie postawić obu nóg. Znów wóz, konie ślizgały się w błocie, ojciec im pomagał, popychał. Płakał przy tym jak dziecko, wspominając swoje zwierzęta.

Miedzno. Ojciec w konspiracji, Ania w warkoczach przemycała grypsy. Kiedyś zatrzymał ją niemiecki wartownik, pociągnął za włosy. Zesztywniała.

– *Gut, gut.* – Wyjął gazetę, a tam zdjęcie Anny zrobione w obozie w Łodzi. Podpis: **„Tak wyglądają jeńcy w obozie niemieckim”.**

– *Gut, gut.* – Niemiec napuszył się, dumny ze swojej spostrzegawczości.

Rodzina zajęła pożydowski dom, tak kazali Niemcy. Zbierając w lesie chrust, znaleźli Żyda. Karmili go, pomogli przetrwać wojnę. Dopiero wtedy powiedział, że mieszkali u niego.

Bliźniak

– Przeżyłam zimę, to coś. – Anna z radością wita kolejne wiosny. – Bo to nie jest oczywiste: przeżyć. Bardzo boję się tej zimy, która nadchodzi. Każde 10 zł oglądamy ze wszystkich stron.

Mieszkanie w Poznaniu, 54 metry, przepisała na syna. Nie była w stanie płacić czynszu. 700 zł, do tego prąd, gaz, woda, śmieci. A gdzie jakiś but? Jedzenie?

– Syn jest alkoholikiem, mieszka z żoną – opowiada. – U nas w domu nie było alkoholu. Ale on był kucharzem… Jest takie powiedzenie: sami swoi i synowa. Częściowo rozumiem…

Córki mają własny dochód. Po 1020 zł zasiłku. I własny dach nad głową. Jedna ma nawet domek pod Poznaniem. Chodziła do specjalnej szkoły dziewiarskiej. Odbywała praktyki w zakładzie, właściciel pomógł zbudować pół bliźniaka.

Sąsiedzi podrzucają trochę drewna. Owoc dostaje od znajomych. Warzywa własne, jest skrawek ogródka. Nauczyła dziewczynki szycia i robótek na drutach, a przede wszystkim, żeby nikogo o nic nie prosić. Życie nie jest po to, aby było przyjemnie.

– Radzą sobie – mówi. – Teraz jedna córka jest u sąsiadów. Pilnuje starszej chorej pani, bo zostawiona sama sobie robi szkody w mieszkaniu. Przynosi czasem 50 zł, czasem 100. Potrafią przyszyć rękaw, jak się urwie, przerobić bluzkę, skrócić spodnie. Wpada 20–50 zł.

Po dłuższej chwili przyznaje: – No, beze mnie radzą sobie gorzej. Denerwują się, gdy przyjedzie koperta z urzędu.

Burmistrz

Mąż Anny pochodził z komunistycznej rodziny. Jego dziadek był robotnikiem, ojciec założycielem lokalnych struktur Komunistycznej Partii Polski. I pierwszym peerelowskim burmistrzem Wrześni. Dobry człowiek, miał na imię Ignacy…

Z historii Wrześni: **„Na zebraniu obywatelskim w sali posiedzeń wrzesińskiego ratusza 27 stycznia 1945 r. powołano 16-osobową Miejską Radę Narodową. Wybrano też tymczasowego burmistrza, którym został Ignacy** [tu nazwisko Anny]**. Przedwojennemu burmistrzowi Antoniemu Zamysłowskiemu powierzono funkcję wiceburmistrza”.**

Zamysłowski był **„jawnie religijny”,** w 1947 r. musiał więc zrezygnować. Kilka miesięcy później za brak czujności odwołano Ignacego. Ślub młodych nie mógł się odbyć w kościele, wybranek od 1945 r. pracował w organach bezpieczeństwa państwa.

Ślusarz

Anna: – Niech pani zadzwoni jutro. Mam majstra. Pokój ogrzany, korytarz nie, oszczędzamy. Wylazł grzyb. Rura przecieka.

Bóg

Zwykle przed południem Anna czyta. Książki są drogie, korzysta więc z biblioteki. Teraz wertuje Grishama, lubi tego autora.

Pociecha w Bogu?

– Ja mam uraz. Księża to armia ludzi bezproduktywnych. Nie jestem praktykująca. Mam komuś swoje życie opowiadać? – pyta. – Poznań jest kochany. Nasz. Czemu sąd zwleka? – zastanawia się. – Proszę napisać: ja nie mam czasu za wiele.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Ojciec chrzestn
ojca chrzest

O „Maximie" w Gdyni, cinkciarzach, Szwedach i p

– Chcę napisać tekst o jednym z ojców chrzestnych trójmiejskiej mafii – powiedziałem znajomej. – Umarł niedawno.

– Zastrzelili go? – zapytała.

– Nie. Dlaczego? Zmarł po prostu. Miał 84 lata.

– No to musiał być niezły, że miał taką robotę i dożył takiego wieku.

Michał Antoniszyn faktycznie musiał być niezły. Pierwsze wielkie pieniądze – jak głosi legenda – zarobił na sprowadzaniu do Polski ze Stanów Zjednoczonych szaf grających, w które wyposażał trójmiejskie lokale. Choć nie były to czasy sprzyjające importowi z Zachodu, zwłaszcza dla osób prywatnych. Mniej legendarne były podejrzenia, że zajmował się, jak wielu na Wybrzeżu wówczas, handlem walutami. Tylko na wielką skalę. Pierwszy sprowadził do Polski wariograf i uczył Milicję Obywatelską, jak się nim posługiwać. W latach 70. prowadził kilka – dla jednych szemranych, dla innych ekskluzywnych – lokali w Trójmieście. Przede wszystkim był właścicielem legendarnego w latach 80. klubu „Maxim" w Gdyni-Orłowie, gdzie biesiadowali artyści i sekretarze PZPR, gangsterzy i prokuratorzy. Klubu porównywanego do słynnego paryskiego kabaretu erotycznego „Crazy Horse".

Antoniszyna uznawano za protektora równie legendarnego złodzieja samochodów Nikosia. Akta sprawy prowadzonej przeciwko Antoniszynowi przez milicję w drugiej połowie lat 80., w końcowym okresie stanu wojennego, nosiły kryptonim „Żarłoczny rekin". Zajmował się także hipnozą, dlatego brano go za psychologa lub lekarza. W pierwszej edycji rankingu tygodnika „Wprost" w 1990 r. wśród stu najbogatszych Polaków znalazł się na 35. miejscu. W latach 90. Antoniszyn obdarzał wymyślonym przez siebie tytułem „homo popularis" elitę Trójmiasta – od Lecha Wałęsy poprzez abepe Głódzia do Andrzeja Jaworskiego, niegdyś ważnego polityka PiS, dzisiaj totumfackiego ojca Rydzyka – a oni przyjmowali to z wdzięcznością i nabożeństwem. Przez 30 lat co roku Antoniszyn urządzał uroczystą galę, na której meldowały się polityczne i kościelne elity. Zwano go „Mecenasem", co różnie można rozumieć. W każdym razie żadnego z zawodów prawniczych Antoniszyn nigdy nie uprawiał.

Poznałem go w galerii znanego gdańskiego marszanda. Antoniszyn interesował się sztuką i kupował obrazy gdańskich malarzy, dzisiaj nobliwych profesorów gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, z wieloma się kumplował.

Gospodarz przedstawił mi go wówczas: – To jest znany gdański mafioso, chociaż już lekko wyliniały.

Antoniszyn nie lubił rozgłosu, czemu trudno się dziwić, choć wielu ludzi z tzw. miasta ma parcie, żeby zostać bohaterami mediów. Jak Nikoś, zachwycający się artykułami na swój temat czy do znudzenia oglądający scenę z filmu „Sztos", gdzie zagrał epizod – samego siebie. Antoniszyn był typem samotnika. Był także antyrodzinny.

Majtki w poszukiwaniu dziewczyn

Michał Antoniszyn urodził się w 1936 r. niedaleko Lwowa i tam spędził dzieciństwo. Pochodził z niezbyt zamożnej rodziny polskiej, po wojnie repatriowanej na Dolny Śląsk, do Zgorzelca. Tam spędził młodość. Do Trójmiasta musiał trafić pod koniec lat 60., gdy miał około 30 lat.

Lata 70., gdy po tzw. wydarzeniach grudniowych od władzy odsunięto siermiężnego Władysława Gomułkę, a funkcję I sekretarza KC PZPR objął „światowy" Edward Gierek, oznaczały jakościowy skok inwestycyjny, konsumpcyjny i częściowe otwarcie PRL na Zachód. Powstały pierwsze sklepy Pewex, gdzie za dolary lub tzw. bony dewizowe można było kupić towary z zagranicy: słodycze, alkohole, papierosy, kosmetyki, dżinsy. Podobną siecią była powstała w Gdyni Baltona. To spowodowało pojawienie się cinkciarzy, czyli chłopaków, którzy nielegalnie handlowali walutami. W Trójmieście zarabiali krocie.

Gdynia i Trójmiasto w latach 70. miały specyficzny klimat. Porty w Gdańsku i Gdyni to statki z całego świata, marynarze, obcokrajowcy.

W latach 70. i 80. do portu w Gdyni zawijało 3 tys. statków rocznie, średnio 8 dziennie. Podobnie było w porcie w Gdańsku. Dzisiaj kontenerowiec stoi kilka godzin i odpływa. Nikt z załogi nie schodzi na ląd, bo nie ma na to czasu. W latach 70. czy 80. drobnicowce stały nawet tydzień, w porcie mogło być nawet 30 statków naraz. Dzisiaj na statku pływa po kilka osób, a kiedyś załoga liczyła 40–50 marynarzy. Podczas oczekiwania na rozładunek większość (oprócz tych, którzy wykonywali jakąś pracę czy pełnili wachtę) się nudziła, wybierała więc do miasta. Ostrożnie licząc, co wieczór na poszukiwanie rozrywki, muzyki, alkoholu i seksu ruszało kilkuset mężczyzn. Przede wszystkim zachodnich marynarzy – Szwedów, Holendrów, Niemców, Kanadyjczyków – mających dolary (dzisiaj głównie kontraktowani są Filipińczycy, którzy po zejściu na ląd zainteresowani są raczej zakupami niż rozrywkami).

Gdynia w latach 70. i 80. miała pasażerską linię żeglugową do Stanów Zjednoczonych i Kanady, na której pływał TSS „Stefan Batory". Z Gdańska regularnie pływały promy do Nynäshamn w Szwecji i Helsinek w Finlandii. Dzisiaj, gdy każdy ma paszport, a pływanie do Szwecji nie jest niczym nadzwyczajnym, może to dziwić, ale wówczas przystań promowa była miejscem ekskluzywnym. Sama obecność na nabrzeżu elektryzowała.

Walerij Lukka, „Maxim", 1988 r., olej na płycie.

Szwedów przybywało do Trójmiasta sporo, bo mieli tu prawie za darmo knajpy, hotele i dziewczyny, u siebie zaś panującą od początków XX w. półprohibicję (skomplikowany system zaopatrywania się w alkohol, który w dodatku był kosmicznie drogi) oraz ustawę zakazującą kupowania usług seksualnych.

Nic więc dziwnego, że Trójmiasto było wylęgarnią przestępstw: przemytu, handlu walutami, złotem i srebrem, kantów na walutach, prostytucji i nielegalnego hazardu. Był to świat dopiero się organizujący.

Na Wybrzeżu kwitło też nielegalne wydobywanie bursztynu i handel nim. W gdańskiej dzielnicy Przeróbka pod ziemią znajdowały się jedne z większych złóż bursztynu w basenie Morza Bałtyckiego.

Musiały zatem być miejsca, gdzie marynarze, cinkciarze, złodzieje, PRL-owska elita polityczna i artystyczna mogła wydawać pieniądze. Kilka z nich w latach 70. prowadził Michał Antoniszyn.

Jedyny czynny telefon

Restauracja „Wiking" w gdańskim Nowym Porcie (tu mieściła się baza promowa do Szwecji i kilka towarowych nabrzeży portowych; tu stała uruchomiona pod koniec XIX w. najważniejsza dla żeglugi morskiej na Zatoce Gdańskiej latarnia morska) była legendą słynącej już przed wojną z wielkiej liczby lokali dzielnicy. Knajpa ta była znana przede wszystkim z prostytutek. „Wiking" miał także inną atrakcję – aparat telefoniczny na monety. Można było przyjść o dowolnej porze i zadzwonić, gdy już zamknięto pocztę, bo przecież budki telefoniczne były nieustannie zdemolowane. „Wikinga" uwiecznił Stanisław Goszczurny w powieści „Mewy", a nazywanie prostytutek „mewkami" weszło do języka polskiego.

Mniejszą legendą cieszyła się „Lucynka", restauracja w starej części Wrzeszcza, istniejąca do dzisiaj. Reklamuje się jako lokal położony niedaleko domu, w którym urodził się Günter Grass. To tu w 1973 r. podobno zaczynał swoją pierwszą pracę bramkarza 19-letni Nikodem Skotarczak, Nikoś.

„Relax" na gdańskich Stogach to był lokal, o którym się zwykle mówi, że po zamknięciu obsługa zęby z podłogi zmiata na szufelki. Na Stogach chłopaki lały się zawsze i o wszystko.

W grudniu 1970 r. w Gdańsku podczas strajku stoczniowców na polecenie Władysława Gomułki pojawiła się kolumna 7 czołgów i 33 transporterów opancerzonych dowodzona przez gen. Edwarda Wejnera. Jeden z takich transporterów zdobyły chłopaki ze Stogów od Antoniszyna.

Był wśród nich taki, co odbył służbę wojskową jako kierowca takiego transportera. Gdy po latach gen. Wejner spotkał się z Antoniszynem, chciał poznać „dowódcę" grupy, która odbiła mu transporter.

„Miramar" powstał jako ośrodek turystyczny PTTK. Wyróżniał się na tle secesyjnej zabudowy Sopotu nowoczesną modernistyczną bryłą. Położony bardzo blisko plaży, słynął z dancingów trwających do białego rana. I był wówczas bardzo modny. Ta ciekawa architektonicznie bryła „Miramaru" przykrywała ulokowaną pod ziemią inną państwową twórczość architektoniczną – schron, w którym miało się mieścić centrum dowodzenia w przypadkach kryzysowych.

Ostoją Antoniszyna w branży gastronomicznej była niejaka Jadźka A., która zarządzała kuchnią i kelnerkami. Zwykle figurowała w dokumentach jako ajentka. Lokale dzierżawiono od właścicieli, czyli PSS Społem lub PTTK. Antoniszyn zatrudniał się w swoich de facto lokalach na etacie behapowca albo kierownika sali.

To była inna zamrażarka

W pobliżu „Miramaru" na nasypie Szybkiej Kolei Miejskiej w 1977 r. – czyli w czasie gdy lokalem zarządzał Antoniszyn – w Wigilię znaleziono ciało 30-letniej prostytutki o pseudonimie Majka. Antoniszyn był jednym z podejrzanych w tej sprawie. Mówi się, że zamordował prostytutkę, ale uniknął skazania. Być może dlatego, że miał parasol służb.

„Majka" w branży pracowała kilka lat. Urzędowała w różnych lokalach, najczęściej w „Miramarze". Jej klientami byli głównie marynarze. Wjazd do „Miramaru" dla prostytutki kosztował 200 zł, płaciło się bramkarzowi.

Obsługa lokalu oszukiwała pijanych klientów na rachunkach, prostytutki wyciągały im portfele. Dochodziło do przepychanek i awantur. Czasem interweniował sam Antoniszyn. Musiał „Majkę" znać. Milicja szukała sprawców m.in. wśród bywalców i pracowników lokalu. Antoniszyn był jednym z pierwszych podejrzanych.

Ciało prostytutki znaleziono bardzo zmarznięte, choć tego dnia temperatura była plusowa. Jednym z badanych wątków śledztwa było podejrzenie, że zanim wywleczono na śnieg zwłoki, przechowywano je w chłodzie. Mogła to być zamrażarka w „Miramarze". Mogła, ale czy była?

Śledztwo z braku konkretów zamknięto po roku. Nikomu nie postawiono zarzutów. Po wielu latach powrócono do sprawy. Powiązano śmierć „Majki" z innym zabójstwem w tym samym czasie. Zamordowany został w odległej dzielnicy Gdańska, na Przeróbce, Zenek, taksówkarz, który często woził „Majkę" swoim fiatem 125p. Razem handlowali walutą i złotem. To śledztwo także umorzono z powodu niewykrycia sprawcy. I po latach, po zbadaniu akt tych dwóch morderstw analitycy doszli do wniosku, że sprawcą obu mógł być zmiennik Zenka, drugi kierowca, który woził „Majkę", zwany „Rumcajsem". „Rumcajs" był hazardzistą i miał długi. Po śmierci wspólnika i „Majki" (miała zgromadzony niezły mająteczek) „Rumcajsowi" udało się długi spłacić i kupić nowego fiata. „Rumcajsa" wcześniej pomijano w śledztwie. Być może dlatego, że był milicjantem. Gdy sprawy zabójstw połączono, już nie żył.

Antoniszyn nie miał więc ze śmiercią „Majki" nic wspólnego. Dokładna analiza śladów wykazała, że ciało prostytutki przetrzymywano w komórce przy domu teściów „Rumcajsa", zresztą w pobliżu „Miramaru".

Atlantic City po sezonie

Jednak to nie sopocki „Miramar" przeszedł do legendy. Najbardziej legendarnym lokalem Trójmiasta, a być może i Polski, w tamtym czasie był „Maxim". Znajdował się w Gdyni przy ul. Bohaterów Stalingradu (potem przemianowanej na ul. Orłowską).

„Maxim" powstał w 1980 r., ale budynek został zbudowany na przełomie lat 60. i 70. przez Greka pływającego na statkach Polskich Linii Oceanicznych Nikosa Dymitrojanisa. Dymitrojanis założył tu restaurację „Zorba" z grecką kuchnią. Po jakimś czasie „Zorba" przeszła w ręce dwóch warszawskich cwaniaków i to od nich Antoniszyn przejął lokal.

Był wtedy właścicielem kilku nieruchomości, w tym willi na Kamiennej Górze w Gdyni (jednej z najdroższych lokalizacji w Trójmieście). Willę tę zamienił na „Zorbę", z której zrobił „Maxima".

Stojący na skarpie niedaleko morskiego brzegu i drewnianego mola „Maxim" miał duży przeszklony taras, z którego widać było Bałtyk. Wewnątrz rosło drzewo, którego korona wystawała ponad dach. W lokalu była scena podnoszona mechanizmem poruszanym silnikiem wymontowanym z traktora. Było kilka barów, stylowe meble, a na ścianach obrazy gdańskich malarzy. Gości obsługiwały skąpo ubrane kelnerki albo pięknie zbudowani młodzi kelnerzy.

Do „Maxima" mógł wejść każdy, ale nie każdego było stać na zamówienie. Mówiono, że kolorowy drink kosztował tam tyle, ile wynosiła mie-

eprasa.pl 67bea7921d

...y ...nego

...prostytutkach.

sięczna robotnicza pensja, ale była to przesada… Chociaż rzeczywiście balowali tam nadziani artyści, adwokaci, lekarze, cinkciarze, przestępcy, ludzie z tzw. służb, marynarze, dyplomaci. Bywali i raczyli się nie tylko dewolajem.

W „Maximie" panowie z pierwszych stron gazet poznawali przyszłe żony, np. swoją hinduską żonę poznał tu mecenas Tadeusz de Virion, znany m.in. z tego, że był obrońcą słynnych gangsterów. Ta żona, jak plotkowano, miała mu przysporzyć kłopotów, gdy rozważano jego kandydaturę na ambasadora III RP w Wielkiej Brytanii.

W latach późniejszych, gdy „Maxim" zaczął tracić na znaczeniu, lubił się tu bawić Sławomir Mindak, ksywa Turysta, uważany za ekstraklasę trójmiejskiego świata przestępczego.

Günter Grass, gdy w latach 90. odwiedził „Maxima", powiedział, że to miejsce przypomina mu Atlantic City po sezonie. Biorąc pod uwagę, że Atlantic City uchodzi za centrum hazardu na wschodnim wybrzeżu USA i odbyło się w nim pierwsze i najbardziej znaczące spotkanie głównych przedstawicieli przestępczości zorganizowanej w Stanach Zjednoczonych, na którym powołano tzw. Syndykat, kierujący rozmaitymi gangami, to porównanie niezwykle pochlebne, choć zapewne Grass miał na myśli tylko widok morza za szklaną ścianą.

W „Maximie" nie było rzecz jasna kasy fiskalnej ani normalnej księgowości. Pieniądze wrzucano do dostępnej dla całej obsługi szuflady. Nikt ich w ciągu dnia nie liczył. Kelnerka mogła więc skubnąć coś dla siebie. Antoniszyn sprowadził z zagranicy pierwszy w Polsce wariograf. I poddawał od czasu do czasu swoich pracowników badaniom. Przyłapanych na kłamstwie wyrzucał z pracy.

Zupełny nadwymiar

„Maximowi" niewątpliwie ogólnopolskiej sławy przysporzyła piosenka zespołu Lady Pank „Tańcz, głupia tańcz": **„U Maxima w Gdyni/ znów cię widział ktoś/ Sypał zielonymi/ mahoniowy gość/ Boney M. zagrało, kelner zgiął się wpół/ Potem odjechało/ złote bmw".**

Jeszcze za życia Antoniszyn opowiadał znajomym, że przebój ten po prostu u twórców zamówił. Jak było naprawdę, raczej się nie dowiemy, bo nikt się dzisiaj do tego nie przyzna. Może Antoniszyn po prostu się przechwalał.

Autorem słów piosenki jest Andrzej Mogielnicki (dzisiaj mieszkający na Dominikanie), jeden z najpopularniejszych polskich tekściarzy, piszący dla Budki Suflera, Izabeli Trojanowskiej, zespołów Dwa Plus Jeden i Lady Punk, którego był współzałożycielem.

Mogielnicki opowiadał dziennikarzowi Adamowi Halberowi, który w tygodniku „Angora" prowadził cykl „Jak powstają przeboje", że pewnego razu, będąc na Wybrzeżu, trafił do „Maxima", który zrobił na nim wrażenie **„miejsca dziwnego i intrygującego". „Oczywiście znałem tego rodzaju warszawskie lokale. Dewizowi goście, panienki, waluciarze, peweksowe papierosy"** – opowiadał – **„ale tu nagle zobaczyłem to w jakimś nadwymiarze. Na początku było uroczo. Lokal nad morzem, chyba nawet miał jakieś takie molo czy pomost, ale kiedy zaczął się zapełniać… Marynarze, Szwedzi, Arabowie, miejscowe cwaniaczki, głośna muzyka i dziewczyny. Nie tylko prostytutki, także szukające przygód, albo jak to się dziś mówi: sponsora, kilkunastolatki. Popijałem, chłonąłem całe to panoptikum i nagle otworzyła mi się jakaś szufladka i zacząłem opisywać tamten wieczór w Maximie".**

Co ciekawe, piosenka nie ukazała się ani na singlu, ani na żadnym ówczesnym albumie zespołu. Była grana w radiu i na koncertach. Była za to pierwszą piosenką Lady Pank, która trafiła na kultową listę przebojów Programu 3 Polskiego Radia, prowadzoną przez Marka Niedźwieckiego. Piosenka zadebiutowała w październiku 1982 r. i była na liście 5 tygodni.

Prawdopodobnie to piosence Mogielnickiego i Lady Pank „Maxim" zawdzięcza legendę, że zagrał w nim zespół Boney M. Boney M. – wówczas gwiazda pierwszej wielkości – owszem, występował w Polsce, ale w 1979 r. na Międzynarodowym Festiwalu Interwizji w Sopocie. „Maxim" powstał rok później. Żadne źródło nie potwierdza, że Boney M. zagrał kiedykolwiek w lokalu w Orłowie. Mogielnicki mógł słyszeć zespół u Antoniszyna, ale z taśmy.

Piosenka Lady Pank to niejedyny utwór związany z „Maximem". W 1988 r. inny znany polski tekściarz Krzysztof Dzikowski (autor m.in. „Anny Marii" Czerwonych Gitar) napisał z Sewerynem Krajewskim „Spotkanie starych żółwi", potem wykonywane przez Krajewskiego: **„Nim ptaków krzyk/ w przestworzach czas zatrzyma/ spotkajmy się przy winie/ jak dawniej u Maxima".**

Jarosław Pieczonka, „Majami", w czasach PRL agent kontrwywiadu, potem policjant, dla portalu internetowego „Gdańska Strefa Prestiżu" komentował powstanie „Maxima" tak: **„Czy wyobrażacie sobie, że w PRL zostaje wybudowany prestiżowy lokal i polskie specsłużby nie mają nad nim kontroli? To właśnie pomysł wybudowania tego lokalu wyszedł od polskich służb. Celem była nie tylko kontrola nad tzw. miastem, ale również w tamtym czasie czas w lokalu spędzali obcokrajowcy oraz dyplomaci obcych państw. To było idealne miejsce do prowadzenia obserwacji oraz różnych operacji przez polskie służby. Przeciętny Polak nie miał wstępu do tego lokalu. Miejsce odpowiednio zalegendowane oraz zareklamowane. Majstersztyk polskich służb".**

Bo to chuchro było

Przy „Maximie" i nazwisku Antoniszyna nieodmiennie pojawia się nazwisko legendy przestępczego świata Trójmiasta Nikodema Skotarczaka, który karierę miał zaczynać jako wykidajło w gdyńskim lokalu, potem być ochroniarzem Antoniszyna, który z kolei był jego promotorem i mentorem.

Powątpiewa w to Tadeusz Batyr, autor wydanej w 2018 r. biografii Skotarczaka „Spowiedź Nikosia zza grobu" (widać, że miał dostęp do milicyjnych i bezpieczniackich dokumentów, notatek i stamtąd czerpie bogatą wiedzę o bohaterze i epoce). Antoniszyn otworzył „Maxima" w połowie roku 1980. „Nikoś" już wówczas zajmował się poważniejszymi interesami.

W 1978 r. po raz drugi ożenił się ze starszą od siebie o 8 lat wdową. Sam – choć miał dopiero 24 lata – był już wdowcem. Plotkowano, że „Nikoś" zabił żonę i męża kobiety, z którą się później ożenił; z tego powodu trafił pod obserwację milicji i Służby Bezpieczeństwa. Choć drugie małżeństwo „Nikosia" nie trwało długo, w 1982 r. nastąpił rozwód, to właśnie ono pozwoliło mu wejść na drogę prawdziwych przestępczych interesów. Halina była siostrą przestępcy o pseudonimie Piękny Ricardo. „Ricardo" wyjechał do Szwecji i tam stworzył gang zajmujący się napadami na tiry, wymuszeniami haraczy, włamaniami, handlem walutami i przemytem, m.in. dzieł sztuki z Polski do Szwecji. To dzięki żonie i szwagrowi „Nikoś" przeskoczył kilka szczebli przestępczej kariery. Potem przyszedł handel kradzionymi w Niemczech samochodami, z czego zasłynął.

Z pewnością jednak Skotarczak z Antoniszynem się znali i jakieś wspólne interesy prowadzili.

„Nikoś" został zastrzelony 24 kwietnia 1998 r. w klubie nocnym „Las Vegas" niedaleko obwodnicy Trójmiasta. Do tej pory nie wiadomo, kto zlecił zabójstwo i kto był jego wykonawcą. 10 lat później, w rocznicę śmierci Skotarczaka, Antoniszyn opublikował tekst, w którym demitologizuje jego i własną zarazem legendę: **„Nikoś był za mały i za słaby, by obsadzić go w roli bramkarza. Właścicieli lokali odstraszała jego chuchrowata postura. Owszem, miał pracę we Wrzeszczu – jego starszy kolega Rysio Glinkowski (pseudonim Tata) prowadził hodowlę norek. Nikoś karmił zwierzątka i mył skórki. W 1974 r. miał trafić do Maxima, ale to niemożliwe, bo ten klub powstał sześć lat później. A wtedy Nikoś handlował już samochodami"** („Twój Wieczór", 18 kwietnia 2008 r.).

Jerzy Krechowicz, „Maxim", lata 80. XX w., oryginalny projekt plakatu – collage.

Chroniczny brak taksówek

Antoniszyn nazywany był „Mecenasem", ale także „Doktorkiem". Faktycznie miał doktorat z prawa. Taka informacja widnieje w bazie Komitetu Badań Naukowych. Jako pracę doktorską przyjęto publikację „Prostytucja w świetle badań kryminologicznych", która ukazała się w 1985 r. w państwowym Wydawnictwie Prawniczym (można ją nabyć na Allegro). W chwili publikacji książki gdyński „Maxim" pod kierownictwem Antoniszyna działał już pełną parą.

Jako współautor na okładce widnieje specjalizujący się w prawie kryminalnym, związany z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu prof. Andrzej Marek, który był także promotorem tego doktoratu. Niestety nie da się zapytać prof. Marka, jak to się stało, że wprowadził do świata nauki polskiej taką niecodzienną postać i sygnował własnym nazwiskiem wspólną książkę. I ile pracy każdy ze współautorów włożył w jej powstanie. Profesor zmarł w 2012 r.

Od wspólnych znajomych Antoniszyna i prof. Marka dowiedziałem się tylko, że profesor, człowiek dość zabawowy, bywał w lokalach Antoniszyna w latach 70., jeszcze przed powstaniem „Maxima". Tam się poznali. Być może znajomość z prof. Markiem natchnęła Antoniszyna do sprowadzenia wariografu.

We wstępie do książki o prostytucji autorzy podają, że pracę oparto na **„własnych badaniach empirycznych"** prowadzonych w latach 1978–1979 przez Michała Antoniszyna na terenie Trójmiasta oraz w 1981 r. przez Studenckie Międzywydziałowe Koło Penitencjarne UMK w Toruniu na terenie Włocławka. Jako człowiek z jednej strony związany z branżami gastronomiczną i rozrywkową, z drugiej obracający się wśród ludzi z półświatka, zapewne Antoniszyn nie miał problemu z przeprowadzeniem **„badań empirycznych".** Choć o historii zamordowanej w „Miramarze" „Majki" nie ma tam słowa.

Czytając doktorat Antoniszyna poświęcony prostytucji, można chwilami doznać pewnego rodzaju wzruszenia, jak gdyby czytało się pełne troski przemówienie sekretarza PZPR o rynkowych niedoborach: **„Problemem władz Trójmiasta są skargi pasażerów na chroniczny brak taksówek w porze nocnej. Ale właśnie pod lokalami nocnymi stoi przeciętnie od 20–30 taxi, a taksówkarze w sposób zdecydowany odmawiają jakiejkolwiek jazdy mieszkańcom. Taksówkarze ci czekają pod lokalami około 2–3 godzin na prostytutkę z bojkiem, co jak widać musi się im opłacać. W sezonie letnim 1979 r. organy MO w Sopocie, w porozumieniu ze Zrzeszeniem Prywatnego Handlu i Usług, podjęły szeroką akcję przeciwko takim praktykom, wydając zakaz wstępu do lokali taksówkarzom i zakaz pozostawiania samochodu przed lokalem oraz siedzenia w samochodzie. Zarządzenie to nie przyniosło jednak oczekiwanych rezultatów, a miejscowi mieszkańcy są w dalszym ciągu dyskryminowani poprzez grupę taksówkarzy odmawiających im świadczeń usług".**

W ostatnim rozdziale pracy pt. „Uwagi końcowe i wnioski profilaktyczne" znajduje się następujący passus:

„Klientami prostytutek są przeważnie cudzoziemcy, a w miastach portowych marynarze statków obcych bander. Należy dążyć do stwarzania im warunków godziwej i kulturalnej rozrywki, uwzględniającej ich tradycje, zamiłowania, sposób bycia.

Utrzymywanie lokali, w których cudzoziemców oczekują tylko prostytutki, jest niewątpliwie najłatwiejszym sposobem zdobywania pieniędzy, ale rodzi długofalowe i nieobliczalne szkody społeczne i moralne. Trzeba też zwalczać stereotyp nadmiernego alkoholizowania się, zwłaszcza w nocnych lokalach rozrywkowych, będący czynnikiem pośredniczącym pomiędzy potencjalnym klientem a prostytutką. Wielu młodych mężczyzn nie decydowałoby się na korzystanie z usług prostytutek, gdyby nie specyficzna atmosfera niektórych lokali rozrywkowych, stwarzająca zachęty w tym kierunku".

To pisze człowiek, pozwolę sobie powtórzyć, który prowadził w socjalistycznej Polsce najbardziej wówczas kultowy **„nocny lokal rozrywkowy"** z alkoholem, prostytutkami, striptizem, tkwiący w świecie przestępczym jeśli nie dwiema, to przynajmniej jedną nogą.

Łatwiej otworzyć szampana niż gazetę

W latach 90. „Maxim" podupadał. Antoniszyna namówiono, aby zainwestował w sieć lokalnych tygodników. To był pomysł chybiony, a branża medialna okazała się dla niego trudniejsza niż gastronomiczna. W dodatku miał niezbyt lojalnych wspólników. Szybko zaczął tracić majątek. W 2004 r. z powodu długów, które znacznie przekroczyły 100 tys. zł, budynek „Maxima" przejęło miasto. Od tamtej pory kilkakrotnie próbowało go sprzedać. Choć to jedna z najbardziej atrakcyjnie położonych nieruchomości w Trójmieście, unikatowa lokalizacja w skali kraju, do dzisiaj się to nie udało. „Maxim" jest ruiną, teren wokół niego porastają chaszcze.

Być może to kwestia sporu ze spadkobiercami rodziny Witolda Kukowskiego, zamożnego bankowca, ostatniego przed wojną właściciela tego miejsca, zamordowanego przez Niemców w 1939 r. W 1946 r. majątek Kukowskich znacjonalizowano na mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Prawa do marki „Maxim" trafiły do jednego z trójmiejskich prawników z tytułem profesora oraz do właściciela jednego z gdyńskich hoteli. Mają w planach odtworzenie klubu i jego legendy.

Sąd ostateczny

Miałem okazję gościć wielokrotnie w „Maximie". Zawsze, kiedy Michał Antoniszyn zapraszał, mówił, że na „herbatę z cytryną". Nigdy nie był jednak skory do snucia wspomnień. Konsekwentnie odmawiał dziennikarzom wywiadów. Choć wiem, że powstaje o nim książka. Była to wszak postać niebanalna.

14 listopada w Bazylice Mariackiej, w trzecim na świecie pod względem wielkości największym kościele zbudowanym z cegły, gdzie przed wojną wisiał przy ołtarzu słynny obraz Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny" (od czasu powrotu z ZSRR w 1956 r. oryginał jest w gdańskim Muzeum Narodowym, w kościele wisi kopia, czekając na zamianę miejscami), prałat Ireneusz Bradtke odprawił mszę w intencji Michała Antoniszyna zamówioną przez „grono przyjaciół". Dr Michał Antoniszyn przed śmiercią pojednał się z Bogiem.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

1. Franciszek nie jest generalnie kojarzony z poetycką egzaltacją, jaka zwykła towarzyszyć Janowi Pawłowi II. Obecny papież zdaje się dystansować od Wojtyły – chociaż uczynił go świętym – nie tylko w zakresie ochrony pedofilów i gromadzenia dóbr, ale także pretensjonalnej retoryki. Ostatnio jednak Bergoglio ogłosił: „Śmierć drży ze strachu, gdy chrześcijanin się modli". Przypomniał nam się standup Ricky'ego Gervaisa: „Gdyby się okazało, że się myliłem, i po śmierci spotkałbym Boga, powiedziałbym: – Och, ty istniejesz. A on na to: – No. Na to ja: – Stary, mam kilka pytań. Dlaczego czekolada zabija psy? Jeśli tak bardzo nienawidzisz homoseksualizmu, dlaczego umieściłeś męski punkt G w dupie? I wreszcie: dlaczego nie zabijesz Szatana?". Mamy więc pytanie do papieża: dlaczego Bóg nie zabije śmierci?

2. Interesujące rozwinięcie myśli papieża Franciszka zaprezentował pastor E.W. Jackson z własnego wyznania pod nazwą Duszpasterstwo Wiary Wyjścia. Jackson ma powody do zwątpienia: po tym jak ogłosił, że chrześcijanie „nie muszą" zachorować na COVID-19, jeśli wierzą w Boga, i on osobiście wie, że nie zachoruje, albowiem Bóg mu to powiedział – zachorował, nie zgadniecie, na COVID. Ale nie zachwiało to jego wiarą: ostatnio pastor Jackson wyjaśnił, dlaczego samoloty nie spadają z nieba: „Weźmy jakiegoś idiotę, który wsiada do samolotu i mówi sobie: »Nie wierzę w Boga, wierzę w naukę!«. To głupiec! Nie wie, że jeśli coś pójdzie nie tak, jego życie zostanie uratowane, ponieważ w tym samolocie był człowiek wierzący, który modlił się i mówił: »Panie, jestem pod Twoją ochroną«. I jakimś cudem wszyscy wyszli żywi".

3. Fascynująca praktyka indyjskich muzułmanów: „nikah halala". To zgodna z zasadami islamu metoda na ponowne połączenie małżeństw rozwiedzionych metodą „talak" – czyli trzykrotnego oświadczenia: „Nie chcę cię" wygłoszonego przez męża. Dla ochrony żon przed humorzastymi mężami niektóre społeczności islamskie uznają, że żona może powrócić do męża, który ją porzucił, tylko jeśli w międzyczasie wyjdzie za kogoś innego i się z nim rozwiedzie. Żeby to drugie małżeństwo zostało uznane za ważne, musi być skonsumowane, co w założeniu ma stanowić rodzaj kary dla pierwszego męża, ale okazuje się źródłem rozmaitych zysków dla imamów, którzy żenią się z porzuconymi żonami na jedną noc i odbywają z nimi stosunek, a mężowie im za to płacą. Wszystko w imię równości płci.

4. Ohio to jeden ze stanów, który skutecznie odebrał publiczne fundusze klinikom przeprowadzającym aborcję. Za karę za mordowanie dzieci poczętych nie dostają one dofinansowania ani za badania takie jak mammografia i cytologia, ani za leczenie HIV i chorób wenerycznych, ani za zapewnianie pacjentkom antykoncepcji. Teraz legislatura stanu Ohio przyjęła ustawę zobowiązującą pozbawione finansowania kliniki aborcyjne do pochowania lub skremowania – na własny koszt – szczątków wyskrobków, ale tylko wyskrobanych mechanicznie. Chrześcijański pochówek nie należy się – w opinii prawodawców z Ohio – płodom poronionym spontanicznie albo pod wpływem środków poronnych, a także, co interesujące, dzieciom martwo urodzonym. W Ohio nie każdy płód jest człowiekiem.

5. W muzułmańskim Uzbekistanie od zeszłego roku istnieje prawo zabraniające bicia żon, co jest sporym postępem, zważywszy na to, że – jak wyjaśnia Kurshida Ibrahimowa, szefowa walczącej o prawa kobiet organizacji Mehrzhon – jeszcze niedawno nawet pojęcie „przemocy domowej" było w tym kraju niecenzuralne; organizacje takie jak Mehrzhon deklarowały, że pomagają „kobietom w ciężkiej sytuacji życiowej". Lecz praktyka życia rodzinnego szczególnie się nie zmieniła – o czym zaświadcza w rozmowie z Reuterem 28-letnia Nigora. Kobieta po 1,5 roku uciekła od męża, który zaczął ją bić tydzień po ślubie. Nigora wróciła do rodzinnego domu, ale nie spotkała się tam ze szczególnie ciepłym przyjęciem: krewni i sąsiedzi powtarzają jej, że „pierwsze 10 lat małżeństwa zawsze jest trudne i odchodząc, wykazała się niecierpliwością".

6. Konferencja biskupów Szwajcarii nie jest zadowolona z ustawy Senatu zatytułowanej „Małżeństwo dla wszystkich". Szwajcaria zalegalizowała związki partnerskie osób tej samej płci w roku 2007; nowa ustawa wprowadza jednopłciowe małżeństwa, które mają prawo do korzystania z banków nasienia, adoptowania dzieci współmałżonka i szwajcarskiego obywatelstwa dla małżonków z zagranicy. Podkreślając znaczenie „równości w zakresie praw obywatelskich i świadczeń socjalnych" dla osób LGBT, szwajcarscy biskupi zauważają, że „rozróżnienie między związkami cywilnymi a instytucją małżeństwa nie oznacza dyskryminacji", albowiem „sakrament małżeństwa został powierzony Kościołowi katolickiemu". Nie przez szwajcarski Senat, czyli się nie liczy.

7. Policja z Fajsalabadzie w Pakistanie odnalazła Farah Shaheen – 12-letnią chrześcijankę, w czerwcu uprowadzoną przez trzech muzułmanów, w tym 45-letniego Khizara Ahmad Alego, który postanowił się z nią ożenić, uprzednio nawracając ją na islam. Dziewczynka miała poranione stopy i kostki, zapewne była gdzieś przykuta łańcuchem. „Jej małżeństwo, wymuszone nawrócenie i poranione stopy są świadectwem horroru" – napisał w mediach społecznościowych Lala Robin Daniel, przewodniczący Porozumienia Mniejszości Narodowych Pakistanu, wzywając „wszystkie chrześcijańskie rodziny od Karaczi do Peszawaru", aby wzięły udział w demonstracjach w światowym Dniu Praw Człowieka. Tylko najszczerszy wyznawcy dwóch wielkich religii mogą uznać „nawrócenie" za kluczowy problem w małżeństwie mężczyzny po czterdziestce z 12-latką.

Pastorzyca

O tym, że istnieje życie poza katolicyzmem, „NIE" rozmawia z **ks. MONIKĄ ZUBER,** teolożką feministyczną, pastorką Kościoła ewangelicko-metodystycznego z Ełku i Starych Juch.

– Kiedy pomyślała Pani, że wystrojenie się do pracy w sukienkę to jest fajna rzecz?

– To było dla mnie naturalne, od dziecka chodziłam w sukienkach.

– Jednak nie odnalazła się Pani na wybiegu, tylko na ambonie.

– Kościoły protestanckie są otwarte na służbę kobiet. Dużo wyjeżdżałam za granicę, spotykałam kobiety duchowne. Pastorki, proboszczki, biskupki. Dobrze nam się rozmawiało. W Glasgow zapytały mnie: dlaczego nie jesteś pastorką? Przecież skończyłaś studia teologiczne i jesteś z kraju, w którym dyskryminuje się kobiety? Po raz pierwszy uczestniczyłam w nabożeństwie celebrowanym wspólnie przez świeckie i duchowne panie. To było coś. Wypłakałam chusteczki swoje, potem sąsiadów.

– Zamierzała Pani zostać architektem, budować domy.

– 2 lata studiowałam na Politechnice Białostockiej. Dopiero potem rozpoczęłam studia teologiczne. Naczytałam się Ojców Kościoła przekonanych, że kobieta nie ma duszy. Współczesnych teologów przekonanych, że kobieta nadaje się wyłącznie do kuchni i ogrodu. Byłam wściekła na naszą polską dyskryminację, ale i na dyskryminację kobiet w całym chrześcijaństwie. Bez doświadczenia z Glasgow robiłabym to, co do tej pory. Praca w organizacji pozarządowej, na uczelni teologicznej, w firmie pozyskującej środki z Unii Europejskiej.

– Została Pani pastorką w roku 2010.

– Po okresie próbnym (wikariat) w 2017 r. ordynowano mnie na diakonkę, a w 2019 r. na prezbiterkę. Nie obiecywałam sobie zbyt wiele. Byłam pewna, że doświadczę dyskryminacji, wiedziałam, że przełamywanie tabu jest kosztowne emocjonalnie. I to nie jest specyfika pracy, którą wybrałam. Wszystkie kobiety wykonujące tzw. męskie zawody w jakimś sensie mierzą się z podobnymi sytuacjami jak ja. Siostra jest chirurgiem, doświadczyła identycznych emocji.

– Jak Panią tytułować? Pastorko? Pastorzyco? Księżno?

– Koledzy po fachu czasami żartobliwie zwracają się: księżniczko. Podobają mi się wszystkie tytuły. Pastorzyco jest OK, bo lubię, jak jest z pazurem. Ale można mówić całkiem zwyczajnie: pani Moniko.

– Ile jest w Polsce pastorek?

– W Europie kobiety są ordynowane od stu lat. Na świecie od dwustu. Ja mam w moim Kościele jeszcze tylko jedną koleżankę, pastorkę z Puław. Duch Święty dokonuje powołań, jak chce, a nie według czyjegoś widzimisię, zatem brak kobiet w polskich kościołach to nic innego jak przejaw dyskryminacji płciowej i kompleksów Kościoła. Mężczyźni chętnie dzielą się z kobietami obowiązkami. Bywa, że zakony kobiece funkcjonują jak zalegalizowane niewolnictwo. Ale panowie nie chcą dzielić się przywilejami. A koloratka to przywilej, symbol statusu społecznego. Proszę spojrzeć na podwójne standardy moralne dla duchownych, tuszowanie przestępstw.

– Zatem nic – oprócz sukienki – nie łączy Pani z ojcem Tadeuszem Rydzykiem?

– To reprezentant innego Kościoła. Innych wartości. Naszym zdaniem Boga nie można zamknąć w pudełku i powiedzieć „jest mój". Kościół katolicki ma nam za złe, że się odłączyliśmy podczas reformacji, że nie byliśmy posłuszni papieżowi. Uważa, że to grzech. W naszej ocenie to nie grzech, tylko wolność. Boga nie można ograniczyć żadnym Kościołem ani żadnym człowiekiem, nie można „wrzucić do opłatka". Ludzie chcą mieć władzę nad Bogiem, żeby posiąść władzę nad innymi ludźmi. To jest złe. Odwołujemy się zawsze do Pisma Świętego, tam jest bardzo dużo wolności i krytycznego myślenia. Inny człowiek nie może mieć kontroli nad moją duszą. Dzięki wyzwaniom Ewangelii, które stawia człowiekowi Bóg, my jako ludzie stajemy się lepszą wersją siebie samych.

– Pani ma prawo do wolności i Pani owieczki też?

– W moim Kościele duchowni nie są nad świeckimi, znajdują się na takiej samej pozycji. Rozumiemy osoby, które nie wybiorą naszej drogi. Już Jezus powiedział, że nie potępia tych, którzy za nim nie pójdą. Religia nie może być przymusem, bo staje się pozbawionym treści rytuałem.

– Co z piekłem?

– Religijność oparta na strachu traci sens, straszenie piekłem jest wyrazem słabości teologicznej i intelektualnej. Mnie do wiary w Boga przekonuje miłość, a nie strach. Kościół, zamiast straszyć piekłem, powinien nadrobić brakujące informacje z dziedzin choćby nauk przyrodniczych, wtedy sam przestanie się bać naukowców i najnowszych badań. Nie ma co płakać nad zachodzącymi w świecie zmianami, trzeba przyspieszyć, żeby nie zostać w tyle.

– Zapłodnienie *in vitro*, pigułka antykoncepcyjna, aborcja?

– Każdy powinien podejmować decyzje samodzielnie i świadomie. Kościół musi dawać przede wszystkim duchowe wsparcie, uczyć etyki opartej na wiedzy i szacunku, ale i zaufać, że każdy podejmie sam dojrzałą decyzję, jeżeli damy mu taką szansę. To zupełnie inna postawa niż osąd i wyroki. Jesteś za ochroną życia? Wspieraj kobiety!

– Ma Pani maseczkę z błyskawicą, symbolem Strajku Kobiet. Pokazała się Pani z tym symbolem na Facebooku.

– Nie uczestniczyłam w demonstracjach. Żałuję, ale akurat chorowałam na COVID.

– Mieszka Pani w małym mieście. Nie spotkał Pani hejt za błyskawicę na twarzy?

– Ostatnie demonstracje przeszły nie tylko przez Warszawę czy duże miasta. Ełczanie też wyszli na ulice, bo uważają, że kobiety powinny mieć takie same prawa, łącznie z szacunkiem i ochroną zdrowia. Trybunał Konstytucyjny odebrał nam szacunek, a lekarzom autorytet, bo to oni powinni mieć głos w sprawie wad genetycznych. Naturalnie aborcja nie może być lekarstwem na ciążę, ale potrzebna jest edukacja seksualna i powszechnie dostępna antykoncepcja. Trzeba zacząć o seksualności mówić bez lęku, bez dyskryminujących postaw, bo potem nasze dzieci przez całe życie będą powielać stereotypy.

– Jarosław Kaczyński wezwał do obrony kościołów. Dobrze się Pani czuje z takim rycerzem?

– Miał na myśli kościoły katolickie, a nie innych wyznań. Kościół katolicki postąpił wbrew zasadom Ewangelii, czyli zrozumienia i miłości wobec każdego człowieka, a zatem też wobec każdej kobiety. Aborcja w sytuacji poważnych chorób i uszkodzenia płodu to wielki dramat. Kobiety w takich sytuacjach potrzebują przede wszystkim pomocy, wsparcia, modlitwy, a nie potępienia i prawa, które odbiera im możliwość pomocy, podjęcia decyzji czy opieki lekarskiej. Widać tutaj duży brak szacunku, empatii, chęci zrozumienia dramatu kobiet. Uważam, że hierarchowie Kościoła katolickiego popełnili błąd. Powinni się sprzeciwić temu, co postanowił Trybunał Konstytucyjny, stanąć po stronie kobiet.

– Jak wygląda Pani dzień?

– Każdy jest inny. Mąż też jest księdzem, mamy dwójkę dzieci i dwa sierściuchy. Mieszkamy w budynku parafialnym. Dom i parafia są otwarte dla wszystkich. Dzięki częstym gościom zawsze trzymam w lodówce jedzenie na zapas. Staram się pomagać w różnych życiowych sytuacjach, nie patrząc, czy potrzebujący należy do mojego Kościoła. Przychodzący do mnie ludzie nie zawsze pytają o sprawy jedynie religijne. Żyjemy w trudnych czasach, przemoc jest dziś w Polsce wszędzie, nie tylko w rodzinach, ale i miejscu pracy, na scenie politycznej. Dlatego oburza mnie, że rząd chce wypowiedzieć antyprzemocową konwencję stambulską. Niestety w naszym kraju władzę mają ci, którzy najgłośniej krzyczą… Parafia to też dużo dokumentów, budynki do ogrzania, remonty. Po naszej rozmowie zaraz idę na spotkanie z wiernymi. Czytamy fragment Ewangelii, dyskutujemy, bo starożytny tekst również odnosi się do tego, co jest dziś. Przecież człowiek się nie zmienia.

– Znajduje Pani czas na aktywność w sieci. „Kościół ciągle się reformujący to ten, który wymaga od swoich duchownych nie tylko rozwoju »duchowego«, ale i dokształcania się, rozwoju intelektualnego. To Kościół pozostający w dialogu z innymi, zaczynając od swoich świeckich, którzy mają prawo o decydowaniu o kształcie i funkcjonowaniu Kościoła. Kościół, który nie boi się wyzwań i trudnych pytań. Kościół, który nie sprzeda się żadnej partii politycznej…". Dobrze powiedziane. Zostanie Pani biskupem?

– Wybierając biskupa, w Polsce raczej nikt nie weźmie pod uwagę kobiety. Jesteśmy w mniejszości. W moim Kościele dwie panie na dwudziestu kilku księży. Na szczęście nie chciałabym zostać biskupem. To mnóstwo obiadków i spotkań, z których często nic nie wynika, kontakt z politykami, których nie lubię. Interesuje mnie bezpośrednia praca z ludźmi chcącymi się zmienić i chcącymi zmian wokół siebie.

Rozmawiała **BOŻENA DUNAT**
bdunat@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Katolik puka dwa razy

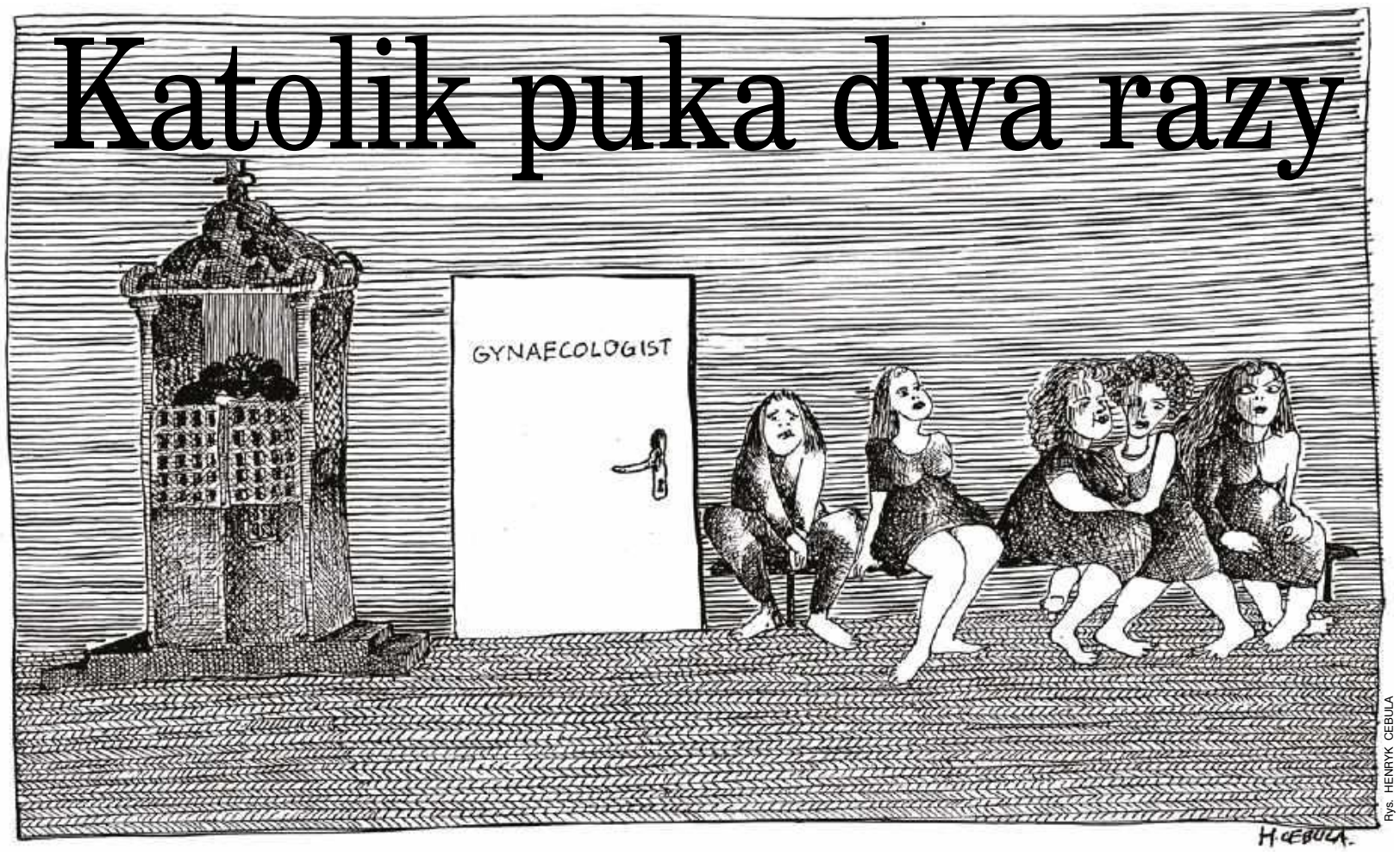

Rys. HENRYK CEBULA

Inżynieria seksualna Kościoła w teorii i praktyce.

Jest taki kościelny specjalista od seksu – Jacek Pulikowski się nazywa. Jako inżynier budownictwa doskonale zna się na budowaniu, opowiada więc ludziom, jak należy budować rodzinę. Jako umysł ścisły zdaje sobie sprawę, która cegła pasuje do jakiego pustaka, i nie daje się porwać nowym trendom w temacie seksu.

Posiada tę wyższość nad większością katolickich ekspertów od pożycia, że ma żonę. Jest to na tym terenie okaz dość rzadki, bowiem większość katolickich fachowców od małżeństwa dobrowolnie zrzekło się prawa do zawarcia takiego związku, przyjmując święcenia kapłańskie. Inżynier od współżycia ma także trójkę dzieci, ale to już nie takie szokujące na tle dymającego pokątnie kleru (według badań prof. Józefa Baniaka potomstwo ma około 15 procent klechów).

Na przykładzie Pulikowskiego możemy stwierdzić, że w sumie dobrze, iż w Kościele obowiązuje celibat. Żony księży miałyby przejebane, gdyby swoje teorie przenosili oni na grunt prywatny. Pociesza jedynie fakt, że duchowni to banda hipokrytów, którzy nie postępują według głoszonych przez siebie zasad.

Jak najdzie ochota

Pulikowski nie jest w kościelnym półświatku postacią anonimową. Ma za sobą setki odczytów, wykładów, pogadanek, konferencji i publikacji poświęconych problematyce związków. Z racji swoich zasług był nawet członkiem Rady Episkopatu Polski ds. Rodziny. Inż. Pulikowski jest guru od „tych spraw" dla członków i sympatyków Ruchu Czystych Serc – stowarzyszenia promującego abstynencję seksualną do czasu ślubu kościelnego. Wiadomo: kobieta, która straciła wianuszek przed nocą poślubną, jest jako ta brudna szklanka, z której wielu już piło – jak tłumaczył na TikToku inny fachowiec, ks. Jacek Piątkowski. Ale jeśli uda się donieść na ślubny kobierzec szklankę pełniuśką, zwieńczoną meniskiem wypukłym – to od tego dnia małżonek może pić, ile dusza zapragnie. Właściwie to ile kutas zapragnie. Jeśli z chłopa kutas, to może on poić swojego konia nawet wbrew woli szklanki. Bo kto to słyszał, żeby dyskutować z elementem zastawy stołowej. Małżeństwa katolickie są zatem optymistyczne: szklanka jest w nich zawsze pełna.

Niedawno sieć obiegł fragment konferencji inż. Pulikowskiego, podczas której omawia on zagadnienia obowiązku małżeńskiego. Znawca tematu ujmuje rzecz następująco: **„Żona nigdy nie powinna odmówić mężowi współżycia, gdy on proponuje. Jeszcze precyzyjniej: mąż nigdy nie powinien czuć się odrzucony i odtrącony. To nie jest łatwe. Mamy swoje urazy, mamy swoje lęki, przewrażliwienia na tym punkcie i bardzo łatwo go zranić. Wobec tego odpowiedź: »nie« – dlaczego? – »bo nie« jest absolutnie nieuprawniona. Odpowiedź: »nie, bo nie mam ochoty« też jest absolutnie nieuprawniona. To nie od ochoty ma zależeć. Jeśli tylko jest to możliwe, ma się zgodzić"**.

Ostatecznie zostawia żonie furtkę, podsuwając następujący wybieg: **„Masz go poprosić, a nawet uprosić, żeby sam zrezygnował! Bo ty naprawdę nie możesz. Wybacz, ale ja naprawdę nie mogę. Nie gniewaj się, ale ja naprawdę nie mogę. Nie, bo nie, won, chamie niemyty… nie wolno w ten sposób! Drogie panie, jeżeli powiesz szczerze, że naprawdę nie możesz – możesz powiedzieć np., że jestem śmiertelnie zmęczona, przełóżmy na jutro"**.

Oburzeni internauci gromadnie doszli do wniosku, że Pulikowski promuje kulturę gwałtu, i zachodzili w głowę, co też się na katolickich imprezach z wykładami dla małżeństw odpierdala.

Jakkolwiek liczyli, wychodziło im zawsze, że w katolickiej wizji małżeństwa termin **„partnerstwo"** może kojarzyć się jedynie z pedałami. Zgodnie z tą optyką katolicka głowa rodziny ma prawo wtykać swoją bezmózgą główkę w kanał rodny żony nawet bez jej aprobaty. Innymi słowy ma prawo iść żołędzią jak dzik w żołędzie bez zgody gospodarza. Idzie to na przekór promowanemu obecnie modelowi, który zakłada przynajmniej względną równość w związku.

Poeci gwałtu

Oczywiście znaleźli się adwokaci teorii Pulikowskiego, gotowi drzeć szaty i mordy w obronie tradycyjnego bożego modelu związku małżeńskiego. Katolicki vloger Tomasz Samołyk poświęcił 2 filmy na przekonywanie ludzkości, że inż. Pulikowski nie miał na myśli tego, co powiedział, a właściwie miał, tylko trzeba dobrze rozumieć kontekst. Standardowe *demage control*, czyli piarowe redukowanie szkód, po tym jak mleko się rozlało. Bo tak właściwie – dowodzi katoyoutuber – kościelne standardy ruchania służą dobru związku i prowadzą parę po ścieżkach duchowego rozwoju, jeśli tylko są umiejętnie interpretowane i praktykowane. To bezbożna samowolka niekontrolowanej rui wiedzie za życia do depresji, samobójstw, zboczeń i gwałtów, po śmierci zaś prosto w ogień wieczny. Na pewno pan Pulikowski nie namawiał do gwałtu, to grube przeinaczenie jego wywodu, po to tylko by ośmieszyć doktrynę Kościoła. I wcale te srogie zasady spółkowania nie są tak średniowieczne, szkodliwe, a czasem wręcz straszne, jak by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać – próbuje przekonać Samołyk, przy okazji namawiając do podtrzymywania Pulikowskiego na duchu poprzez kupowanie jego książek.

W życiu bym nie zarzucił kościelnym propagandystom złych intencji ani manipulacji, ale wolałem się upewnić. W trakcie poszukiwań trafiłem na nagranie ks. Michała Woźnickiego, który w przewidywaniu konsekwencji niedawania dupy mężowi idzie jeszcze dalej. **„Jeżeli on płonie, to ma prawo do jej ciała. A nie ona powie, że ma teraz egzamin z filozofii. Albo z psychologii, bo ona chce być psycholożką! Są sytuacje, w których on się nie może opanować. On ma do ciebie prawo. I masz obowiązek być jako żona. Bo inaczej będzie szukał kochanki albo perwersyjnie będzie szukał zmiany orientacji"** – uświadamiał owieczki. Zaraz mi zarzucą, że Woźnicki to suspendowany (zawieszony) ksiądz, którego bezskutecznie próbują usunąć z poznańskiego klasztoru salezjanie. Twierdzą, że ma nierówno pod biretem. Zgoda, sam o nim pisałem kilka tygodni temu w publikacji „Przygody księdza Michała". Ale nie mogłem sobie podarować przytoczenia tego poetyckiego opisu relacji małżeńskich według prastarej katolickiej tradycji, której orędownikiem jest ks. Michał.

Jeśli więc nie Woźnicki, to szukamy dalej. Rok 2018, Radio Maryja, audycja „Jak być dobrą żoną w sypialni?". A tam takie kwiatki: **„Jeżeli w czasie współżycia seksualnego jedno z małżonków nie chce współżyć seksualnie, ale widać, że jest jakaś potrzeba z drugiej strony, to także jakaś forma ofiarowania siebie, dawania z siebie życia"**. Albo: **„Jeżeli wyeliminujemy doświadczenie krzyża, czyli cierpienia, to dojdzie do czegoś takiego, że tylko kiedy mam ochotę, to współżyję, a jak nie mam ochoty, to nie współżyję, i wtedy może być bardzo poważny problem"**. Zatem mąż ma prawo się spuścić, kiedy chce, a małżonka musi nieść ten krzyż, albowiem **„żona nie może uważać go za agresora czy potencjalnego gwałciciela. Na mocy powinności małżeńskiej mąż ma prawo domagania się współżycia seksualnego"**, mimo że – dodał asekuracyjnie ksiądz prowadzący – **„żona nie jest własnością męża, nie jest niewolnicą"**.

Para modna

Odwarknie jakiś oświecony katol: co ty mi tutaj, synek, Radio Maryja cytujesz? To jest margines marginesu Kościoła. To są głodne kawałki serwowane próchnu, które lata reprodukcyjne ma dawno za sobą i po hucznej młodości klepie paciorki w intencji nawrócenia rozwiązłej młodzieży. OK, w takim razie do trzech razy sztuka. Na YouTube jest kanał „Jednym sercem", który prowadzi młode małżeństwo Ramona i Janek Figatowie. Nie żadne mohery, nawet z wyglądu nie przypominają stereotypowych dewotów. Ot, młode małżeństwo żyjące według kościelnych wytycznych i dzielące się swoim doświadczeniem na YouTube.

Internetowe pogadanki tej parki obracają się wokół różnych sfer życia. Są małżeństwem, mogą więc się podzielić doświadczeniami seksualnymi jako legalni praktycy. W filmiku „Seks po ślubie – czy jest obowiązkowy?" z sierpnia 2020 r. sympatyczni Ramona i Janek jednogłośnie potwierdzają to, co zalecają Pulikowski, Woźnicki i Radio Maryja. Ramona ma na poparcie cytat z najwyższego autorytetu – Biblii. **„Ze względu jednak na niebezpieczeństwo rozpusty niech każdy ma swoją żonę, a każda swojego męża. Mąż niech oddaje powinność żonie, podobnie też żona mężowi. Zona nie rozporządza własnym ciałem, lecz jej mąż; podobnie też i mąż nie rozporządza własnym ciałem, ale żona"** – cytuje List do Koryntian przykładna małżonka. Biblijny cytat uzupełnia o refleksję, że permanentny zakaz dostępu do żoninej pochwy może wbić męża w kompleksy, te zaś zaprowadzą go w ramiona gorzały, pokerka albo jeszcze gorzej – popchną w stronę pornografii i masturbacji.

Dodatkowym wzmocnieniem przekazu jest strona wizualna „Jednym sercem". Przejęta Ramona niemal po każdym zdaniu zerka na uważnie słuchającego Janka w poszukiwaniu aprobaty. Ten zaś albo przytakuje z uśmiechem, albo delikatnie koryguje wypowiedzi kobiety. Widać, że mamy do czynienia z przykładnym katolickim małżeństwem, gdzie zachowana jest prawidłowa hierarchia i zdrowa równowaga. Nie powiem, fajnie mają na chacie ci katolicy…

Nie pukaj bez pytania

Czyli wynurzenia Pulikowskiego to nie żadne bajania leśnego dziadka, który nie ma nic wspólnego z prawdziwym nauczaniem Kościoła. Inżynier jest tego nauczania przykładnym głosicielem. Sam zainteresowany broni się pociesznie, pisząc: **„(…) broniąc Kościoła katolickiego, gdy był niesprawiedliwie atakowany, miałem świadomość, że kiedyś atak na moją osobę nastąpi"**. I dalej: **„Zdawałem sobie sprawę, że propagując metody naturalnego planowania poczęć (NPR), ukazując zło pornografii, samogwałtu (oj, jak nielubiane słowo, prawdziwie oddające naturę rzeczy), antykoncepcji i działań poronnych, aborcji, demaskując złe skutki wszelkich przejawów nieładu seksualnego i dewiacji seksualnych, łącznie z przemocą w tej dziedzinie, przeciwstawiam się potężnemu lobby żywiącemu się wszelką rozwiązłością seksualną"**. Taki to zawsze sobie wszystko wytłumaczy i usprawiedliwi. Jak nie pokusą, to atakami diabelskimi.

Na gorzką ironię zakrawa fakt, że za patronkę Ruchu Czystych Serc, którego mentorem jest Pulikowski, jego członkowie obrali błogosławioną Karolinę Kózkównę. Ta nastolatka została beatyfikowana, bo – według kościelnych podań – wolała zginąć… niż zostać zgwałcona przez sołdata. Fakt – napastnik nie był jej mężem. Panu inżynierowi przypominamy również, że Archanioł Gabriel kurtuazyjnie zapytał żydówkę Miriam, czy będzie spoko, jak wpadnie do niej gołąb na herbatkę, a po spożyciu napoju ona urodzi syna szefowi anioła. Bo może tej akurat książki nie było na liście lektur studenta Politechniki…

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl 67bea7921d

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ *Od pewnego czasu pojawiają się* ***oskarżenia wobec św. Jana Pawła II*** *o tzw. współodpowiedzialność za tuszowanie pedofilii w Kościele. Jest to* ***próba wykreślenia*** *i zniwelowania jego świętego i genialnie mądrego nauczania. To jest dla mnie rzecz bardziej oczywista niż to, jak się nazywam.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 12 grudnia

■ *Polacy, którzy kochają Kościół i ojczyznę, przeżywają wielki ból i smutek, że odważono się* ***uderzyć w św. Jana Pawła II****. On jest fundamentem. Kto ten* ***fundament*** *podkopuje, ten podcina gałęzie, na których siedzi, nie zdając sobie z tego sprawy. Ci ludzie wyrośli na tym, co papież Polak wniósł. To wielki święty. Radio Maryja jest głosem, który ma odwagę mówić prawdę o św. Janie Pawle II.*

bp Stanisław Napierała, Radio Maryja, 8 grudnia

■ *Nie dali rady zabić [Jana Pawła II], to* ***wyciszali nauczanie,*** *zresztą do dzisiaj to robią. Centrale antyewangelizacyjne mają długie ręce. Tak było cały czas, teraz jest kontynuacja i będą dalej uderzać. To jest* ***zabijanie ducha narodu,*** *żeby ze świętych zrobić łajdaków, z ofiary kata. To jest ich metoda, ich manipulacje. Dzisiaj atakują św. Jana Pawła II, a jutro będą chcieli poniżyć św. siostrę Faustynę, ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego i ks. Jerzego Popiełuszkę. Przez media można wiele zrobić. Dlatego powinniśmy być bardzo ostrożni także z mediami społecznościowymi. Będą mieli tytuły profesorów, będą gwiazdy występować, żeby tylko zmanipulować, zabić ducha narodu.*

o. Tadeusz Rydzyk, Radio Maryja, 7 grudnia

■ *Trzeba wyjątkowej perfidii, ignorancji, żeby w ogóle w ten sposób myśleć i postępować. Mielibyśmy przekreślić wszystko, co jest po stronie dobra, zasług oraz wielkiego pontyfikatu papieża? To jest absurdalne myślenie (…).* ***Machina przeciwników*** *jest rozpętana na taką skalę, że nie da się o tym nie mówić. Za chwilę się okaże, że otwierając cokolwiek w internecie, będziemy musieli się zapoznawać z tego typu informacjami. Nasza prawa strona musi coś wymyślić, żeby na to odpowiedzieć.*

dr Jolanta Hajdasz, dyrektorka Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Radio Maryja, 10 grudnia

■ *Jak dżihad jest wpisany w islam, a islam w dżihad, tak* ***walka z Kościołem*** *i religią wpisana była i jest w* ***komunizm,*** *a komunizm w walkę z Kościołem i religią. Nie było i nie ma nigdzie na świecie komunizmu bez walki z Kościołem i religią. Wystarczy przywołać Chiny, Koreę Północną, Kubę czy Meksyk.*

ks. prof. Andrzej Maryniarczyk, Radio Maryja, 13 grudnia

■ *Komunizm bolszewicki, ogołacając człowieka z kultury, ostatecznie wykształcił całe plemię złożone z ludzi, których trafnie określono jako* ***homo sovieticus.*** *Był to rodzaj człowieka prymitywnego, (…) który ze złością patrzył na religię, polską tradycję, rodzinę i własność prywatną. Wewnętrznie rozpalała go i niszczyła żądza posiadania, doznawania uciech, których domagał się przy każdej okazji. Gdy system sowiecki zbankrutował, pozostawił w pewnym osamotnieniu homo sovieticusa, który łatwo dał się zniewolić nową ideologią –* ***hedonistyczną i liberalną*** *– w której uciechy i posiadanie różnych rzeczy przedstawiono jako drogę do powszechnego szczęścia.*

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 13 grudnia

■ *W nowo tworzonym przez siebie świecie nie musi być już ani kobietą, ani mężczyzną; ani matką, ani ojcem; ani wykształcony i podległy obowiązkom ani prawu, bo to wszystko by go ograniczało i nie pozwalałoby być kimś innym. Wolność, jaką zaczął realizować* ***nowy człowiek,*** *ostatecznie nakazała mu niszczyć swoje życie, aby to, co jest od niego lepsze – ziemia, natura, przyroda – mogło żyć i swobodnie się rozwijać. Walczy on zatem o prawo do* ***zabijania nienarodzonych dzieci,*** *wolność do narkotyków, o prawo do samobójstwa i eutanazji ludzi zbędnych, a zarazem płacze i wzrusza się, gdy widzi na drodze rozjechaną żabę lub psa na uwięzi. Wszystko to świadczy o tym, że ten człowiek powoli traci nie tylko zdolność do życia, ale także staje się zagrożeniem sam dla siebie.*

dalej Skrzydlewski

■ *Mamy do czynienia z czymś, co określiliśmy mianem* ***przemysłu pogardy.*** *Nie jest to tylko publicystyczne określenie, bo powstały na ten temat co najmniej dwie bardzo poważne prace o charakterze popularnonaukowym, które w usystematyzowany, precyzyjny i klasyfikowany sposób pokazują nagonkę medialną skierowaną np. wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego czy Prawa i Sprawiedliwości. Mamy do czynienia z kontynuowaniem tego typu myślenia w stosunku do pana* ***Jarosława Kaczyńskiego.***

dalej Hajdasz

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Tajne, bo kościelne

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) zaserwował nam „Rocznik Statystyczny Kościoła w Polsce". W tym roku jakoś wcześniej, bo zazwyczaj publikacja pojawiała się po świętach. Widocznie księża też się nudzą w izolacji.

Ten kościelny ośrodek badań ma za zadanie mierzyć w liczbach religijność Polaków oraz ich zaangażowanie w działalność Kościoła. Miarodajność wyników badań ISKK wielokrotnie podawano w wątpliwość, bo to trochę tak, jak gdyby facet mówił o długości swojego penisa. Wstyd się przyznać do prawdy, ale też nie ma się co popisywać, bo po pierwsze nikt nie uwierzy, a po drugie są świadkowie i zdjęcia.

ISKK co roku szumnie przedstawia owoce swojej żmudnej pracy na konferencji prasowej w siedzibie Konferencji Episkopatu Polski. W tym roku konferencja była prowadzona *online*. Łapczywie na te dane rzucają się dziennikarze, bo – choć niepewne – innymi na temat chodzenia do kościoła nie dysponujemy. ISKK nie podlega żadnej zewnętrznej kontroli. Jest jednostką kościelną.

Na przekór sceptykom twierdzę jednak, że raport ISKK to niemal w 100 procentach prawda. Nie mam wątpliwości, że w Polsce działają 10 382 parafie katolickie, jak podaje „Rocznik…". Nie mam zamiaru się kłócić, iż w kraju pracuje niemal 25 tysięcy księży, a do zawodu przyucza się 1,7 tysiąca kleryków. Z wypiekami na twarzy dowiaduję się, że – mimo umiarkowanego klimatu – nad Wisłą żyje aż 17 tysięcy pingwinów. Może to stanowić ciekawostkę dla wielbicieli ornitologii, np. Włodzimierza Czarzastego. Nie budzi moich zastrzeżeń informacja, że w 2019 r. udzielono 372,9 tys. chrztów, choć oczywiście mogłoby być ich mniej.

Pewne uwagi można mieć jedynie do danych na temat uczestnictwa w nabożeństwach. ISKK podaje, że w zeszłym roku w mszach brało udział 36,9 procent zobowiązanych do tego, a wafelka zjadało 16,7 procent. Oczywiście w różnych regionach kraju różnie się pobożność katolików rozkłada, ale, uśredniając, w skali kraju tak to mniej więcej wygląda. A zatem w porównaniu z ubiegłymi latami ubywa, ale nie drastycznie: procent, półtora.

Na bezbożne życzenia o pustoszejących kościołach księża mają swoje twarde dane, przeczące tezie o postępującej w piorunującym tempie laicyzacji.

Na papierze wszystko wygląda ładnie, choć intuicja i obserwacja podpowiadałyby co innego.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Raport o frekwencji wiernych zawiera pomiary, które musimy brać za dobrą monetę bez możliwości weryfikacji. Ale czyż nie tak jest w przypadku wszystkich serwowanych nam statystyk? W ISKK proces badawczy wygląda tak: w kościołach liczą ministranci, proboszczowie dostarczają liczby do kurii, biskupi puszczają dalej, a ISKK podlicza i publikuje zbiorczy raport. Każdy z etapów obarczony jest pewnym ryzykiem. Ministrant może się pomylić w liczeniu, zwłaszcza gdy z ambony łakomie łypie na niego ksiądz dobrodziej. Proboszcz woli nie podpadać biskupowi informacją, że w jego parafii jest licho z frekwencją. Biskup też woli mieć dobre wyniki. ISKK zaś nie jest od straszenia upadkiem Kościoła…

ISKK podaje odsetek wiernych uczestniczących w mszy spośród zobowiązanych. Zwolnione z tego szacunku są małe dzieci oraz osoby starsze i chore, łącznie około 20 procent katolików. W tym roku mamy zupełnie nową sytuację: z powodu pandemii biskupi ogłosili dyspensę (zwolnienie) z przymusu niedzielnego pobytu w kościele. Dotyczy ona tych, którzy boją się zarażenia. Każdy, kto bardziej boi się wirusa niż Boga (obu nie widać, ale tylko jeden istnieje), może zostać w domu. A to oznacza, że w przyszłorocznym raporcie można by było ogłosić stuprocentową frekwencję! Przychodzą przecież tylko ci, którzy się nie bali. Tegoroczne liczenie na razie wstrzymano, fajerwerków nie będzie. Na taką nonszalancję w interpretowaniu rzeczywistości nie stać nawet ISKK. Żeby osiągnąć ten oszałamiający efekt, episkopat musiałby zatrudnić pracowników TVP.

Raport ISKK jest więc podejrzany tylko w jednej kwestii, co nie stanowi przecież jakiegoś wielkiego skandalu. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że naprawdę interesujących danych w ogóle nie zawiera. Ani słowa o tym, ile Kościół i jego poszczególne jednostki posiadają gruntów, nieruchomości, udziałów w spółkach. Ilu księży zatrudnionych jest na państwowych etatach, ile dotacji państwowych i samorządowych przytulają poszczególne diecezje, parafie i zakony. Ba, mimo że Kościół chwali się liczbą chrztów czy ślubów, o aktach apostazji ani słowa. A przecież tak prężnie działający i mający takie wejścia w kręgach klerykalnych ośrodek jak ISKK mógłby bez trudu zdobyć te informacje i podzielić się nimi z opinią publiczną.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Katolicka fundacja SMS z Nieba z Koszalina podała, że została zablokowana przez Facebook. Blokada nastąpiła, gdy fundacja zaczęła promować projekt „Życie bez granic". Prezes fundacji ks. Piotr Jarosiewicz uważa, że to dlatego, iż fundacja wyrażała krytyczne stanowisko wobec protestów ulicznych w ramach Strajku Kobiet. Facebook co chwilę kogoś blokuje. Robi to automat, według określonego algorytmu wyłapujący treści, które mogą być uznane za nawoływanie do agresji, pokazują pornografię albo przemoc. Niech się katolicy z SMS z Nieba zastanowią, co piszą do Pana Boga na smartfonach. Gdy ich kiedyś Pan Bóg zablokuje, to trafią do piekła. Na wieczność.

✚ Centrum Życia i Rodziny zaapelowało do prezesa TVPiS Jacka Kurskiego o wycofanie ze świątecznej ramówki emisji koncertów kolęd i pastorałek, które wykonują artyści popierający postulaty Strajku Kobiet. „Nie chcemy oglądać takich »gwiazdek« z piorunami w te Święta!" – napisali inicjatorzy akcji. Nie wymienili żadnego nazwiska. Kurski sam musi dokonać weryfikacji albo od razu wstawić do ramówki koncert Nergala. On kolęd nie śpiewa, będzie więc wedle życzenia.

✚ Rozgłośnia CJMR z Kanady, która zasięgiem obejmuje m.in. Toronto, poinformowała, że ze skutkiem natychmiastowym kończy relacje biznesowe z Radiem Maryja. Zdecydowała się na ten krok, gdy ludzie Rydzyka olali jej pytania dotyczące antysemickich treści w programach radia z Torunia. Teraz jest płacz i zgrzytanie zębów, że Kanadyjczycy zamykają usta katolikom. Zgrzytanie jest tym większe, że w Kanadzie jest spora Polonia, która wysyłała Rydzykowi sporo dolarów. Teraz nie będzie miała motywacji płynącej z eteru. A gdyby się pomodlić do Matki Boskiej? Może mogłaby wpłynąć na Kanadyjczyków?

✚ Tatko Rydzyk chyba pierwszy raz spękał. Po tym jak broniąc swojego kumpla bepe Edwarda Janiaka, powiedział, że ksiądz ma prawo do pokus, skumał, że pojechał za daleko. Obrona pedofilii nie przysporzy mu poklasku u nikogo i brnięcie w to jest czystym samobójstwem. Postanowił wycofać się ze swoich twierdzeń. Ogłosił, że został źle zrozumiany i miał na myśli co innego, niż powiedział.

Rys. TOMASZ WIATER

✚ Na Facebooku pojawiła się informacja, że w kościele w Gończycach odbyło się nocne czuwanie, podczas którego wolontariusze przygotowali do pochówku 640 abortowanych płodów. I zdjęcie z całą masą trumienek. Wyglądało to na fejk, bo skąd nagle tyle tego. Okazuje się, że zbierano szczątki w całej Polsce przez kilka lat. Inicjatorka tej akcji nazywa się Maria Bienkiewicz i jest z fundacji Nowy Nazaret. To jest coś niesamowitego na skalę światową. Nazwać to obłędem to wcale nie nazwać.

✚ Media społecznościowe obiegł film, na którym pewnie z 80-letni albo nawet starszy człowiek, opierający się na lasce, chce wejść do kościoła seminaryjnego pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny

eprasa.pl 67bea7921d

Dla samorządowców biskupi są super. Chyba że już nie są biskupami.

Faceci w czerni

Odmienianie oblicza tej ziemi **Karol Wojtyła** rozpoczął od udzielania swojego imienia i wizerunku. Na skwerach przed kościołami zaroiło się od pomników papieża Polaka. Miasta prześcigały się w nadawaniu jego imienia ulicom, skwerom i parkom. Nie jednym imieniem zresztą. Dzięki czemu np. w Krakowie, Rzeszowie czy Rykach występują ulice Karola Wojtyły i Jana Pawła II i nie są to te same ulice.

Nasz ci on

Wojtyła nie miał problemu ze zgadzaniem się na patronowanie szkołom, szpitalom i domom kultury. Łykał honoris causy jak pelikan, brał też w ciemno honorowe obywatelstwa. Dzięki temu papież Polak jest dziś honorowym obywatelem ponad trzystu polskch miast i gmin oraz patronem niezliczonej mnogości wszystkiego, co dało się nazwać jego papieską ksywką.

Do czasów Wojtyły stawianie pomników żywym nie uchodziło, tak jak robienie z nich patronów ulic. Czynili tak tylko dyktatorzy, a i to nie wszyscy. Nowa nieświecka tradycja, zapoczątkowana za Wojtyły, jednak się przyjęła. Pierwszy skorzystał z niej sekretarz papieża kardynał **Stanisław Dziwisz.** Ma 3 pomniki – w Zakopanem, Rabie Wyżnej i Rokicinach Podhalańskich. Oraz jedną facjatę upiększającą płaskorzeźbę przy Ołtarzu Trzech Tysiącleci w Krakowie, gdzie robi za tło dla byłego szefa.

Trzeci po Bogu

Po oddaniu co papieskie Wojtyle polscy samorządowcy doszli do wniosku, że polscy biskupi też zasługują na honory. Łakną oni oznak uwielbienia bardziej niż kasy, hektarów i dotacji, które przecież już dostali.

Zaczął się wyścig na zaszczyty. Najtańszym było przyznanie honorowego obywatelstwa. Hierarcha się cieszył, a samorządowcy mieli okazję porobić sobie z nim fotki i zaliczyć wyżerkę i popijawę, do której żaden gminny czy miejski podatnik nie mógł się przyczepić.

Na początku lat 90. XX w. z tytułami nie przeginano. Na kilka załapywała się wierchuszka episkopatu i nieliczni biskupi diecezjalni. Abp **Henryk Muszyński** w latach, gdy był metropolitą gnieźnieńskim, dostał 2 honorowe obywatelstwa. Ówczesny nuncjusz **Józef Kowalczyk** – 3. **Leszek Sławoj Głódź** lata 90. kończył jednym obywatelstwem honorowym – Białegostoku. Honorowy dorobek rezydującego w Łodzi abp. **Władysława Ziółka** to też wówczas ledwie obywatelstwo tego miasta. Rządzący w Przemyślu **Józef Michalik** stał się honorowym obywatelem Krosna i Łańcuta. **Wiktor Skworc** kończył poprzednie tysiąclecie jedynie z obywatelstwem Rudy Śląskiej. Bp **Roman Marcinkowski** też dostał jedyne honorowe obywatelstwo – Sztutowa, w którym się zresztą urodził. Podobnie **Stanisław Gądecki** – gdy tylko został biskupem pomocniczym, Strzelno, z którego pochodził, uczyniło go honorowym obywatelem. Z czego po siedmiu latach Gądecki się z hukiem wypisał, bo rodzinna miejscowość nie chciała, aby obok Gądeckiego honory obywatelskie sprawował papież Wojtyła. To jedyny tego typu przypadek. Dzięki czemu przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski jest dziś jednym z nielicznych hierarchów niebędących honorowymi obywatelami.

Brać jak leci

Po chudych w obywatelstwa dla biskupów latach 90. nadeszły dwie dekady tłuste w honory.

Dziwisz dochrapał się czternastu honorowych obywatelstw, z Buenos Aires włącznie. Muszyński ma ich 6, Kowalczyk 5, Michalik 6. Głódź, który początkowo sam dobierał sobie miasta chcące mu czynić honory, czyli Warszawę, potem brał, jak leci Radzymin i Wołomin, a nawet powiat moniecki i gminę Sokółka.

Do gry wchodzili kolejni. **Ignacy Dec** do niedawna miał 7 obywatelstw, a teraz nawet został obywatelem honorowym Dolnego Śląska. **Andrzej Suski** na koncie ma 5 honorowych obywatelstw. Przegrywa z **Damianem Zimoniem** o jedno. Rządzący na Śląsku Zimoń, mający w diecezji mnóstwo miast i miasteczek, jest jednak tylko o oczko lepszy od uprawiającego maciupką diecezję drohiczyńską **Antoniego Pacyfika Dydycza.** Ten nie odpuścił i wycisnął niemal wszystko, co mógł na swoich włościach zdobyć. Jest honorowym obywatelem Drohiczyna, Sokołowa Podlaskiego, Białej Podlaskiej, Węgrowa oraz gmin Sarnaki i Wyszki. Na dodatek ma medal „Zasłużony dla Powiatu Bielskiego".

Się świeci

Kilka długości za rekordzistami zostali tacy zawodnicy jak prymas **Wojciech Polak** czy kardynał **Kazimierz Nycz** z ledwie jednym obywatelstwem. Obaj jednak startują w innych konkurencjach, licytując się na doktoraty *honoris causa* i odznaczenia państwowe. Ale nawet w tych kategoriach nie mają szans przegonić mistrza Dziwisza.

Dlatego wymyślają inne tytuły. Im dziwniejsze, tym lepiej w episkopacie widziane. Ziółek ma więc przyznany przez PKOl złoty medal „Za zasługi dla polskiego ruchu olimpijskiego", odznakę Adwokatura Zasłużonym i honorową odznakę I stopnia Polskiego Czerwonego Krzyża.

Zimoń zremisował z Ziółkiem Adwokaturą Zasłużonym, ale dołożył tytuł „Niezawodnemu Przyjacielowi" przyznawany przez Związek Harcerstwa Polskiego i lokalne wyróżnienia takie jak Śląski Szmaragd, nagroda Ślązaczki i Złota Lampka Górnicza.

Nieznany szerzej bp **Stefan Regmunt** do dziś budzi niekłamany podziw kolegów za odznakę honorową „Za zasługi dla ochrony zdrowia".

Łódzki biskup pomocniczy **Adam Lepa** postarał się o Medal o Niepodległość Polski i Prawa Człowieka, Medal Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i członkostwa honorowe Katolickiego Stowarzyszenia Filmowego i Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy.

Głódź w tej kategorii też ma coś do powiedzenia. Co prawda został nagrodzony tylko brązową odznaką „Zasłużony dla Ochrony Przeciwpożarowej", ale złoty medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" dostał zasadnie, bo – jak sam mówi – stanowił inspirację do świetnej roli Janusza Gajosa w „Klerze", a kilku innych biskupów posiadających ten sam medal niczym się dla kultury nie zasłużyło.

Edward Frankowski budzi wśród kumpli z Episkopatu niekłamaną zazdrość, bo wszyscy zastanawiają się, jak to zrobił, że nie będąc związkowcem, dostał tytuł Honorowego Członka NSZZ „Solidarność".

Biskup **Stefan Cichy** ma brązową odznakę pożarniczą. Ma też coś, czego nikt inny w episkopacie nie ma – jest posiadaczem tytułu honorowego Dyrektora Generalnego Górnictwa.

Słyszał ktoś o arcybiskupie **Józefie Kupnym** z Wrocławia? Ma on złoty medal za Zasługi dla Policji i złoty medal za Zasługi dla Pożarnictwa.

Rys. TOMASZ WIATER

Medal Komisji Edukacji Narodowej też ma oraz srebrny medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis". Oprócz tego na jego szyi zadyndał medal 100-lecia Powstania Policji Państwowej, medal 30-lecia powstania NSZZ Policjantów oraz Krzyż Niepodległości z Gwiazdą klasy pierwszej za zasługi patriotyczne i działalność na rzecz środowiska policyjnego.

Dawali, będą odbierać

Cieszące hierarchów błyskotki i tytuły od jakiegoś czasu są jednak strupem dla gremiów nimi szafujących. Zaczęło się od Honorowego Obywatela Gdańska **Henryka Jankowskiego,** po tym jak pośmiertnie przebiły się do publicznej świadomości jego preferencje seksualne i faceta trzeba było z przestrzeni wspólnej usunąć.

Podobnie postąpił Watykan z **Henrykiem Gulbinowiczem.** Kardynał miał honorowych obywatelstw nawet więcej od Dziwisza. Dziś z 17 zostało mu ich jeszcze 12; pozostałe samorządy już mu odebrały. Nikt nie odwołał jeszcze przyznanych Gulbinowiczowi orderów Orła Białego i Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Nie anulowano złotego medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" ani złotej odznaki „Zasłużony dla Ochrony Przeciwpożarowej".

Orderu Uśmiechu też Gulbinowiczowi żadna kapituła nie zabrała. Ani Dziecięcej Nagrody Serca, Diamentowego Feniksa czy Perły Honorowej Polskiej Gospodarki.

Imię Gulbinowicza wciąż nosi Ośrodek Badawczo-Naukowo-Dydaktyczny Chorób Otępiennych Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Nikomu z jurorów przyznających od 25 lat tytuł Małopolanina Roku, którym uhonorowano dotychczas siedmiu hierarchów i zwykłego księdza, nie przyszło do głowy, co zrobić z laureatem ks. **Jackiem Stryczkiem,** który okazał się bohaterem zupełnie nie tej bajki.

To, że honorowanie hierarchów może być kłopotem, okazało się we Wrocławiu podczas przyznawania tytułu radiomaryjnemu abp. Decowi. Poza tym, że wyznawał religię rydzykową, nic nie można mu było zarzucić. Całkiem inaczej niż bp. **Andrzejowi Dziubie,** który jest honorowym obywatelem Łowicza, a za uszami ma tuszowanie afer pedofilów w sutannach.

Biskup Suski ma 5 honorowych obywatelstw i udowodnione ukrywanie księży pedofilów. Na razie jest tylko wniosek o pozbawienie go honorowego obywatelstwa województwa kujawsko-pomorskiego.

Dydyczowi na razie wyciąga się bagatelizowanie pedofilii. **Henrykowi Hoserowi** – honorowemu obywatelowi stolicy – całokształt ze szczególnym uwzględnieniem epizodu po ludobójstwie w Rwandzie.

Kowalczyk zaczyna mieć przerąbane, bo nie raportował przypadków księżej pedofilii, gdy był nuncjuszem i krył **Juliusza Paetza.** Sprawa tolerowania pedofilów przez Głódzia jest już na ukończeniu w Watykanie. Michalik i jego stanowisko w sprawie proboszcza z Tylawy znowu wypłynęło i robi się z tego coraz większy smród.

Malczyce, których honorowym obywatelem jest pogoniony z biskupstwa **Edward Janiak,** debatują nad tym, co zrobić ze znamienitym synem miejscowości. O nadanym mu tytule Leśnika Roku i odebraniu mu Dębowej Statuetki „Przeglądu Leśniczego" też już się myśli.

Święty na zawsze

Don Stanislao Dziwisz stał się bohaterem watykańskiego opracowania dowodzącego, że ucinał łeb wszystkim aferom pedofilskim, gdy był sekretarzem papieża. Wojtyła przez światowe media – szczególnie po enuncjacjach obecnego papieża – uchodzi powszechnie za faceta, który dawał ciche przyzwolenie na robienie z dziećmi tego, co się księżom podobało.

Nie zdarzyło się w historii Kościoła, aby ktoś mianowany świętym przestał nim być. Świętymi są więc mordercy, ludobójcy i gwałciciele. O ich dekanonizacji nikt nigdy nie pomyślał. Tak samo będzie z Wojtyłą. Nikt go nie ruszy. Stąd apele, aby pozbawić go honorowych obywatelstw Poznania, Warszawy i innych miast, są na wyrost. Jednak zupełnie inaczej wygląda sprawa z Dziwiszem. Znawcy Watykanu twierdzą, że wykopanie go sprzed ołtarzy nastąpi dopiero po jego śmierci.

TADEUSZ JASIŃSKI

i świętego Józefa Oblubieńca na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie na mszę w intencji ofiar katastrofy w Smoleńsku. Mówi, że to była straszna zbrodnia i co roku tu przychodzi na mszę w intencji ofiar. Tym razem jednak policja pilnowała wejścia i starszego człowieka nie wpuściła. W środku byli bowiem lider Prawa i Sprawiedliwości wicepremier Jarosław Kaczyński, marszałek Sejmu Elżbieta Witek, minister kultury wicepremier Piotr Gliński i wicelider PiS-u Antoni Macierewicz. Młody funkcjonariusz – mając świadomość, że jest nagrywany przez dziennikarzy – próbuje starszego pana delikatnie skierować gdzie indziej. Ten kompletnie nie wie, co się dzieje. Zaczyna intonować pieśń, w której padają słowa o sowieckich tankach. Z jednej strony wzruszający starszy pan, z drugiej cyrk na kółkach. I tak z Kaczyńskiego zbiegi różnych okoliczności robią wiatrak.

✚ Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek słusznie trwa w zamiarze obrzydzenia dzieciakom polskiego papy, z którego i tak wiele dzieciaków drze łacha. Czarnek upiera się przy włączeniu do kanonu lektur szkolnych pisaniny Jana Pawła II. Na razie nie podał żadnego tytułu. To bez znaczenia, bo wszystko to słabizna. Ci, którzy mają trochę oleju w głowie, a nie chcą drwić z papieża, taktownie milczą. Co też papież zrobił Czarnkowi, że ten chce na siłę odjaniepawlić polską szkołę?

✚ Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki napisał list do premiera Mateusza Morawieckiego, aby od Wigilii zwiększył obowiązujący limit wiernych w kościołach. Ponoć w Wigilię wirus mówi ludzkim głosem i nie zaraża.

✚ Przemysław C., lat 46, z zawodu monter aparatury telewizyjnej, mieszkaniec Lubonia pod Poznaniem, od dawna udzielał się w kilku miejscowych parafiach. Wstąpił do zakonu rycerzy św. Jana Pawła II. Przed ołtarzem ślubował wierność Bogu i ojczyźnie. Okazało się, że zajmowała go nie tylko lektura literatury Karola Wojtyły, ale także molestowanie chłopców. „To był absolutnie wzorowy chłopak. Nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń" – zapewniał ks. Bernard Cegła, od blisko dwudziestu lat proboszcz parafii św. Barbary w Luboniu. No pewnie. Wzorowy chłopak i dobry rycerz z tępą dzidą.

Rys. TOMASZ WIATER

✚ Ojciec Augustyn Pelanowski z zakonu paulinów (na Jasnej Górze pilnują Matki Boskiej namalowanej na desce), autor wielu książek o tematyce religijnej, aktywny kaznodzieja, bohater mediów społecznościowych, przez wiele lat ojciec duchowny w Wyższym Seminarium Duchownym Zakonu Paulinów w Krakowie na Skałce, człowiek, który nawrócił wielu znanych muzyków rockowych, został wypieprzony z zakonu za kłapanie dziobem, że Kościół hierarchiczny jest niefajny, papa Franciszek jest niefajny, a w ogóle w Kościele są sami masoni. Idziemy o zakład, że Pelanowski ma to w dupie i dalej będzie kłapał dziobem na Fejsie i YouTube. I będzie coraz bardziej popularny.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl 67bea7921d

Weto albo śmieć

Wszystko, co byście chcieli wiedzieć o wyrzucaniu odpadów, ale pisowcy nie umieją wam tego powiedzieć.

Czego nasza kapitalistyczna cywilizacja produkuje najwięcej? Ona produkuje najwięcej tego, czego nikt nie potrzebuje: śmieci. Jeżeli spojrzycie ponad gazetą, zakładam, że jesteście w domu, to wszystko, co zobaczycie, będzie kiedyś odpadem. Choinka wraz z bombkami, telewizor plazmowy, skórzana kanapa, ferrari, które stoi na podjeździe przed garażem, garnitur od Hugo Bossa, w który – zakładam – jesteście ubrani, no i gazeta – kiedyś to wszystko stanie się odpadami.

Są różne metody pomiaru dobrobytu społeczeństw, ale tylko jeden jest niezawodny: ilość odpadów komunalnych na mieszkańca. Jest ona największa w krajach o najwyższej stopie życiowej. Dania, która jest rajem na ziemi, Niemcy, które gdyby nie paskudne incydenty z przeszłości, też by były rajem, czy Szwajcaria – są rekordzistami świata w produkcji śmieci na obywatela. Jest to odpowiednio 766, 615 i 700 kg rocznie. Widać, że jesteśmy biedakami ze swoimi skromnymi 329 kilogramami odpadów na twarz. Jest to logiczne. Zarabiający więcej kupują więcej, jest więc więcej opakowań, czyli odpadków, które trafiają do kubła.

Paradoks monopolu

Zgodnie z ustawą od siedmiu lat za odbieranie śmieci odpowiedzialne są samorządy. Jest to o tyle słuszne, że tak jest wszędzie w Europie. No i dlatego, że gdyby polegać na odpowiedzialności i kulturze osobistej nas, obywateli Rzeczpospolitej, zamiast drzew w lasach rosłyby nam hałdy badziewia.

Samorządy odbierają odpady i każą sobie za to płacić. Co do zasady system gospodarki odpadami ma się bilansować. Zabroniono magistratom na tym zarabiać, aby chronić ludność przed zdzierstwem demokratycznie wybranych radnych, burmistrzów i prezydentów, ale wynagradzających samych siebie według własnego widzimisię. Nie brano pod uwagę jednak tego, że prowadzenie buchalterii odpadowej nie wystarczy, aby zapobiec drożyźnie.

Samorządy na ogół nie mają własnych wysypisk, spalarni, transportu ani nie zajmują się recyklingiem[1]. W Sejmie wymyślono, że brudną robotą trudnić się będzie wolny rynek, a radni liczyć będą jedynie kasę.

Problem jest taki, że w branży śmieciowej monopol jest niejako naturalny. Wysypisk śmieci nie będzie więcej, niż wojewoda pozwoli. Liczba spalarni odpadów koncesjonowana jest przez rząd. Powołanie przedsiębiorstwa, które ma własne śmieciarki, nie jest jak założenie Ubera. Śmieciara nie kosztuje 700 zł, jak telefon komórkowy, tylko 700 tys. zł. Kto w to inwestuje, musi mieć pewność, że potem wygra przetarg na odbiór odpadów, no bo żywych ludzi w koszach na śmieci przecież wozić nie idzie.

Paradoks rodziny

W branży działają te same przedsiębiorstwa, mające rodowód jeszcze w socjalizmie lub założone przez byłych dyrektorów Miejskich Przedsiębiorstw Oczyszczania. Obecnie zarządzane są już przez kolejną generację. W odpadach robią zresztą rodziny, o czym łatwo się przekonać, przeglądając dane rejestrowe spółek odpadowych. W ogóle atmosfera w branży jest familiarna…

Normą jest, że do przetargu w gminie staje jeden oferent, najwyżej dwóch. Przy czym ten drugi jest z sąsiedniej gminy. Jeśli wygra, to zmonopolizuje rynek, bo przecież tego pierwszego wykończy. Potem będzie jeszcze większy problem. Polityka przetargowa usług odbioru śmieci wymaga delikatności i białych rękawiczek. System przetargowy, który miał zapobiegać wzrostowi cen, stał się jedynie administracyjną formalnością.

Patologii rząd PiS chciał zaradzić. Do roku 2019 zabroniony był transport odpadów komunalnych po kraju, co umacniało pozycję lokalnych monopolistów. Rząd Mateusza M. to zmienił. Przez to widzicie coraz częściej mijające Was pojazdy z napisem „Odpady". To być może zawartość koszów z okolic Szczecina jedzie do Rzeszowa, z Warszawy do Białegostoku, a z Wałbrzycha do Bydgoszczy[2]. Bo to jest rachunkowo tańsze. Choć oczywiście faktycznie nie jest.

Przedsiębiorcy śrubujący ceny odbioru odpadów nie są temu winni. Utrzymują, że za wzrost cen odpowiada rząd PiS, który podniósł płacę minimalną wraz z ZUS-em i podatkiem. Opłata środowiskowa za składowanie każdej tony śmieci na wysypisku, która wynosi 270 zł, w ciągu roku 2018 wzrosła o prawie 90 proc. No i znaczki na listy zdrożały, od kiedy PiS rządzi Pocztą Polską.

Paradoks wody

Ponieważ ceny odbioru śmieci idą w górę, samorządowcy wymyślają rzekomo coraz bardziej sprawiedliwe stawki za ich odbieranie. Gówno z tego wychodzi. Żeby daleko tego gówna nie szukać, wystarczy spojrzeć na Warszawę.

Opłata za wywóz odpadów w stolicy w 2019 r. wzrosła o prawie 90 proc. Nie jest to rekord; niektórym wyszło tych procent 160. Obecnie radni wymyślili na rok 2021 kretyński sposób liczenia śmieci na podstawie zużytej wody. Do tego przyjebał się prokurator, zarzucając radnym głupotę. Radni przyjęli, że średnio obywatel Warszawy zużywa 4 m^3 wody (większość miałaby rozliczać się według tej średniej), co trzeba pomnożyć przez 12,73 zł. Powinien więc zapłacić za wywóz odpadów 50,92 zł.

Po pierwsze nie wiadomo, skąd się wzięło 12 zł z groszami, po wtóre można by od razu przyjąć, że każdy warszawiak ma zapłacić 50,92 zł, bo ów wodny współczynnik nie ma sensu, skoro obydwa czynniki są te same. Prokuratura zauważyła także, że ustawodawca zdefiniował maksymalną opłatę za odpady, która wynosi 36,38 zł miesięcznie od osoby[3]. Stosowanie jakiegoś wodnego współczynnika jest próbą obejścia ograniczeń ustawowych. 51 zł to zdecydowanie więcej niż 37.

Podobne poszukiwanie sprawiedliwości trwa w samorządach całego kraju, jednak bezskutecznie, bo kolektywne opłaty po prostu muszą wzrosnąć. To oczywiście, jak wszystkie podwyżki, najbardziej uderza w tych, co mają najmniej pieniędzy.

Paradoks segregacji

Na zdrowy rozum najlepiej byłoby odpady spalać. Norwegowie, których jest 5 milionów, mają 11 spalarni, a my, choć jest nas milionów 38, mamy ich tylko 8.

Rząd PiS jednak twierdzi, że nie można. Ma związane ręce horyzontalną polityką Unii Europejskiej, która nie tyle spalaniu jest przeciw, ile się domaga, aby z odpadów odzyskiwano więcej surowców wtórnych. Można spalać najwyżej 50 proc. śmieci, reszta do recyklingu. Jeżeli nie, rząd PiS zapłaci UE kary według stawki 3,5 tys. zł za tonę niezrecyklingowanego śmiecia. Opłatę trzeba by przerzucić na samorządy, a te musiałyby podzielić ją wśród obywateli. Śmieci zdrożałyby katastrofalnie.

Rząd PiS kazał więc odpady segregować, żeby były zdatniejsze do recyklingu – i kar nie płacić. Samorządy zainwestowały w kolorowe pojemniki i podobne worki. Stworzono harmonogramy odbioru, aby butelki kiedy indziej, a skorupki po jajkach jeszcze gdzie indziej. Zapłacono za to w chuj pieniędzy z efektem takim, że koszty gospodarki odpadowej w gminach wzrosły znacznie. Dlaczego?

Wszystkim, którzy w latach młodości zbierali makulaturę, aby chronić lasy, i oddawali butelki do skupu za pieniądze oraz szmaty, wydaje się, że robili dobrze i byli pożyteczni. To już nieprawda.

Kapitalizm nabrał takiego rozpędu, że wyprodukowanie nowych butelek z piasku, papieru z sosen, a także plastyku, produkujemy, a potem 1/3 towarów nie znajduje nabywcy i idzie na przemiał, tak jak w wielu wypadkach dzieje się dzisiaj. Spodziewamy się takiej ewolucji kapitalizmu, że przerodzi się on w socjalizm, a dopiero później w komunizm.

Stąd do Lenina

O tym, kto gorszy – Ziobro czy Stalin – „NIE" rozmawia z **KRZYSZTOFEM SZWEJEM**, przewodniczącym Komunistycznej Partii Polski.

– Jak się z Panem witać? Czołem, towarzyszu?

– Wystarczy dzień dobry.

– Kim jest współczesny naczelny polski komunista?

– Czy naczelny, to nie wiem. Obecnie jestem emerytem. Przez całe życie pracowałem w laboratoriach przemysłowych. Przewodniczę KPP od trzech kadencji. Z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zostałem wyrzucony w stanie wojennym.

– Za walkę z komunizmem?

– Nie za popieranie „Solidarności", ale za zarzucanie partii braku legalizmu i krytykę ataku na kopalnię Wujek. Z partii mnie wyrzucono, z pracy nie.

– A jak Pan komunistą w ogóle został?

– Od zawsze interesowałem się zagadnieniami politycznymi, społecznymi i historycznymi. Wyszło mi, że kapitalizm to kolejna zła forma rozwoju po niewolnictwie i feudalizmie. Jest co prawda efektywny gospodarczo, bo zmusza ludzi do aktywności i wydajności, ale jest niesprawiedliwy. I powoduje nadmierne zużycie zasobów Ziemi. Rywalizacja egoistycznych celów, zarówno jednostek, jak i grup, powoduje marnotrawstwo surowców, sił i myśli.

– W komunizmie byłyby lepiej wykorzystane?

– Podam taki przykład. Czy potrzebnych jest nam 300 modeli telefonów komórkowych? Uważam, że powinno być 10–15 o różnym kształcie, rozmiarach, możliwościach.

– Ja się zastanawiam, czy w komunizmie byłoby ich chociaż 10.

– Choć jestem do systemu gospodarczego w wydaniu radzieckim negatywnie ustosunkowany, jedno tamtejsze rozwiązanie mi się podobało. Otóż nie było na rynku rywalizacji gotowych wyrobów, lecz rywalizacja prototypów i konstrukcji. Kilka zespołów opracowywało nowy model samolotu, a najlepszy wchodził do produkcji. W kapitalizmie każdy produkuje swój, używając surowca, pracy ludzkiej itp. I na końcu zostaje w zasadzie nie ten, który jest najlepszy, ale ten, który się najlepiej na rynku przyjął, co bywa konsekwencją działań marketingowych itp.

– Na przewodniczącego partii wybrało Pana jakieś plenum czy coś?

– W latach 90. należałem do Związku Komunistów Polskich „Proletariat", uznawanego za kontynuatora PZPR. Ten twór wydał mi się jednak skostniały i przeszedłem do SLD. Ale gdy SLD zaczęło skręcać w prawo, w 2003 r. postanowiłem przenieść się do nowo powstałej Komunistycznej Partii Polski i tam spróbować realizacji bardziej radykalnych posunięć.

– Czyli zorganizować rewolucję?

– Nie, szereg pokojowych, racjonalnych działań.

– Ilu członków liczy dziś KPP?

– Około trzystu. Mamy struktury, płacimy dobrowolne składki, składamy sprawozdania.

– A jak, za przeproszeniem, z marketingiem? Trafiacie do młodych, starszych?

– Przekrój socjalny jest następujący: duża grupa starszych i dużo młodych. Brakuje osób w średnim wieku. Natomiast ostatnio zgłasza się do nas coraz więcej chętnych, co cieszy.

– Siedzibę macie w Tarnowskich Górach. Działacie głównie na Śląsku?

– Skąd, mamy członków w całej Polsce. W lipcu zeszłego roku odbył się piąty zjazd.

– Zjazd w sondażach?

– W Bytomiu, a wcześniej w Dąbrowie Górniczej.

– Być może był to ostatni zjazd, bo Zbigniew Ziobro skierował właśnie do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zdelegalizowanie KPP. Przeraził się Pan?

– Choć zdaję sobie sprawę, jakim tworem jest obecnie Trybunał Konstytucyjny, nie zamierzam składać broni. Będziemy walczyć do końca. A jeśli przegramy, założymy nową partię, bez słowa „komunistyczna". Cele pozostaną bez zmian.

– Rozumiem, że to nie pierwsze Państwa problemy z prawem?

– Nie. Partia została założona legalnie w 2002 r. Złożono wymagane 1000 podpisów, a sąd przyjął statut i program. Nie było żadnego zarzutu co do nazwy „komunistyczna". Zresztą wyrok Trybunału w Strasburgu mówi jasno, że stosowanie samej nazwy „komunistyczna" nie może być powodem do dyskryminacji, jeśli ktoś wprost nie namawia do stosowania totalitarnych metod i praktyk.

– A Państwo, jak rozumiem, wprost nie namawiają?

– Nigdy nic takiego nie proponowaliśmy. Natomiast wielokrotnie donoszono na nas do prokuratury, że a to słowo „komunistyczna", a to czerwona flaga z sierpem i młotem…

– I jak to się kończyło?

– Jeżeli statut partii mówi, że tak wygląda nasze logo, to jest to znak chroniony prawnie, mimo tego, co sobie Ziobro na ten temat myśli. Zresztą symboli i znaków wykorzystywanych w historii było już tyle, że prawie każdemu usiłuje się coś dokleić.

– Ale sierp i młot kojarzy się przecież jednoznacznie. Zastanawiam się, czy mówienie, że partia jest „komunistyczna" tylko z nazwy, nie jest w Państwa przypadku wybiegiem.

– Po pierwsze wpisujemy się w ramy prawne. Po drugie uważamy, że stosując powolną pracę agitacyjną, jesteśmy w stanie przekonać ludzi, że komunizm nie był zbrodnią, ale że to pewna idea sprawiedliwości społecznej, którą sformułowano w XIX w., gdy wyzysk był bardzo ostry, a ludzie wyzyskiwani – czyli głównie robotnicy – nie mieli innych szans zmiany sytuacji niż strajki i rozróby. Nie mieli wówczas praw wyborczych, bo to było w większości krajów związane z majątkiem i pochodzeniem.

– Powiem szczerze: o ile widziałem wytłumaczenie rewolucyjnych zmian wtedy, o tyle dziś wydają się one nonsensem. Czy szeroko rozumiany komunizm ma szansę zyskać wzięcie gdziekolwiek na świecie? Może kryzys klimatyczny mu w tym pomoże?

– Uważam, że postępująca ewolucja wymusi rozwiązania, które będą energooszczędne i bardziej efektywne gospodarczo. A więc organizacje i planowe działania gospodarcze – nie że wydobywamy, produkujemy, a potem 1/3 towarów nie znajduje nabywcy i idzie na przemiał, tak jak w wielu wypadkach dzieje się dzisiaj. Spodziewamy się takiej ewolucji kapitalizmu, że przerodzi się on w socjalizm, a dopiero później w komunizm.

– Jak chcą Państwo przekonać Polaków do komunizmu?

– Postulatów mamy wiele. Kadencyjność wszystkich wybieralnych publicznych stanowisk. Bo dziś jest tak, że gdy ktoś dorwie się do władzy, to siedzi tam do końca i w pewnym momencie przestaje być reprezentantem grupy, w której pracował, mieszkał i żył, lecz staje się przedstawicielem władzy, która ma już całkowicie odrębne interesy. Zniesienie wszelkich progów wyborczych. Obecnie wielu ludzi nie idzie na wybory, wiedząc, że ich głos na ulubionego kandydata nie będzie się liczył.

– Ale to są postulaty bardziej dla Państwa partii, żeby mogła wejść w główny obieg polityczny. A jaką ofertę macie dla ludzi?

– Pełne prawo do aborcji i równe prawa kobiet. Pełny rozdział Kościoła od państwa. Niech związki religijne narzucają swoje przekonania swoim wyznawcom, a nie ogółowi. Renacjonalizacja kluczowych gałęzi przemysłu, opodatkowanie podmiotów zagranicznych, które przy pomocy kruczków prawnych wymigują się od tego obowiązku. Chcemy również, aby studia medyczne pozostały bezpłatne, ale żeby absol-

eprasa.pl 67bea7921d

Rys. HENRYK CEBULA

stiku z ropy naftowej jest wielokrotnie tańsze niż pozyskanie surowców w drodze recyklingu.

Śmieci trzeba zebrać, oczyścić, zwieźć, oddzielić to, co się nie nadaje, przemielić, a surowiec i tak nie będzie jak nowy. Klienci będą się krzywić…

Jeżeli zmieszane śmieci włoży się do jednego pojemnika i wywiezie się je na śmietnik, gmina zapłaci od 210 do 600 zł za tonę (w zależności od regionu kraju), a te posegregowane kosztują od 400 do 1000 zł za tonę.

Im bardziej gminy będą segregować, tym Wy będziecie więcej płacić za wywóz śmieci. Ale będzie jeszcze drożej, jeżeli nie będziecie segregować, bo wtedy, jak wspomnieliśmy, podatek do UE wyniesie 3,5 tys. zł za tonę. Gdziekolwiek spojrzeć, dupa z tyłu, a cokolwiek zrobić, wyjdzie źle.

Paradoks ognia

Najlepiej byłoby więc z tymi śmieciami nic nie robić, czyli składować. Wówczas można by było tłumaczyć Unii, że wprawdzie śmieci jeszcze niezrecyklingowane, ale do ognia nie poszły. To leżenie kosztuje 270 zł za tonę, którą to opłatę konsekwentnie podnosi rząd PiS od lat co roku, aby tym sposobem chronić środowisko naturalne przed katastrofą.

Skoro przybywa odpadów na wysypiskach, a są one ekstremalnie łatwopalne – oczywiście tylko wtedy, gdy leżą na wysypiskach – to wybuchają pożary. W roku 2018 odnotowano o 84 proc. więcej pożarów wysypisk śmieci niż w roku 2017. Były ich 243. Danych za rok 2019 brak. Śmieci ulegają oczywiście samozapłonowi, ale ludzie mają z tego taką korzyść, że każda tona, która poszła z dymem, stwarza miejsce dla kolejnej tony, za którą jakaś gmina zapłaci.

Z pożarami trzeba walczyć, bo powodują raka gorszego niż papierosy, rząd PiS wymyślił więc w zeszłym roku, iż każde składowisko odpadów ma być wyposażone na wypadek ognia jak, nie przymierzając, lotnisko: drogi pożarowe, hydranty, wozy strażackie, czujniki dymu i temperatury. Śmieciarze inwestują miliony, które to inwestycje wliczone są w koszty, jakie poniosą gminy, czyli my wszyscy. Liczba pożarów podobno nieco spadła. Jednak deficytu pojemności legalnych wysypisk przybywa.

Inny sposób na sprostanie deficytowi znalazł się niejako sam. Legalna firma mogąca składować odpady oddaje je kolejnej firmie legalnie, ta następnej, a na końcu tego łańcucha jest firma krzak, która wynajmuje starą halę po pegeerze, tudzież bazę transportową – i tam składuje śmiecie. Prezes firmy krzak znika, a śmieci zalegają na wynajmowanej posesji. To w końcu wykrywają stosowne służby rządu PiS-u. Nakazują właścicielowi posesji uprzątnięcie brudów. Ten nie ma pieniędzy. Inspektorat środowiska wydaje więc rozkaz sprzątania komu? Gminie. Potem w drodze regresu gmina, jeśli znajdzie właściciela odpadów, dochodzić może odeń należności. W praktyce nie ma od kogo, bo właściciel jest na wygnaniu w Kijowie lub siedzi w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie. Gmina musi więc zapłacić za odpady z własnej kieszeni, choć zwykle dorzuca jej nieco Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska z pieniędzy uzyskanych od niemieckich podatników.

Paradoks sięgnął bruku

W Polsce jest jedna niezastąpiona w sprzątaniu nielegalnych wysypisk spółka Mo-BRUK z siedzibą w Niecwi. Założycielem firmy jest Józef Mokrzycki, były wójt gminy Korzenna. Zarząd składa się z pięciu członków, z których każdy nosi nazwisko Mokrzycki („Mo" w nazwie to właśnie od tego). Spółka Mo-BRUK wygrywa praktycznie każdy przetarg na zagospodarowanie odpadów z nielegalnych składowisk. Umowa z miastem Gorlice na likwidację 5 tys. ton opiewa na 48,9 mln zł netto. Umowa z powiatem zgierskim za likwidację 2 tys. ton nielegalnie zgromadzonych odpadów wyniosła 15,7 mln zł. 2,6 mln zł Mo-BRUK zainkasował ostatnio za uprzątnięcie pogorzeliska w Bielsku-Białej.

Ceny te zaczynają być szokujące, gdy się okazuje, że uprzątnięcie tony śmieci kosztuje wraz z VAT-em, w zależności od przetargu, prawie 10 tys. zł!

Mówiąc szczerze, takich cen za utylizację nie płacą nawet ci, którzy pozbywają się śmieci na lewo. Nie otrzymywali ich również szefowie grup przestępczych, których nielegalne składowanie odpadów zaprowadziło za kraty. Istotne jest też to, co się dzieje ze śmieciami potem. Otóż trafiają one do spalarni należącej do firmy Mo-BRUK, gdzie robi się z tego ciepło i prąd, które każdy chce kupić. Mogłyby tam trafić wcześniej z pominięciem całej zabawy i traconych przez społeczeństwo dziesiątków milionów złotych, ale tego nie było tym śmieciom wolno.

Frapujące jest to, że spółka Mo-BRUK twierdzi, iż jej dochody będą rosnąć, a rynek będzie się rozwijał. Skąd ta pewność? Przeświadczenie, że zarabia się na patologicznym systemie, a ten będzie się utrzymywał, powinno być raczej dyskomfortowe, a nie stanowić powodu, którym się człowiek chwali, aby zwyżkowały akcje giełdowe jego spółki. 10 tys. zł za tonę wsadu do pieca energetycznego – to jest korona śmieciowej patologii.

Paradoks tępego pisowca

Bądźmy jednak poważni i uczciwi. Właściwie oceńmy stopień zidiocenia polskiego systemu gospodarowania odpadami.

Chodzi o 12–13 mln ton śmieci rocznie. Nie jest to dużo. Węgla wydobywamy 5 razy więcej. Gigantyczne rzekomo podwyżki za wywóz odpadów to jest nominalnie kilkanaście złotych miesięcznie. I tak jest tanio, bo gdyby ludzie utylizowali 30 kg zawartości własnych śmietników według osobistej pomysłowości i możliwości, byłoby drożej. Zwłaszcza że około 15 procent zobowiązanych obywateli w Polsce nie płaci za odbiór odpadów, choć z wywózki korzysta. Są jednak i tacy, którzy nie korzystają, ale płacą.

Problem śmieciowy ujawnia, że stosunkowo prosta dziedzina działalności ludzkiej, jaką jest likwidacja odpadów, stwarza dla rządów Prawa i Sprawiedliwości barierę nie do pokonania. Dla posła Jacka Ozdoby, sekretarza stanu w Ministerstwie Klimatu, jego szefa ministra Michała Kurtyki czy szczęśliwie ostatnio odwołanego z funkcji Głównego Inspektora Ochrony Środowiska Pawła Ciećki są to po prostu rzeczy tak złożone i o takim poziomie komplikacji, że na osiągnięcie satysfakcjonującego rozwiązania jest tylko jeden sposób: modlitwa. Bez udziału Opatrzności, boskiej iluminacji i jeżeli anioł Gabriel nie przyśni się któremuś z wymienionych, po prostu się nie da.

I to jeszcze nadal nie jest problem. Takie pisoumysły zarządzają w Polsce zdecydowanie istotniejszymi dziedzinami: podatkami, bankowością, walką z zarazą, a teraz wzięły się jeszcze za media.

ROBERT JARUGA

[1] Naturalnie w odpadach robią też spółki samorządowe. Wielkie inwestycje w spalarnie odpadów Gdańska, Krakowa czy Rzeszowa byłyby niemożliwe bez udziału magistratów. Pamiętajmy jednak, że spółek komunalnych lub parakomunalnych w kraju jest kilkadziesiąt, a gmin 2477 lub 2478.

[2] To nie żart. Śmieci rzeczywiście tak podróżują po Polsce.

[3] Sposób obliczenia tej wartości jest dość skomplikowany. Aby nie nudzić, podaliśmy wynik ostateczny.

wenci musieli w zamian iść do pracy w kraju – lub zapłacić za studia.

– A coś pozytywnego dla młodzieży?

– Pomoc i preferencje dla najzdolniejszych. Dziś akcent położony jest na tych, którzy raczej nie dają sobie rady. Wybitnie zdolnych pozostawia się natomiast samym sobie. A w interesie państwa jest, by wynajdywać i przenosić do lepszych szkół tych, którzy świetnie rokują na przyszłość. Jesteśmy za likwidacją większości umów śmieciowych. Praca tylko na etacie, chyba że jest to dla kogoś działalność dodatkowa. Wtedy umowa o dzieło lub zlecenie byłyby dozwolone. Dziś nadużywa się samozatrudnienia, wypycha na jednoosobową działalność gospodarczą, żeby nie musieć przejmować się kodeksem pracy.

– A co dla chorujących?

– Likwidacja Narodowego Funduszu Zdrowia, który jest biurokratyczną nadbudową. Finansowanie służby zdrowia bez kontraktów i limitów, ale za to z nakierowaniem na zdrowie pacjenta. Bo przepraszam, jeśli ktoś zachoruje w grudniu, a limity się wyczerpały, to dlaczego ma czekać do stycznia na leczenie?

– Może chociaż popieracie Ziobrę w reformie wymiaru sprawiedliwości?

– Nam zależy na rzeczywistej reformie. Np. określeniu maksymalnego czasu trwania postępowania. Jeśli prokuratura nie potrafi postawić aktu oskarżenia w terminie, powiedzmy, trzech miesięcy, to wtedy przegrywa sprawę i po zawodach. Do tego wprowadzenie odpowiedzialności za pomijanie, fałszowanie i selektywne wybieranie dowodów. Dziś nie tylko prokuratura, ale i sąd ma prawo nie uznać jakichś dowodów. Czym to się kończy, widzieliśmy przy sprawie Tomasza Komendy. Dla wygody system nadużywa roli świadków. A co jest wart świadek, proszę sprawdzić, gdy poprosi pan o zdanie osoby, które zobaczyły jakieś zdarzenie na ulicy. Najważniejsze powinny być ślady badane naukowo.

– Skąd pieniądze na to wszystko? Jak miałoby wyglądać życie gospodarcze w XXI-wiecznym komunizmie?

– Powiem panu o pewnym absurdzie, z którym spotkałem się w PRL. Mój znajomy opracował pewne przełomowe rozwiązanie dla górnictwa, które pozwoliło kopać taniej i wydajniej. Wyrzucono go z pracy po kilku miesiącach. Dlaczego? Państwowa Komisja Cen powiedziała, że skoro jego rozwiązanie jest tańsze, to trzeba obniżyć cenę produkowanych przez nas urządzeń. A w związku z tym, że są też trwalsze, kopalnie zmniejszyły zamówienia. Nasz zakład pracy poniósł stratę, nie wyrobił planu i chłopa wywalili.

– Świetna krytyka systemu komunistycznego!

– W systemie, który ja proponuję, kopalnia płaciłaby za takie lepsze rozwiązanie więcej, a zysk przeznaczony byłby dla zakładu, w którym innowację opracowano. I to napędzałoby kolejne wynalazki. Nie było rywalizacji, tylko kult planu, i to często nie w jakości, ale w tonach. W jednym z zakładów pracy, w których pracowałem, na placu leżały wielkie stalowe walce ważące po kilka ton. Szef wytłumaczył mi, że trzeba wyrobić tyle a tyle ton, żeby dostać premię. Jeśli więc brakuje nam do planu kilogramów, bo natłukliśmy zbiorników czy rur, to robimy 2 lub 3 arcyciężkie kluzy kotwiczne. I plan wykonany.

– Przecież cały ten system składał się z takich absurdów!

– W 1967 r. Polskę odwiedził gen. de Gaulle. Modna wówczas zrobiła się jego czapka. Prywaciarze zalali takimi czapkami rynek, a spółdzielczość wprowadziła do planu ich produkcję. Tyle że modne były jedynie na przełomie jesieni i zimy, a potem już nie. A oni wyprodukowali wielkie ilości dopiero na przyszły rok.

– Wszystkie te problemy doskonale rozwiązuje kapitalizm! A Pan chce tu wprowadzać komunizm?

– Bo w 1989 r. sądziłem, że wszystko, co nastąpi, to będzie poprawa tych niedoskonałości, a nie wyprzedanie kraju. Nie tego spodziewała się większość! Okazało się zupełnie odwrotnie. Dziś, przy zglobalizowanej gospodarce, wprowadzenie komunizmu jest moim zdaniem nierealne. Możliwa jest taka modyfikacja systemu, by był on wydajniejszy. Przykładem, który zadaje kłam wielu piewcom naszej przemiany, są Chiny. Zaczynały z tego samego poziomu co Polska, a zaraz będą największą światową potęgą.

– To co by Pan proponował? Hybrydę jednego i drugiego systemu?

– Jeśli nazwę to hybrydą, to mnie komuniści zamordują. Proponuję komunizm, który będzie efektywny gospodarczo, sprawiedliwy i będzie umożliwiał wykorzystanie tych nauk, które nie istniały w XIX w. Nie wiedziano nic o socjologii, psychologii, genetyce, uważano, że wszyscy ludzie powinni być równi, a tymczasem są różni. I ci wszyscy ludzie powinni znaleźć sobie miejsce w społeczeństwie, odpowiednie do ich zdolności i możliwości. Państwo powinno zapewnić podstawy godnego życia, a resztę ludzie powinni wypracowywać sobie sami.

– A czy tak właśnie się dzisiaj nie dzieje?

– Dla mnie granicą pomiędzy kapitalizmem a komunizmem jest to, czy człowiek, który jest właścicielem firmy, sam w niej pracuje, czy też jest jedynie właścicielem.

– Dziś nie wierzy Pan w rychłe zwycięstwo komunizmu?

– To idea, do której dążymy. A po drodze do tej idei można zrobić wiele dobrego.

– Czyli żadnej rewolucji, wojny domowej, przewrotów?

– Obecnie, gdy wszyscy mają prawa wyborcze, rewolucja moim zdaniem nie ma sensu.

– To może chociaż protesty uliczne i zamieszki?

– Bierzemy udział w demonstracjach, bo uważamy, że rząd pod płaszczykiem rozwiązań pandemicznych wprowadza złe prawo. Ale burdy i bijatyki? Nie.

– „500 plus" Pan popiera?

– Popieram, choć zrobiłbym to inaczej. Pomagajmy, ale tym, którzy tego wymagają, a nie wszystkim, jak leci. W Polsce Ludowej artykuły dla dzieci były dotowane, a ich cena była wielokrotnie niższa. Ktoś, kto był mały jak Kaczyński, mógł sobie kupować rzeczy dla dzieci i płacić 1/3 tego co dorośli.

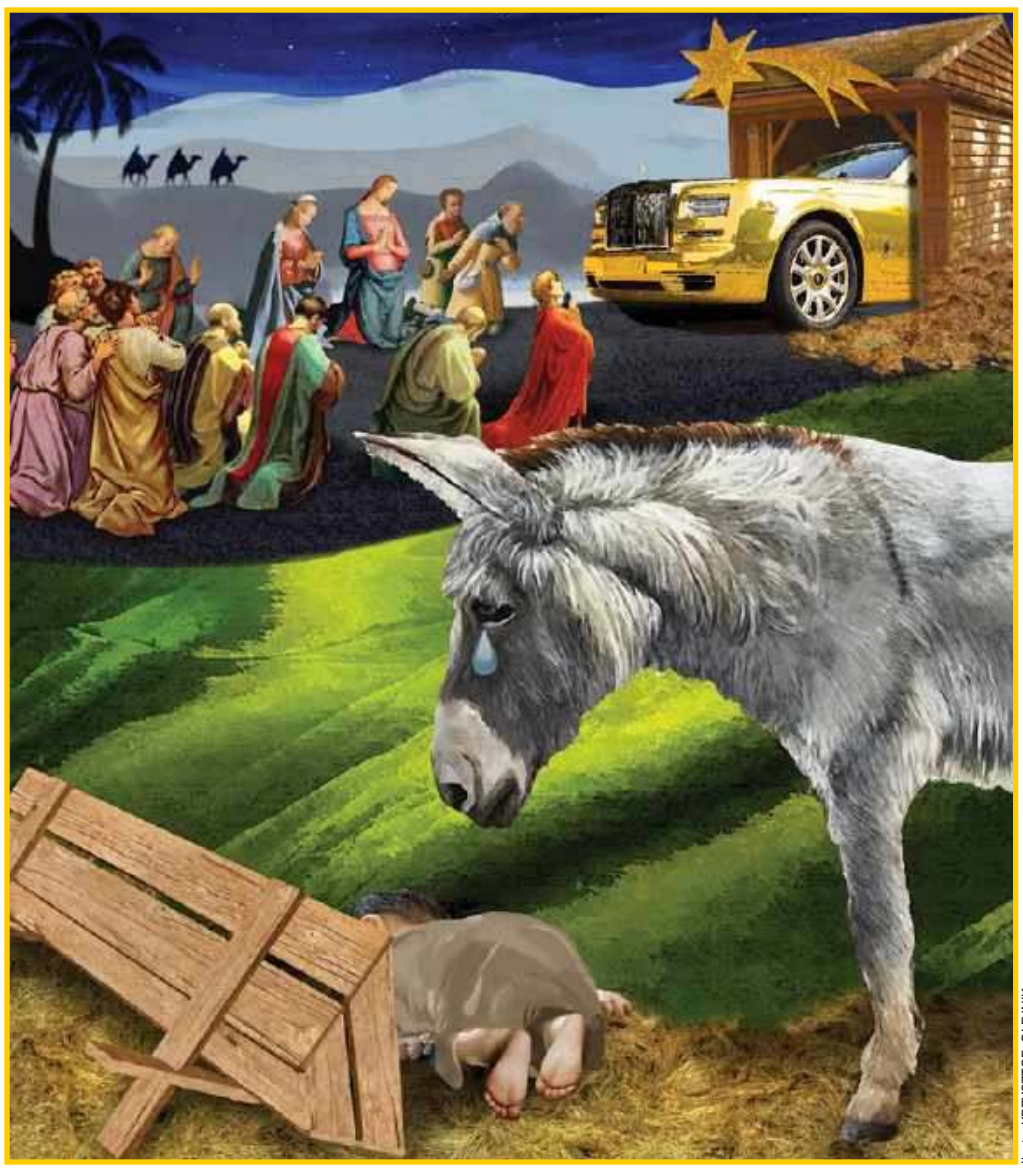

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rozmawiał
MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Dzięki Jaruzelowi

Nie ma końca sporów o konieczność wprowadzenia stanu wojennego.

W 1981 r. Wigilia świąt Bożego Narodzenia przypadała w dwunastym dniu stanu wojennego, wprowadzonego decyzją Rady Państwa 13 grudnia. Obowiązywały surowe restrykcje. Godzina policyjna, wyłączona prywatna sieć telefoniczna, zakaz podróżowania samochodami, zakaz zgromadzeń, zawieszenie większości tytułów prasowych i wiele innych. Dodatkowo represje policyjne, w pierwszej fazie internowanie około pięciu tysięcy działaczy „Solidarności", później aresztowania i wyroki sądowe.

Na Wigilię i święta część z tych restrykcji złagodzono. Władze nieustannie pertraktowały w tej sprawie z hierarchią kościelną, z której opinią bardzo się liczyły. Wczesne łagodzenie restrykcji ułatwiła sytuacja społeczna, nadspodziewanie słaby opór wobec stanu wojennego, nieliczne i dość krótkotrwałe strajki, praktycznie jeden tylko poważny konflikt z tragicznymi ofiarami w kopalni Wujek, spowodowany zresztą nadgorliwością miejscowych władz.

Tłumienie

Konsekwencje stanu wojennego były oczywiście pod każdym względem poważne. Wyznaczył on wyraźną cezurę w dziejach Polski Ludowej. Nie tylko położył kres ostrej fazie solidarnościowej rebelii ludowej, ale też znacząco zmienił jej charakter. Wyciszył masowy w istocie lewicowy aspekt tego ruchu, domagający się realizacji przez system realnego socjalizmu jego utopijnych egalitarnych zapowiedzi. Wyciszając ten nurt ruchu solidarnościowego, stan wojenny oczyścił pole dla znacznie mniej liczebnej politycznej nadbudowy ruchu zdolnej przetrwać w konspiracji, tylko pozornie demokratycznej, w większości nacechowanej pragnieniem rewanżu i restauracji *status quo ante*, czyli stosunków politycznych z czasów II RP. Nastąpiło uwstecznienie „Solidarności", które dało o sobie znać po latach.

Z drugiej strony stan wojenny poważnie zmodyfikował system polityczny PRL, zepchnął w cień rządzącą formalnie partię, wysuwając na plan pierwszy biurokrację wojskową i cywilną. Po kilku latach miało to ułatwić poszukiwanie kompromisowego wyjścia z następnego kryzysu o znacznie szerszym zasięgu, spowodowanego zakończeniem zimnej wojny. Układ polityczny, który powstał w wyniku stanu wojennego, okazał się bardziej zdolny do pokojowej przemiany ustrojowej w trybie Okrągłego Stołu niż poprzednia partiokracja.

Karanie

Ale nie perspektywa tych przemian przyświecała autorom stanu wojennego. Ich motywacje były prostsze. Władze państwowe PRL były zainteresowane wygaszeniem solidarnościowej rebelii, ale przez wiele miesięcy pod rządami Stanisława Kani zmierzały do tego drogą ustępstw finansowych i personalnych – w nadziei, że czas i pogarszająca się wskutek strajków i otwarcia przez rząd inflacyjnej kasy sytuacja gospodarcza spowodują rozczarowanie i osłabienie nastrojów buntowniczych. Nie była to taktyka pozbawiona podstaw; jesienią 1981 r. zarysował się znaczny spadek popularności ruchu solidarnościowego. Ale jednocześnie zarysowała się jego radykalizacja. Pojawiła się realna groźba ulicznych rozruchów.

Przez długi czas przywódcy „S" unikali masowych imprez i manifestacji, woleli łatwiejsze do kontroli strajki. Jesienią 1981 r. zaczęli planować manifestacje, nad którymi trudniej zapanować. Ten czynnik musiały brać pod uwagę władze, wtedy już ekipa generała Wojciecha Jaruzelskiego. Ale decydujący okazał się czynnik zewnętrzny, groźba interwencji militarnej Związku Radzieckiego i jego sojuszników. Zgodnie z proklamowaną jeszcze w 1968 r. doktryną Breżniewa.

Z groźbą interwencji w czasie kryzysu 1980–1981 liczyli się wszyscy – rządzący i przywódcy ruchu solidarnościowego. Dopiero po upadku Polski Ludowej w stopniowo wzbierającej fali antykomunistycznych rozliczeń prawica obozu posolidarnościowego zaczęła to zagrożenie lekceważyć, a nawet je zanegowała. Oskarżyła Jaruzelskiego oraz jego wojskowych i cywilnych współpracowników o pozbawiony racjonalnych podstaw zamach na pokojowy ruch „Solidarności".

Prokuratorzy katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej wszczęli absurdalne śledztwo przeciw dziewięciu autorom stanu wojennego, których nazwano **„zorganizowanym związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym"**. Przed sądem w Warszawie stanęły ostatecznie 3 osoby. Skazany został jedynie generał Czesław Kiszczak na 2 lata więzienia w zawieszeniu. W tym procesie uniewinniony został Stanisław Kania. Większość ściganych, przede wszystkim generała Wojciecha Jaruzelskiego, zły stan zdrowia i śmierć wybawiły od procesu. Są jednak ścigani pośmiertnie i bezpodstawnie szkalowani.

Pytanie

Opinia społeczna jest podzielona. Blisko połowa badanych niezmiennie od lat uznaje stan wojenny za uzasadniony, nieco mniej za bezzasadny. W opowieści oficjalnej mnożą w tej kwestii kłamstwa i zmyślenia, często zdumiewająco naiwne. Sędzia Jethon, która sądziła Kiszczaka, ośmieszyła się oświadczeniem, że w protokołach posiedzeń Rady Ministrów i Biura Politycznego KC PZPR nie znalazła odwołania do groźby radzieckiej interwencji, zatem groźbę tę wykluczyła. Nie wiedziała, biedaczka, że otwarte powoływanie się na taką groźbę byłoby w owym czasie potraktowane przez stronę radziecką jako oszczerstwo i prowokacja. W oficjalnej wykładni Związek Radziecki w **„bratnich krajach"** nie interweniował, lecz niósł im braterską pomoc w walce z kontrrewolucją. O groźbie interwencji myślano i rozmawiano poufnie, poza protokołem. O tym wiedzieli wszyscy. Jedynie antykomunistyczni zeloci nie przyjmowali i nie przyjmują tego do wiadomości. Warto rozpatrzeć po kolei dostępne argumenty w sporze **„wejdą czy nie wejdą?"**.

Grożenie

Za realnością zagrożenia interwencyjnego przemawiają przede wszystkim argumenty historyczne. W styczniu 1981 r. na wielkim zgromadzeniu w auli uniwersyteckiej w Toruniu (około tysiąca uczestników), zapytany o groźbę interwencji, odpowiedziałem: **„Interweniowali na Węgrzech w 1956 r., w Czechosłowacji w 1968 r., w Afganistanie w 1979, dlaczego mieliby nie interweniować w Polsce, która strategicznie jest dla nich ważniejsza?"**.

Oprócz tej historycznej argumentacji pojawiły się również inne sygnały interwencyjnego zagrożenia – i to znaczące. W grudniu 1980 r. Leonid Breżniew w rozmowie ze Stanisławem Kanią nie krył zamiarów: **„Teraz nie wejdziemy, ale gdyby sytuacja się komplikowała, wejdziemy, wejdziemy!"**. Kilka miesięcy później w czasie spotkania w Brześciu radzieccy ministrowie Ustinow i Andropow też grozili Jaruzelskiemu i Kani interwencją. Znamienne, że obydwa incydenty zbiegały się z zaostrzeniem sytuacji w Polsce. W grudniu 1980 r. z groźbą strajku powszechnego, a w kwietniu 1981 r. z wydarzeniami w Bydgoszczy.

Latem i jesienią 1981 r. pojawiły się informacje o sformowaniu w Czechosłowacji i Niemieckiej Republice Demokratycznej korpusów ćwiczonych w zamiarze interwencyjnym. Obydwa korpusy prowadziły rozpoznanie w Polsce. Polskie władze wojskowe obserwowały również intensywne a nieuzgodnione umacnianie stacjonującej nad Odrą i Bałtykiem Północnej Grupy Wojsk radzieckich. Oraz intensywną rozbudowę stacji łączności na trasach ze wschodu na zachód w Polsce. Pakt warszawski inicjował też ustawicznie **„sojusznicze"** i nadzwyczajnie licznie obsadzone wojskami manewry w Polsce.

Śledzenie

Po rozpadzie Związku Radzieckiego władze Federacji Rosyjskiej w zasadzie utrzymały embargo na wszystkie polityczne i wojskowe informacje mogące wskazywać na zamiar interwencji. Administracje zarówno Jelcyna, jak i Putina starały się chronić dobre imię Związku Radzieckiego. Ale wskutek przypadku kilka ważkich informacji przenikło tę kurtynę tajemnicy. W przekazanych stronie polskiej przez Jelcyna fragmentach tzw. teczki Susłowa, dobranych tak, aby uzasadniać jedynie polityczne, a nie wojskowe zainteresowanie kryzysem w latach 1980–1982, znalazł się fragment rozmowy Breżniewa z Honeckerem w lipcu 1981 r. Zaniepokojonego sytuacją Niemca Breżniew uspokajał: **„Na wypadek komplikacji marszałek Kulikow ma odpowiednie plany!"**. Kulikow dowodził wojskami Układu Warszawskiego.

Najważniejszy dokument ujrzał światło dzienne dzięki przypadkowi. Po śmierci szefa kremlowskich archiwów generała Dmitrija Wołkogonowa (1928–1995) amerykański historyk zimnej wojny Mark Kramer (Wilsonian Institution) uzyskał od jego rodziny kserokopię wniosku pięciu członków radzieckiego politbiura – Susłowa, Czernienki, Andropowa, Gromyki i Ustinowa – w sprawie utworzenia zgrupowania interwencyjnego na wypadek potrzeby **„okazania Polsce pomocy w walce z kontrrewolucją"**. Zgrupowanie to miało powstać niezwłocznie z doprowadzonych do stanu pełnej gotowości czterech dywizji, dwóch pancernych i dwóch zmechanizowanych, z zachodnich okręgów wojskowych. Dla uzupełnienia stanów tych dywizji zezwolono ministrowi obrony powołać do służby 20 tysięcy rezerwistów oraz zapewnić gotowość 8 tys. samochodów z instytucji cywilnych. Na wypadek gdyby sytuacja w Polsce się komplikowała, w szczególności gdyby do kontrrewolucji dołączyły formacje Wojska Polskiego, grupę interwencyjną przewidywano powiększyć o dalsze 7–8 dywizji i w tym celu powołać do służby 100 tysięcy rezerwistów i 20 tys. samochodów.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Wniosek był datowany 29 sierpnia 1980 r., dzień przed porozumieniami sierpniowymi w Polsce. Kramer, który dokument ten opublikował w „Biuletynie historii zimnej wojny", poinformował w komentarzu, że amerykański wywiad zaobserwował realizację tego wniosku. Zgrupowanie interwencyjne powstało i istniało do 1982 r.

Pojawiły się też w prasie rosyjskiej wspomnienia generałów dowodzących dywizjami w ramach tego zgrupowania, którzy ćwiczyli okupację określonych regionów w Polsce. Jeden z nich, dowodzący dywizją powietrznodesantową z Rygi, która miała zająć Warszawę, wykonał w przebraniu kapitana bezpośrednie rozpoznanie centrum naszej stolicy, udało mu się nawet zwiedzić budynek KC.

Uspokajanie

Tym faktom negujący groźbę interwencji IPN-owcy niewiele mogli przeciwstawić. Najwyżej mętne dywagacje o tym, że w obliczu niepomyślnego przebiegu interwencji w Afganistanie ZSRR nie stać było na interwencję w Polsce. Liczby temu przeczą. W wojnę afgańską Związek Radziecki angażował jedną armię o średniej liczebności około stu tysięcy żołnierzy, rekrutowanych głównie z republik azjatyckich. Tymczasem na granicach z Polską stacjonowało 300 tysięcy żołnierzy w NRD oraz 2 razy więcej w zachodnich radzieckich okręgach wojskowych.

W sukurs negującym groźbę interwencji przyszedł sam Jelcyn. W 1993 r. w ramach tzw. teczki Susłowa przekazał stronie polskiej fragmenty roboczego (nieautoryzowanego) zapisu posiedzenia Biura Politycznego z 10 grudnia, dotyczące sytuacji w Polsce. Uczestnicy posiedzenia wiedzieli już, że przygotowania do stanu wojennego weszły w ostatnią fazę. Dyskutowali jednak głównie o tym, czy wprowadzić do Polski radzieckie wojska, i zdecydowanie się temu sprzeciwili. Andropow wyraził opinię, że wojsk nie należałoby wprowadzać, nawet gdyby „Solidarność" miała zdobyć władzę. Susłow stwierdził, że interwencja byłaby katastrofą. Zdecydowanie też interwencji sprzeciwiał się Gromyko. Breżniew przewodniczył zebraniu, ale sam się nie wypowiadał. W posiedzeniu nie uczestniczył marszałek Kulikow, który od dwóch dni znajdował się ze swoim sztabem przybocznym w Warszawie.

Te fragmenty zapisu posiedzenia z 10 grudnia w kołach solidarnościowych chętnie przyjmuje się jako dowód, iż interwencja nie była przez Kreml w ogóle brana pod uwagę; jest to jednak interpretacja błędna, dyktowana myśleniem życzeniowym. Jej wyznawcy nie zastanawiają się nad tym, dlaczego radzieckie politbiuro wszczęło debatę o interwencji i wprowadzeniu wojsk na 3 dni przed wprowadzeniem stanu wojennego, które miało przecież potrzebę tej interwencji uchylić. Ani też skąd polemiczny ton tej debaty. Uczestnicy dyskusji wyraź-

Ilustr. WŁODEK KIERUS

eprasa.pl 67bea7921d

nie polemizują z jakimiś zwolennikami interwencji nieobecnymi na sali. Nie z Jaruzelskim, gdyż najbardziej miarodajny w tej kwestii Michaił Susłow oświadcza: **„Polacy wprowadzenia wojsk zdecydowanie sobie nie życzą”.** Minister obrony Ustinow to potwierdza. Z kim więc polemizują?

Zmylenie

Była u nich frakcja wojskowo-bezpieczniacka, która wolała interwencję. I zrobienie w Polsce porządku własnymi rękami. Rzecznicy tej frakcji, gdy już się zorientowali, że będzie stan wojenny, chcieli go wesprzeć. Taką półinterwencją… Po to, żeby przypilnować, aby stan wojenny był taki, jak trzeba. Z tego powodu, moim zdaniem, doszło do tej dyskusji na posiedzeniu Biura Politycznego z 10 grudnia. Nie będziemy interweniować. Nie mówili tego pod adresem Jaruzelskiego, nie mówili też pod opinię międzynarodową, bo tej dyskusji nie ogłosili przez kolejne 20 lat, choć byłoby to propagandowo atrakcyjne.

Ta debata była adresowana do swoich, znajdujących się poza salą, ale ważnych i liczących się w establishmencie.

Mamy w tej sprawie wskazówkę, w dyskusjach polskich ignorowaną: wizytę marszałka Kulikowa w Warszawie w dniach 8–13 grudnia. Po co przyjechał? Nadzorować stan wojenny? Chyba nie, gdyż w momencie jego wprowadzenia wyjechał. A może spodziewał się decyzji o wspomożeniu go siłami radzieckimi, czyli wprowadzenia wojsk, i tą operacją chciał dowodzić.

Pewną wskazówkę do wyjaśnienia tej kwestii daje notatka w tzw. zeszycie roboczym generała Anoszkina, totumfackiego Kulikowa. 10 grudnia po południu jego szef poszedł do ambasady radzieckiej, skąd miał telefonować do marszałka Ustinowa. Wrócił i zakomunikował Anoszkinowi, że jest zdecydowane stanowisko – ***„wchoda wojsk nie budiet”*** **(„wprowadzenia wojsk radzieckich nie będzie”).** Anoszkin zareagował wpisem o 16.15: **„To dla nas straszna wiadomość. Półtora roku paplaniny o wprowadzeniu wojsk. I wszystko odpadło!”.** W tej krótkiej notatce zawiera się ważna informacja.

Otoczenie Kulikowa, ludzie, o których Anoszkin mówi „my”, oczekiwało zgody na wprowadzenie wojsk radzieckich w czasie stanu wojennego lub wraz z nim.

Liczyli na to, że przejmą nad nim kontrolę. I wtedy zrobią to, co chcą. Jaruzelski te plany pokrzyżował.

Pamiętanie

15 grudnia prezydent Andrzej Duda, zapalając znicz na placu Piłsudskiego w Warszawie, pomstował na zbrodnię stanu wojennego i zbrodniarza Jaruzelskiego, który wojsko wyprowadził przeciw własnemu narodowi. Amerykański generał Alexander Haig, w czasie wprowadzania stanu wojennego sekretarz stanu USA, jeden z najbliższych współpracowników prezydenta Reagana, był odmiennego zdania. Od Dudy różnił się kompetencjami i stanem poinformowania. Ten wieloletni naczelny dowódca wojsk NATO, 4-gwiazdkowy generał, wiedział o armii radzieckiej wszystko, jego satelity śledziły ruch każdej dywizji. Indagowany w 2006 r. przez polskiego dziennikarza Haig oświadczył, że nigdy nie wierzył w to, że Moskwa pozwoli na pokojową rewolucję „Solidarności”. **„Nie sądzę też”** – dodał – **„by Reagan w to wierzył (…). Rozumiem decyzję Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego, on uważał to rozwiązanie za mniejsze zło. My oczywiście nie mogliśmy zająć takiej pozycji i tego nie zrobiliśmy. Jeśli chodzi o Jaruzelskiego, to nie zamierzam dołączyć do fali krytyki jego osoby. Mając do wyboru czołgi radzieckie na ulicach Warszawy lub stan wojenny, wybrał to drugie. Musimy zawsze o tym pamiętać”.**

Można powiedzieć: *Roma locuta, causa finita.*

ANDRZEJ WERBLAN

Kielce, miasto pogromne

Ławeczka Jana Karskiego stoi na mostku nad Silnicą. Jest jedną z siedmiu takich ławeczek rozsianych po świecie od Waszyngtonu po Tel Awiw. Choć rodzina bohatera protestowała. Bo urodzony w Łodzi, zmarły w Waszyngtonie dyplomata za życia był przeciwny pomnikom.

W Kielcach Jan Karski pochyla się nad szachami, ale łypie na kamienicę przy ul. Planty 7/9. Tutaj 4 lipca 1946 r. Polacy zabili 42 Żydów ocalałych z wojennego pogromu, a Baruch Dorfman stracił wzrok w wyniku urazu czaszki.

Rys. TOMASZ WIATER

1.

Ławeczka jest w Kielcach lubiana. Karski też. Dziewczyna, która wyszła na wrotki, zakłada pomnikowi czapkę. Ciepło jest, zabierze, gdy będzie wracać do domu. Zawsze tak robi. Mama jest zadowolona, bo w Kielcach nie okradają pomników.

Podchodzi para młoda. Tren oblubienicy przysłania czoło Karskiego.

– Niżej, proszę usiąść – dyryguje fotograf. – Teraz na stojąco, odrzuć głowę… Dobrze. A na koniec pogłaskajcie rękę posągu. To przynosi szczęście…

Kim był Karski?

– Graczem – nie ma wątpliwości Kasia, ta od czapki. Obstawia, że grał w warcaby, jak babcia.

– Poetą – zgaduje oblubienica. Bo w Łodzi, gdzie się wychowała, jest ławeczka Gałczyńskiego. Świeżo upieczona mężatka lubi wiersze: **„Pokochałem ciebie i boso, i w koronie, i o świcie, i nocą…”.**

COVID COVIDEM, ale jeśli chcesz wygrać na nowojorskiej giełdzie, musisz wcześniej chwycić za jaja symbolizującego ją byka. Gołą ręką! Czy głaskanie przez koronkę zachowuje cudowną moc? Dziewczyna mozolnie zdejmuje kończącą się przy łokciu rękawiczkę.

2.

Karskiego posadziło nad rzeką kieleckie stowarzyszenie jego imienia. Nie przez przypadek emisariusz patrzy na miejsce żydowskiej kaźni. Stowarzyszeni kultywują postać Karskiego, ale też pamięć kieleckich Żydów. Prowadzą muzeum „dom. kielce. planty 7”.

Kielce istnieją od blisko tysiąca lat; Żydzi zaczęli się tutaj osiedlać po roku 1862. Nie chcieli takich sąsiadów mieszkańcy, a przede wszystkim właściciele miasta, krakowscy biskupi. Opór przełamał carski *ukaz*.

Osiedleńcy czuli się tu dobrze, miasto rozkwitało. Przed II wojną światową co trzeci mieszkaniec miał żydowskie pochodzenie.

Większość z 19 tysięcy tutejszych Żydów skończyła w miejscowym getcie. Przeżyło 500 osób. Grupa ocalonych zamieszkała w budynku przy ul. Planty 7/9. 2 miesiące przed pogromem zrobili pamiątkowe zdjęcie. Najlepsze sukienki, garnitury. W oczach radość: żyjemy! I rezygnacja: tylu odeszło…

3.

Dwupiętrowa narożna niezgrabna kamienica stoi do dzisiaj. Biały tynk. Na balkonach przymrożone resztki pelargonii. Pachnie kawą i rozgotowaną kapustą. Wiktoria zrobiła gołąbki dla syna. Krzyś jest w tym samym wieku co Henio Błaszczyk. Psotnym.

1 lipca 1946 r. 9-latek Henio wskoczył na furmankę i pojechał na wieś, w której do niedawna mieszkał z rodzicami. Tęsknił za kolegami, a poza tym dojrzewały czereśnie.

Jego tato, szewc Błaszczyk, zgłosił na komisariacie, że syn zniknął.

3 lipca 1946 r. dzieciak wrócił obładowany owocami. Wieczorem pijany papa znów poszedł na milicję powiedzieć, że syn się odnalazł.

– Schwytali go i trzymali w piwnicy Żydzi. Rzut kamieniem od komisariatu, w Komitecie Żydowskim przy ul. Planty 7/9. Syn uciekł, ale zostało tam jeszcze kilkoro polskich dzieci, które przerobią na mace – monologował, kiwając się na progu.

– Przyjdź jutro, jak wytrzeźwiejesz – poradził milicjant.

Henio bał się lania, dlatego spodobała mu się wersja o porwaniu. Kolejnego dnia Błaszczykowie potwierdzili straszliwą historię. Wskazali Żyda, który ułatwił porwanie Henia i zamknięcie go w piwnicy.

Kogoś z milicyjnej zwierzchności nie było. Wojewoda leczył złamaną nogę. Milicjanci ruszyli w stronę Plant ratować polskie dzieci, a za nimi rozwścieczony tłum. Potem też wojsko. Żydzi myśleli, że przyszło ocalenie, ale żołnierze zaczęli wybijać okna. Wdarli się do środka, strzelali do ludzi, a rannych wyrzucali w tłum.

– Byłem ranny. Kazali nam wyjść, utworzyli szpaler. Żołnierze bili nas kolbami. Cywile, mężczyźni. Nawet kobiety nas biły. Kłuli bagnetami, strzelali, walili kamieniami…

Baruch Dorfman miał na sobie kurtkę z polskiej armii.

Wtopię się w tłum – myślał. O kilka kroków od wolności rozpoznano go.

– Ma dziwną minę. Na pewno Żyd! – usłyszał.

Kopniaki. Ciemność.

4.

Ambasador brytyjski raportował, że biskup Juliusz Bieniek z Górnego Śląska uważa, iż Henio był maltretowany w piwnicach budynku przy ul. Planty i utoczono mu z ramienia krew. **„Nic dziwnego, że prości ludzie w Polsce myślą tak samo…”** – napisał.

Na marginesie: w kamienicach nad Silnicą nie ma piwnic.

Z sukienkowych tylko biskup Teodor Kubina z Częstochowy wydał jednoznaczne oświadczenie: **„Wszystkie szerzone w tej materii wiadomości i wersje są wymysłem świadomym zbrodniarzy lub nieświadomym – ludzi obałamuconych – i zmierzają do wywołania zbrodni”.** Dostał po łapach od episkopatu (**„Zobowiązuję wszystkich bez wyjątku biskupów, ażeby powstrzymali się od zajmowania stanowiska wobec wszystkich bez wyjątku wydarzeń w kraju”).**

Bezpośrednio po pogromie kieleckim uciekło z Polski 60 815 Żydów. Nie bali się, że obozy przesiedleńcze znajdują się w Niemczech. Wyjechał co czwarty Żyd, któremu udało się przeżyć wojnę.

5.

Jan Karski ma w Kielcach ulicę. Podczas dekomunizowania nazw w przestrzeni publicznej zastąpił Żołnierzy Radzieckich, choć to był prawnik i dyplomata niezwiązany z miastem. Urodzony w Łodzi, zmarł w Waszyngtonie. Honorowy obywatel Izraela, wyróżniony tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Przedarł się do warszawskiego getta, żeby dać świadectwo. 29 lipca 1943 r. dostał się do prezydenta Roosevelta. Miał 17 minut, żeby opowiedzieć o mordowanych.

Może alianci przedstawią ultimatum? Może zagrożą bombardowaniem niemieckich miast? Dostarczą broń, pieniądze i paszporty uciekającym Żydom? – kombinował.

Policzymy się z nimi po wojnie – usadził go gospodarz. Chyba nie wierzył w Holokaust. W rozmiary zbrodni. 6 milionów Żydów w piachu? Szybko zmienił temat: – Panie Karski, proszę mnie ewentualnie wyprowadzić z błędu, ale czy Polska nie jest krajem rolniczym? Czy nie potrzebujecie koni do uprawy waszej ziemi?

6.

Na oficjalnej stronie Kielc poczesne miejsce zajmuje informacja, że miasto jest wielkim muzeum geologicznych osobliwości, przyszłą stolicą polskiego sportu (7 nowoczesnych naśnieżanych stoków), warto zwiedzić Muzeum Narodowe, mieszczące się w Pałacu Biskupów Krakowskich, oraz Muzeum Zabawek i Zabawy, 30 tys. lalek i kolejek, jedyne takie zbiory w Polsce. Jeśli ktoś ma więcej czasu, niech zahaczy o Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego i Galerię Współczesnej Sztuki Sakralnej. Władze miasta nie chwalą się zamordowanymi Żydami.

Kielce to nie Jedwabne, mieszkańcy nie zaprzeczają temu, co się stało.

Może z powodu daty pogromu: lato 1946 r. Niemcy ledwo dychali, nie mieli możliwości zabijać, nikt więc nie idzie w zaparte.

Ławeczka Karskiego pojawia się w przewodnikach z komentarzem: **„Turyści mają z niej korzyści, bo stanowi tło do pamiątkowych fotografii”.**

7.

Henryk Rotman-Kadera, syn żydowskiego lekarza z Kielc, walczył o Polskę od 1914 r. Hitler wymordował mu bliskich. Jemu udało się przetrwać również polski pogrom.

– Nagle niektórzy uświadomili sobie straszny fakt. Hitlerowcy byli zbrodniarzami, bo mordowali Żydów. Teraz okazało się, że kielczanie, Polacy, także mordują Żydów… – wspominał.

O zbrodni przypomina prosty betonowy monument z gwiazdą Dawida i napisem wypranym z emocji: **„Tu spoczywają prochy 42 ofiar zajść kieleckich z dn. 4 lipca 1946 r.”**. Stanął na cmentarzu żydowskim. Został wybudowany za pieniądze Żydów z USA i Izraela.

W rocznicę zbrodni przyjeżdżają ci, którzy przyszli na świat w Kielcach. Historyk entuzjasta przyprowadza grupę uczniów. Zwykle jest żarówa. Zmęczone prymuski składają zwiędłe róże i pędzą na lody. Mało którą obchodzi przeszłość.

„Idę w stronę Ławeczki. Siadam obok Karskiego. – Jeszcze nie wszystko stracone, panie Karski – mówię. Spoglądam na pogodne niebo. – Są ludzie, którzy pamiętają. Uczą prawdy – pocieszam nieruchomego szachistę i siebie. Kielczanie zabili kielczan” – napisała jedna z licealistek.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 67bea7921d

Nie ma tego, co jest.
Jest tylko to, co się kroi w internetach.

MEMOKRACJA

To był rok memów. Rok, w którym memy w Polsce toczyły rozgrzane do czerwoności koło dziejów. Memiarze przestali być subkulturą ubocza, stanęli w blasku mainstreamu, wskazali kierunek. Przestali reagować na rzeczywistość, zaczęli ją kreować. W 2020 r. świat odpowiadał na rzeczywistość kreowaną w sieci.

III wojna światowa

Niewielu pamięta, że zaczęliśmy rok od światowego konfliktu zbrojnego, nie wiedząc jeszcze, że pierwsze informacje o dziwnych zachorowaniach na grypę w Chinach przebiegunują świat, który do tej pory znaliśmy.

Jest 3 stycznia 2020 r., leczymy zgagę po Bożym Narodzeniu i kaca po sylwestrze. Prezydent Donald Trump nie próżnuje; Amerykanie kierują rakietę w irańskiego generała Ghasema Solejmaniego, który ginie w wyniku eksplozji. Obydwa państwa dysponują bronią nuklearną, nieokiełznana chęć pomszczenia irańskiego wojskowego przez wielu była uznawana za możliwy początek III wojny światowej. Tag #IIIWW stał się popularny w sieci, do dziś można znaleźć artykuły w portalach tabloidowych, gdzie można też nabyć jod na wypadek konfliktu nuklearnego.

Zaostrzenie sytuacji, które finalnie potrwało kilka dni, stało się jednym z popularniejszych wydarzeń – przez to, co napędza ludzkość od wieków: ciekawość i strach. Na końcu roku 2019, co łatwo dziś zapomnieć, świat czuł znużenie stabilizacją. Od lat nie wydarzyło się nic, co zmieniłoby układ sił, co zepchnęłoby oklepane twarze z okładek gazet i telewizyjnych ujęć. Człowiek jest głodny widowiska i szuka go, gdy dookoła wieje nudą.

Widać było ironię współczesnych pokoleń, które widocznie zrozumiały, że wychowały się w spokojnym i dostatnim świecie, a żarty z nieporadnych kanapowców, którzy mieliby zostać zmilitaryzowani, były autoironicznym spojrzeniem na wizję współczesnego konfliktu globalnego.

Pandemia

Truizmem jest, że koronawirus zmienił świat, że skutki pandemii będą z nami przez najbliższe lata. Memy czasów zarazy korygowały niepoprawne postawy, a także nagłaśniały problemy i przekręty, które nadciągnęły wraz z nią do Polski.

Gdy Polacy, ale nie tylko, przypuścili szturm na sklepy, tłukąc się o ostatki makaronu i papieru, w internecie powstawały pierwsze memy obśmiewające tę nadaktywność. Wstyd i zażenowanie, jakie przypisano poczciwym zjadaczom kaszy z ryżem, prawdopodobnie spowodowały, że młodsze pokolenia, do których przekaz dotarł, zachowały się rozsądniej i nie wydały całej wypłaty na wieżę z konserw rybnych zdobiącą do dziś niejeden polski przedpokój.

Gdy prześladowani Polacy zmuszeni byli do noszenia maseczek, dusząc się w oparach własnego oddechu, noszenie maski pod nosem stało się w sieci królem żenady i braku podstawowej świadomości tego, jak działa pandemia i na czym polega zagrożenie. Gdy po zbiorowym ataku paniki do głosu doszli tacy intelektualiści jak Ivan Komarenko, Grzegorz Braun czy Edyta Górniak, negujący zagrożenie i wyzywający na wpół żywych ludzi od statystów, internet śmiał się z „foliarzy" – jednostek doszukujących się teorii spiskowych. Przez wskazanie na żenujące zachowania i irracjonalne poglądy zagrażające własnemu zdrowiu ograniczono liczbę osób, które nie rozumiejąc zagrożenia, wyparły je ze świadomości w odruchu samoobrony.

Wreszcie pandemia to reakcje partii rządzącej i rządu. To decyzje, które w szczytowym momencie wpływały na życie lub śmierć setek osób dziennie.

Smutne, zmęczone oczy ministra Łukasza Szumowskiego, które miały być efektem heroicznej walki z pandemią, szybko przechrzczono na symbol kombinowania na boku, jak dorobić się na wiedzy, władzy i zagrożeniu.

Maseczki z niepotrzebnych stały się kluczowym elementem walki z pandemią, a Szumowski pod ciężarem kompromitacji i nie tylko publicystycznego oburzenia ustąpił przed drugą falą, gdy pewne już było, że dzieci pójdą od września do szkoły, a jesienią zakażenia będziemy liczyć w dziesiątkach tysięcy. Spopularyzowane w sieci wypłaszczanie krzywej, respiratory, narciarz i brat stały się ciężarem topiącym ministra odpowiedzialnego za chaos.

Trzaskowski

Niespodziewany element zestawienia. Jedno z bardziej pozytywnych zaskoczeń opozycji w roku 2020. No, może pierwszej połowy roku… Polityk nieidealny, ale wystarczająco charyzmatyczny, aby dać nadzieję na zwycięstwo. Jego kampania była zapowiedzią buntu młodego pokolenia, które napierdalało się z policją o przyszłość i godność. Dlaczego Rafał Trzaskowski stał się pupilem ludzi internetu i zdominował popkulturę internetu? Z powodu pewności siebie i poczucia lepszości. Dostarczył tak potrzebne po latach jazgotu pisowców poczucie wyższości rozwijającym się i kształcącym Polakom. Półsłówkami, drobnymi sugestiami, popisami językowymi zdawał się szydzić z Andrzeja Dudy i jego angielszczyzny na poziomie jąkającego się 6-latka. Schludny, wysportowany stypendysta oksfordzki w drogiej białej koszuli, szczycący się płynnym francuskim i angielskim na poziomie doktoranta, był jak niezauważone przez nikogo splunięcie za kimś, kto zatruwa nam życie od lat, pełniąc legalnie uzyskaną zwierzchność. Zjedzeni w tych wyborach Biedroń, Kosiniak-Kamysz i Hołownia z finalnie niższym od oczekiwanego wynikiem to efekt popularności internetowej Trzaskowskiego, który popularny i modny w sieci stał się przez swoją komunikowaną podprogowo antypatię wobec przeciwnika i jego wyborców. Pod koniec kampanii na jego wiece młodzi ludzie przychodzili z transparentami: „Wolności, nie musztardy", „Mmm… Czosnkowski" i masowo łamali długopisy w trakcie ciszy wyborczej, zapowiadając, jak rozegrają kolejny akt wojny o wolność.

Jebać PiS

Niespodziewany powrót z przeszłości zaliczyło hasło „Jebać PiS!". Najznakomitsi internautolodzy toczą spór o etymologię zwrotu, jednak jeden z pierwszych śladów po tym manifeście politycznym pozostawił po sobie Jerzy Urban w nagraniu z 14 lutego 2017 r. Znajdujące się wciąż na YouTube tygodnika „NIE" dzieło zawiera te 2 magiczne słowa, które zmyślnie zamieniono na 8 gwiazd, aby nie razić mainstreamu wulgarnością wyrazów. Gwiazdki, ale także radosny okrzyk jebania PiS-u rozbrzmiewał w uszach prawackich redaktorów i partyjnego gruzu, powodując wycie zwrotne. Nie ma dziś wątpliwości, że to skowyt bólu. TVP w okresie najsilniejszych protestów burzyło się na słownictwo, oburzali się nawet liberalni inteligenci i część opozycji. Fakty są takie, że w Polsce żadnemu obozowi politycznemu nie wypowiedziano tak dosadnie wojny. Wyła prawica, gdy Urbanowi setki dzieciaków biły brawo na imprezie w 2019 r., wyje, gdy setki tysięcy ludzi na ulicach skandują hasło sprzed trzech lat. „Jebać PiS!" stało się zwrotem kultowym. Doczekało się miejsca w kulturze dzięki licznym przeróbkom muzycznym, remiksom i zupełnie nowym wykonaniom. Niektóre mają po 6 milionów odtworzeń.

Sasin

Chyba najwyraźniej świecąca gwiazda podsumowania. Słup, zmuszony do wykonania cudzych decyzji, który nawet się pod nimi nie podpisywał, został przez lud ochrzczony nieudolnym wykonawcą woli prezesa, zamieniającym wszystko, czego się tknie, w spektakularną klęskę. Warto pamiętać, że teoretycznie to premier zdecydował o zleceniu Poczcie Polskiej wyborów. O nielegalnym działaniu Mateusza Morawieckiego zresztą orzekł już Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie, choć nie jest to prawomocny wyrok. Przejebanie 70 milionów złotych na wybory, które się nie odbyły, i nieponiesienie za to żadnych konsekwencji przylgnęło jednak do Sasina jak homoseksualne skłonności do członków Obozu Narodowo-Radykalnego.

Sasin z nieudolnego polityka stał się jednostką pomiarów. Jeden sasin odpowiada dotychczasowym 70 milionom i może odnosić się do cen produktów, usług, odległości i innych wartości. Stał się także odwróconym prorokiem, wieszcząc swobodne przemieszczanie się po cmentarzach na kilka dni przed 1 listopada, brak drugiego zamknięcia gospodarki tuż przed niepełnym, ale jednak dotkliwym uwięzieniem Polaków w domach. Sprawy można by mnożyć, każda wypowiedź publiczna wicepremiera jest teraz odbierana jako odwrócona przepowiednia. A żeby całą złą energię skumulować na jednej osobie, ktoś w PiS-ie wpadł na pomysł, aby Sasinowi dać do zorganizowania Igrzyska Europejskie w Krakowie.

Kumulacja jego nieudolności była jednym z powodów wyjścia ludzi na ulice jesienią. Zamiast odciągać uwagę od ośrodka decyzyjnego nieudaczników z Nowogrodzkiej, Sasin stał się dla obywateli uosobieniem działania rządzących, bo w orkiestrze wizerunkowego spierdolenia Sasin nie był solistą, lecz marnym skrzypkiem w wielkiej orkiestrze symfonicznej. Dopełniał jedynie obraz Szumowskiego na wakacjach, zaginionych respiratorów, wyrobu szpitalopodobnego na Stadionie Narodowym, zarządzającego slajdami z konferencji Morawieckiego czy obłąkanego naczelnika z łupieżem na marynarce.

Hołownia

Jego ugodowość, coraz wyraźniej obśmiewana w sieci, może stanowić wyraźny szklany sufit w dotarciu do części potencjalnych wyborców – młodych, złych na PiS i całą klasę polityczną – a obsesyjna chęć łączenia Polski i zasypywania podziałów stały się obiektem kpin. Sukcesem szczypiorka w polskiej polityce jest to, że nikt nie obśmiewa już jego telewizyjnej przeszłości. Hołownia dzielnie o to walczył, płacząc nad konstytucją, a teraz robi to, wszędzie szukając płaszczyzny do dialogu i debaty społecznej. Jego utrzymująca się pozycja trzeciej siły ma potencjał na dalsze obśmiewanie Szymona Hołowni, a to ono prawdopodobnie blokuje transfer wielu osób z grupy „w tym kraju nie ma na kogo głosować" do ekipy miłego pana z telewizji. Niezgodność Hołowni z przeszłości z Hołownią z teraźniejszości odstrasza postępową gawiedź. Internet jest jego siłą i przekleństwem, rodowód zawodowy sprawia, że dobrze się kojarzy i nieźle dociera z przekazem do tzw. zwykłopolaków. Dzieci memów jednak właśnie to odstrasza. Część jego potencjalnych wyborców chce wegańskiego ramenu, a Hołownia jest jak schabowy u babci w niedzielę po mszy.

ADAM LISZEWSKI
adam.liszewski@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Wyrwij maskom zęby krat

Nie każdy musi wierzyć w COVID-19. O walce z systemem i nieludzkimi przepisami „NIE" rozmawia z covidowymi sceptykami, twórcami Crisis-consulting.pl, **TOMASZEM RÓŻAŃSKIM, MICHAŁEM BIAŁONIEM i ADAMEM KŁOSZEWSKIM.**

– Co to jest Crisis-consulting?

Tomek: – Zajmujemy się szeroko rozumianą pomocą ludziom poszkodowanym przez bezprawne działania rządu i policji pod pozorem walki z COVID-19. Pomagamy występować o odszkodowania za straty wywołane epidemią, a przede wszystkim dajemy ludziom rozwiązania, jak mogą legalnie obejść nielegalne obostrzenia, np. jak legalnie zorganizować zabawę sylwestrową, otworzyć knajpę itp.

– Urządzacie protesty? Zaangażowanie macie we krwi?

Tomek: – Jesteśmy obserwatorami demonstracji antycovidowych. Protestowaliśmy przeciw maseczkom w plastikowych kuflach do piwa na twarzach.

Adam: – Jesteśmy grupą przyjaciół mających dosyć tego cyrku, który jest teraz w kraju robiony, tej faszyzacji. Wyrażamy nasze zdanie w sposób artystyczny, prawniczy i informacyjny o tym, jak ludzie mogą działać w czasach covidiańskich.

– Czy COVID istnieje?

Adam: – Istnieją wirusy i istnieje grupa koronawirusów. Wcześniej chorowaliśmy na grypę, a w tym sezonie na COVID.

Tomek: – Teraz ludzie już na nic innego nie umierają, tylko na COVID. Już nie ma nowotworów i innych chorób.

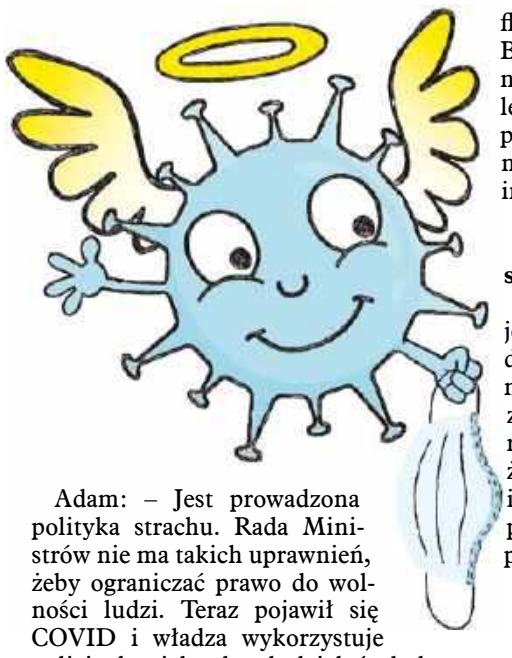

Adam: – Jest prowadzona polityka strachu. Rada Ministrów nie ma takich uprawnień, żeby ograniczać prawo do wolności ludzi. Teraz pojawił się COVID i władza wykorzystuje policję do nielegalnych działań, do bandytyzmu.

– To jest spisek międzynarodowy?

Adam: – Bogaci ludzie na pewno na tym skorzystają. To są jakieś odgórne zagrywki światowej finansjery, wykańczają drobnych przedsiębiorców: gastronomię i kulturę. Będzie bezrobocie i upadek gospodarki. I do tego strach przed szczepieniami jakimś niesprawdzonym preparatem. Na ulotkach jest napisane, że grozi śmiercią. Postała psychoza narodowa.

– Walczycie z maseczkami?

Adam: – Tak, maseczki uszkadzają cały system wentylacyjny człowieka i powodują stres.

Michał: – Laryngolodzy niedługo będą fortunę zarabiać.

– A co ze szczepionkami?

Adam: – Ludzie zaczną chorować od szczepionek. Zapewne nie od razu; długofalowe skutki będą widoczne po wielu latach.

Michał: – Człowiek, który jest chory bezobjawowo, jest zdrowy.

Adam: – Szpitale dostają dofinansowanie na leczenie COVID-19, stąd te wysokie statystyki.

Tomek: – Lekarze dostają większe pensje za więcej zdiagnozowanych przypadków. Podtrzymują pandemię strachu.

Rysunki KRZYSZTOF OLEJNIK

– Skoro wszyscy kłamią, to skąd Wy znacie prawdę?

Michał: – Nie oglądam telewizji, nie daję się manipulować. A trupów na ulicach nie widzę. Wystarczy kierować się własnym rozumem.

Tomek: – Spotykam często ambulans, który włącza koguta, dojeżdżając do miasta. Żeby straszyć ludzi. Chcieliśmy zrobić zatrzymanie obywatelskie tego ambulansu, bo według nas jeździ pusty, bez pacjentów. Jest to jednak za duże ryzyko, bo gdyby pacjent tam jednak był, to pogotowie mogłoby nas pozwać.

– Co nas czeka? Jakie scenariusze przewidujecie?

Tomek: – Do lutego dojdzie do konfliktu zbrojnego, prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie. Nie totalna wojna na wyniszczenie, tylko zbudowanie kolejnego zagrożenia. Ludzie już się trochę przyzwyczaili do COVID-u, do tego, że noszą maski, trzeba im będzie dać coś innego.

– Jak konkretnie przeciwstawiacie się covidiańskiej rzeczywistości?

Tomek: – Nie mówimy, że jest źle, dajemy rozwiązania. Wstawiliśmy do sieci druki i pisma pozwalające ludziom normalnie żyć. Np. dzwoni do ciebie pani z sanepidu, że masz 2-tygodniową kwarantannę. Ściągasz instrukcję i wiesz, że masz prawo poznać numer decyzji i nazwisko urzędnika. I zawiadamiamy prokuraturę, że ten urzędnik popełnił przestępstwo.

– Ile takich spraw zgłosiliście?

Tomek: – 200–300.

– A policjantów o co pozywacie?

Adam: – O propagowanie faszyzmu. Policja nie ma prawa nakładać mandatu za nienoszenie maseczek. To jest kumulatywny zbieg przestępstw. Rada Ministrów nie ma prawa ograniczać praw i wolności człowieka.

Tomek: – To jest wyłudzenie urzędnicze.

Adam: – To są najemnicy; jeśli popełnili przestępstwo, to przestali być policjantami. Sprzeciwiamy się wprowadzaniu faszyzmu z Polsce.

Tomek: – To jest współudział w zbrodni przeciwko ludzkości.

Adam: – Przyjmowanie do szpitala ludzi tylko w maseczkach lub obowiązkowe testy na COVID przed przyjęciem do szpitala to jest zbrodnia przeciw ludzkości. To podpada pod trybunał haski.

– A policja? Bardzo Was gnębi?

Michał: – Z policją mamy wyśmienite kontakty. Teraz to już nas rozpoznają. Wiedzą, że dyskusja z nami nie ma sensu. Próbują nam wręczyć mandat za brak maseczki, a my ich pozywamy za próbę popełnienia przestępstwa i nielegalnego wręczenia mandatu.

Tomek: – Przeważnie dają nam spokój, ale na protestach jest gorzej, bo wtedy muszą się wykazać.

– Kto korzysta z Waszej pomocy?

Tomek: – Jedna z pierwszych naszych spraw: pan z południa Polski wezwał dyrektorkę szkoły do zaprzestania znęcania się nad dziećmi. Bo kazała im nosić maseczki. Czasem gorsze rzeczy się dzieją. Czasem dzieciom bez masek dyrektorzy zakładają sznurki na szyję, żeby je stygmatyzować. To jest znęcanie się nad dziećmi.

Adam: – W żadnym wypadku zdrowy człowiek nie ma obowiązku noszenia maseczki, ten, kto go chce ukarać, popełnia przestępstwo. Policja teraz stała się grupą mafijną.

– Co to była za historia z cmentarzami?

Michał: – 1 listopada odebrano nam możliwość wejścia na teren miejsca, w którym chcieliśmy uprawiać kult religijny. Uporczywie nam w tym przeszkadzano. Zdjęliśmy więc bramy z zawiasów i poprzecinaliśmy kłódki na trzech cmentarzach. Ludzie powoli zaczęli za nami wchodzić. Później zatrzymaliśmy patrol policji, żeby nas aresztował na 48 godzin.

Tomek: – Policjanci chcieli nas zatrzymać na 24, ale zapytali Michała, czy będzie kontynuował otwieranie? Jest prawdomówny, przyznał, że tak.

– Co teraz planujecie?

Tomek: – No huczne święta!

Adam: – Mamy pomysł na sylwestra. Chcemy go rozpropagować wśród restauratorów, żeby mogli legalnie otworzyć knajpy. Każdy ma prawo być w pracy, na każdej imprezie wystarczy więc nakręcić film, program telewizyjny. Każdy teraz kręci filmy na imprezach. Jako wolontariusze w sylwestra dokumentujemy imprezę. Nikt nie ma prawa nam zabronić pracować.

Michał: – Tylko ludzie się boją. Boją się otwierać knajpy czy fitnessy. Boją się nawet skierować wniosek do sądu.

– Jakiś apel na koniec?

Tomek: – Walczcie, ludzie, o siebie. Weźcie odpowiedzialność za siebie.

Adam: – Pamiętajcie, że opiekuńczy komunizm już się skończył. Każdy musi zadbać o siebie.

Michał: – Policjantów zapraszamy, niech przyjdą, ogródek przekopią.

Rozmawiała
MARTA MIECIŃSKA

Moje znajome koronawirusy

Piątek. Zadzwonił Gienek. Jego siostrzeniec złapał koronawirusa na kurwie. Najpierw stracił węch, później kasłał, aż wreszcie ledwie powłócząc nogami, poczłapał do przychodni. Wymazano go i wyszło szydło z worka – koronawirus.

Oczywiście zaraz zaczęto pytać siostrzeńca Gienka o kontakty. O kurwie krępował się opowiadać, a poza tym nie wiedział, jak ona ma na imię. Mówiła, że Ilona, ale gdy poprzednio u niej był, miała na imię Karolina.

Padło na sąsiadkę spod numeru 26. Siostrzeniec Gienka powiedział, że kontaktował się z nią w windzie. Faktycznie, kiedyś jechali razem, a ona zwróciła mu uwagę, żeby nie palił w kabinie. No i teraz poszła na kwarantannę. Siostrzeniec Gienka do jej męża nic nie miał, ale jego też wzięto na kwarantannę. Cierpi za niekulturalne zachowanie żony.

– Najgorsze w tym wszystkim – mówi Gienek – że mój siostrzeniec uprawiał seks w prezerwatywie, ale i to go nie uchroniło.

Poniedziałek. Józek, z którym znam się jeszcze z czasów pierwszej „Solidarności", kupił sobie przez internet pulsoksymetr. Józek zawsze był za postępem. Umie kupować przez internet i trudnego słowa pulsoksymetr też się nauczył. Chodzi teraz Józek po mieszkaniu i co chwilę mierzy sobie puls. A jak nie mierzy sobie, to żonie. Wykosztował się chłop, aparat powinien więc pracować. Zdrowie – mawiał Józek jeszcze za pierwszej „Solidarności" – jest najważniejsze. Ale mnie na żaden pulsoksymetr nie namówi. Zawsze mieliśmy różne poglądy nie tylko w kwestiach medycyny.

Zresztą nie umiem kupować przez internet.

Czwartek. Zadzwoniłem do Gienka. Chciałem się dowiedzieć, jak czuje się siostrzeniec, ten, co złapał koronawirusa na kurwie. Okazuje się, że najgorsze ma za sobą. A było bardzo źle. Wzięto go do szpitala pod tlen. W końcu jednak zwolniono do domu, bo potrzeba łóżek. Jest młody, da sobie radę sam, bez zawracania głowy służbie zdrowia. Ale na do widzenia doktorzy powiedzieli mu, że miał dużo szczęścia. Mało brakowało, żeby wąchał kwiatki od spodu.

Ten Gienek to człowiek prymitywny i łatwowierny. Musiał coś przekręcić. Jak mógłby siostrzeniec wąchać kwiatki od spodu, skoro w chorobie stracił węch?

Poniedziałek. Z Bogusiem kiedyś chodziliśmy razem na ryby. Spotkałem go na skwerku. Zasuwał bez maseczki, dystansu nie trzymał. Boguś, okazało się, należy do antyszczepionkowców.

– Noszenie szmaty na mordzie mnie poniża – odpowiedział, gdy spytałem go, czy nie boi się paradować bez maseczki. – Ten cały wirus to zmowa najbogatszych ludzi świata, niech się ludkowie trzęsą ze strachu, łatwiej ich trzymać za mordę. W ogóle nie ma żadnego koronawirusa, to grypa, tylko trochę inna. Grypę mamy od zawsze. I co? I nic. Więcej ludzi umiera ze starości niż na choroby.

Coś mnie podkusiło i powiedziałem, że jest już szczepionka i wszyscy mamy pójść do punktów szczepień.

W Bogusia jak gdyby piorun strzelił. Zaczął machać rękami: – Szczepić to się może pies z suką! Prędzej dam się zabić niż doprowadzić do punktu. Zaszczepią mnie i zachoruję na autyzm, nie ma głupich.

Ja tam nie wiem, czy się zaszczepię, czy nie, jeszcze tego nie przemyślałem. Ale z Bogusiem nie pójdę już na ryby. Zresztą nie ma ich teraz w wodzie, są tylko w sklepach.

Środa. Okazuje się, że sąsiadka siostrzeńca Gienka, ta spod numeru 26, przestała mu się kłaniać. Kwarantanna nie nauczyła jej kultury.

Poniedziałek. Całe szczęście, że nasz rząd przywrócił w sklepach godziny dla seniorów. To mądra decyzja.

Wybrałem się do samoobsługowego spożywczaka we właściwych godzinach, rzecz jasna. Ochroniarz, który wcześniej uważał, żeby ktoś nie zwędził czegoś z półki, teraz stoi przy wejściu i lustruje klientów jak bramkarz w dyskotece. Można kraść, ile dusza zapragnie.

Patrzę: stoi ekspedientka. Piękna jak arabska księżniczka. Znad maseczki tylko oczy widać, ale jakie oczy! Duże ciemne oczy, rzęsy długie. Cudo. Ja też mam mordę zamaskowaną. Pod tym przykryciem zaczynam wypowiadać zalotne słowa. A ona tylko macha rzęsami i odwraca główkę.

Jasne – myślę – mordę faktycznie mam zakrytą, ale przez sam fakt, że w tych godzinach robię zakupy, to ona już wie, że jestem dziadersem, któremu bardziej przystoi troska o higieniczny tryb życia niż podrywanie arabskich księżniczek.

Porzucam amory. Biorę się za zakupy. Obok mnie jakiś młodzieniec upycha w wózku mrożonki. Skąd się tu wziął o tej porze? Jak zmylił ochroniarza przy wejściu? Nawet w maseczce widać, że smukły, wysportowany, w pikowanej kurtce. Nie, nie ma tu żadnej protekcji. Wózka, do którego młodzieniec ładuje mrożonki, trzyma się jakaś staruszka. Ledwie stoi na słabych nogach, chyba nawet nie wie, gdzie się znajduje i po co, a świat widzi jak przez mgłę. Młody pod sztandarem staruszki w najlepsze robi sobie zakupy. Jeszcze – skurwysyn – uzgadnia z żoną przez smartfon co kupować.

Już chciałem robić awanturę, ale przypomniałem sobie, jak za komuny stawałem w kolejce do mięsnego. Stać wypadło nieraz ponad dwie godziny albo i dłużej. Matki z dzieckiem na ręku obsługiwano poza kolejnością. Kobiety wypożyczały sobie niemowlaki za drobną opłatą i pchały się do lady. Teraz pewnie ludzie wynajmują sobie staruszki – pomyślałem i jakoś ciepło zrobiło mi się na sercu. Duch w narodzie nie ginie.

Robienie zakupów to teraz czysta przyjemność. Tylko drogo jak cholera.

Czwartek. Dzwonił Gienek. Siostrzeniec całkiem wydobrzał. Znowu chodzi na kurwy. Nawet prezerwatywy nie musi zakładać. Nabył odporności.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

eprasa.pl 67bea7921d

Wrocław w ogniu

1. Czerwony insekt

Jak rozgnieść człowieka.

Był młody, elokwentny i lewicowy. Znany z działalności publicznej. Jako profesor Uniwersytetu Wrocławskiego budził szacunek.

Psy. Gdy wydawało się, że lewica może mieć wreszcie swojego prezydenta Wrocławia, jadącemu na pogrzeb ciotki przyszłemu kandydatowi zajechała drogę policja. To była szybka reakcja. Dzień wcześniej Telewizja Dolnośląska pytała Piotra Żuka, czy podjął wreszcie decyzję o udziale w wyborach.

Zawrócono Żuka do domu. Tam pies (prawdziwy, czworonożny) szukał narkotyków. Inne psy przeglądały w tym czasie dokumentację działania różnych fundacji i stowarzyszeń, szukając śladów korupcji.

Dziewczęta. Ponieważ poszukiwania w domu Żuka nie dały rezultatu, postanowiono sprawdzić, czy od egzaminowanych studentek Żuk nie domagał się niczego więcej niż tylko wiedzy. Przesłuchano kilka tysięcy kobiet. Kilka przyznało, że Żuk chciał się umówić do teatru czy wymienić numery telefonów. Któraś się nawet uśmiechnęła, profesor musiał więc zostać skazany. Sąd tłumaczył, że korzyścią osobistą było wszystko, co mogło podnieść jego charyzmę jako mężczyzny i wykładowcy.

Prokuratura żądała najpierw aresztowania prof. Żuka, a następnie skazania go na więzienie. Sąd orzekł grzywnę.

Wszystko to działo się dosyć dawno temu. Żuk został zatrzymany w 2013 r. W 2015 r. w „NIE" (nr 19) ukazał się artykuł na ten temat – „Tysiące niezgwałconych studentek". W czasie gdy trwał proces, Żuk miał problemy zdrowotne i korzystał z usług służby zdrowia. Była więc szansa na zdobycie kolejnych dowodów korupcji. Nie wyszło, o czym pisaliśmy w artykule „Zbrodniczy uśmiech studentki" („NIE" nr 23/2019).

Wyrok już się zatarł. Profesor wrócił na uczelnię. 23 września 2020 r. przeczytał w „Gazecie Wrocławskiej": **„Profesor chciał od studentek spotkań za wpisy do indeksu. Zwolniono go z uniwersytetu".**

Rektor. Profesor z początku myślał, że to *fake*. Ale autor artykułu cytował rzeczniczkę prasową Uniwersytetu Wrocławskiego Katarzynę Uczkiewicz, która twierdziła, że decyzję o zwolnieniu podjął rektor, a senat uczelni zatwierdził. W publikacji biadano, że wyrok sądu się zatarł. Do artykułu starannie dobrano zdjęcie. Widać na nim kobietę w kusej spódniczce, która trzyma indeks między kolanem a łonem.

Przez ponad miesiąc Żuk bezskutecznie starał się dowiedzieć, czy rzeczywiście został zwolniony z uczelni. Pisał do rektora, notabene osoby nowej na tym stanowisku, historyka o następujących zainteresowaniach badawczych: miejsce Kościoła w społeczności lokalnej, dzieje grup społecznych połączonych wspólnotą wyznawanych wartości, religijność kobiet. Prof. Przemysław Wiszewski nie odpowiedział na pismo, choć jest osobą piśmienną. Świadczą o tym napisane przezeń prace: „Opactwo benedyktynek w Legnicy", „Życie klasztorne w pierwszej ćwierci XVI w.", „Biskup krakowski Wincentyusz", „Bernardyni na Śląsku w późnym średniowieczu", „Studia nad »Kroniką« biskupa Wincentego", „Dusza maluczka, a strata ogromna. Funeralia Lednickie", „Chrześcijański książę Henryk. Wokół pobożności księcia śląskiego Henryka I Brodatego", „Śmierć św. Stanisława, biskupa krakowskiego".

Oficjalne pismo o tym, że nie pracuje już na uczelni, dotarło do prof. Żuka w listopadzie. Nikt go wcześniej nie prosił o rozmowę, nie przedstawił zarzutów, nie umożliwił obrony.

Żuk nie wie, dlaczego został wypieprzony. Polityką od dawna się nie zajmuje, a mimo to ktoś najwidoczniej musiał uznać go za postać na tyle ważną, że jego zwolnienie było jedną z pierwszych decyzji nowego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego. Prof. Wiszewski zaczął urzędować we wrześniu.

Bezprawie. Przy wyrzucaniu lewaka złamano wiele przepisów. Rektor nie wystąpił o opinię na temat planowanego zwolnienia do Rady Instytutu Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie Żuk był zatrudniony, ani do rady wydziału, którego częścią jest instytut. Zgodnie ze statutem uczelni taką opinię powinien otrzymać na piśmie. Prof. Żuk napisał pozew do sądu i jest prawdopodobne, że ten uzna zwolnienie za nieważne.

Wobec czego dba się o to, żeby Żuk nie miał sojuszników. Po jego wypieprzeniu rektor wezwał dyrektorkę Instytutu Socjologii i tamtejszego przewodniczącego Rady Dyscypliny. W zasadzie to oni powinni mieć pretensje do rektora, że nie powiadomił ich o zamiarze wyrzucenia Żuka. Tymczasem magnificencja ich ochrzanił. Potulnie słuchali upomnień. Teraz już na pewno nie staną po stronie Żuka.

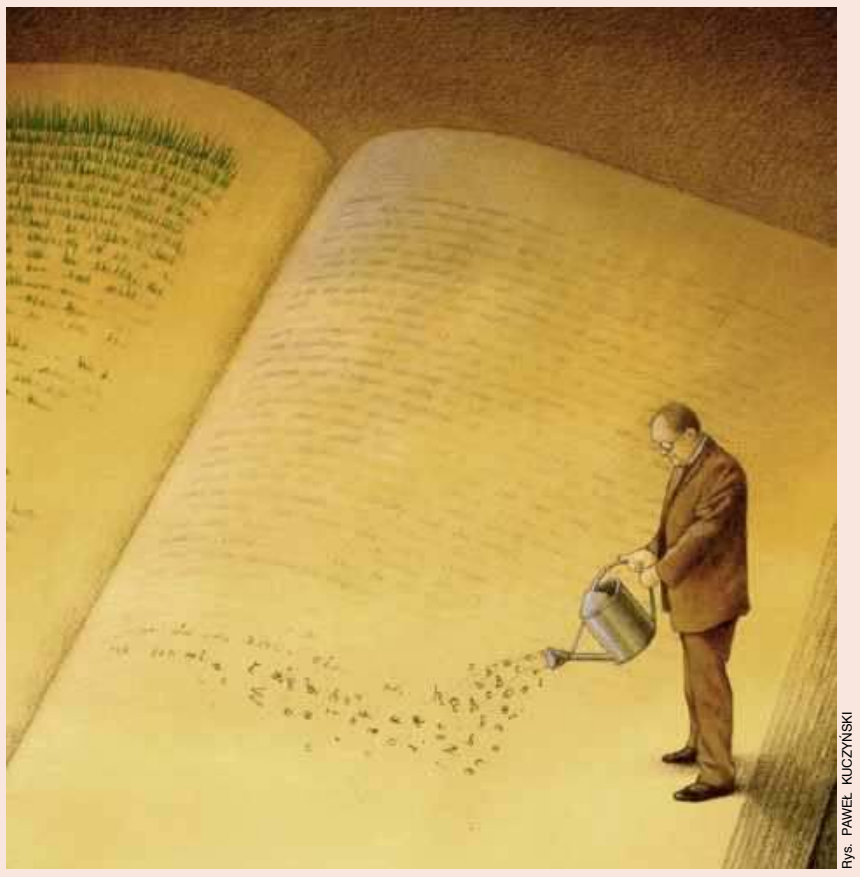

Rys. PAWEŁ KLICZYŃSKI

Ofiary. Jest szansa, że przewodniczący Rady Dyscypliny będzie kolejnym po Żuku socjologiem Uniwersytetu Wrocławskiego, który trafi na ławę oskarżonych. Do prokuratury wpłynęło bowiem doniesienie o tym, że dopuścił się poważnego przestępstwa.

2 tygodnie przed wyrzuceniem Żuka, we wrześniu, odbyło się posiedzenie Rady Instytutu Socjologii UW, w którym Żuk brał udział. Odbywały się głosowania. Dziś nikt nie pamięta już jakie, gdyż dotyczyły nieistotnych drobiazgów. Głosowania były więc formalnością. Wszystko bądź prawie wszystko akceptowano jednogłośnie.

Jeden z pracowników uczelni wyczaił, że w dniu posiedzenia Żuk miał zwolnienie lekarskie. Zamiast brać udział w głosowaniach powinien siedzieć w domu. Dlatego udział Żuka w głosowaniu był nielegalny.

Przewodniczący Rady Dyscypliny w ten sposób zaś popełnić miał przestępstwo, że jako jeden z członków komisji skrutacyjnej liczył głosy i czuwał nad poprawnością głosowań. Miał więc obowiązek sprawdzić, czy Żukowi wolno było uczestniczyć w głosowaniach. Tego nie uczynił, popełnił więc przestępstwo wymienione w art. 231 kodeksu karnego (działanie na szkodę interesu publicznego lub prywatnego poprzez przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków). Za co grożą mu 3 lata.

Tu otwiera się szerokie pole do popisu dla organów ścigania. Można przecież sprawdzić, czy inni zwierzchnicy Żuka na uczelni interesowali się tym, co on robi w czasie zwolnienia lekarskiego. Jeździli do niego do domu i kontrolowali, czy leży pod pierzyną, czy może w tym samym czasie byli gdzieś poza Wrocławiem na konferencji naukowej? Bo jeśli tak, to zarzut niedopełnienia obowiązków też pasuje jak ulał.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

2. Mały Wielki Śląsk

Nowy rektor Uniwersytetu Wrocławskiego ma nową rzeczniczkę prasową. Jest nią Katarzyna Uczkiewicz.

Uczkiewicz została niedawno kandydatką kibiców Śląska Wrocław do działającej przy prezydencie miasta Wrocławskiej Rady Kultury. Za jej kandydaturą lobbowało stowarzyszenie Wielki Śląsk, głoszące skrajnie narodowe poglądy.

Masowe protesty, wywołane orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego, nakazującego kobietom rodzenie zdeformowanych dzieci, postawiło kibiców Śląska w trudnej sytuacji. W końcu ich kobiety też mają brzuchy. Wybrnęli z tego oświadczeniem: **„(…) masowość tych protestów powoduje, że na ich marginesie uaktywniły się szczury z antify i innych lewackich organizacji, które wykorzystują protesty kobiet do zaprowadzenia w mieście anarchii. Przerywane są msze, atakowane są starsze osoby, biorące w nich udział, oraz świeckie zabytki i pomniki. Kibice Śląska od początku protestów stoją po stronie tradycyjnych wartości, pomników polskich bohaterów i wrocławskich zabytków".**

Gdy jeden z kiboli napadł na manifestujące kobiety, Wielki Śląsk wydał oświadczenie: **„Żaden prawdziwy kibic Śląska Wrocław nie jest damskim bokserem i nie bije bez powodu osób w pokojowy sposób manifestujących swoje opinie".** Czyli musi być powód – wtedy lać można, a nawet trzeba.

3 tygodnie później Wielki Śląsk wezwał do wspierania rzeczniczki prasowej Uniwersytetu Wrocławskiego Katarzyny Uczkiewicz, ubiegającej się o wybór do wrocławskiej Rady Kultury. Wielki Śląsk apelował: **„Jest pięciu racjonalnych kandydatów, którzy mogą być przeciwwagą dla »lewej nogi« naszego miasta. Wybierając ich do WRK, pokażemy, że z naszym głosem – kibiców – należy się liczyć".**

Podkreślano, że Uczkiewicz jest redaktorką naczelną kwartalnika „Pamięć i Przyszłość" wydawanego w Centrum Historii Zajezdnia. W miejscu funkcjonowania tej instytucji powstała wrocławska „Solidarność". Zajezdni już nie ma, gdyż teren sprzedano deweloperom. Na skrawku byłej zajezdni stworzono kolejną martyrologiczną instytucję. Taki miejscowy para-IPN, finansowany z centralnego i miejskiego budżetu. Dzięki temu wrocławscy antykomuniści mają miejsce do organizowania konferencji i redakcję wydającą ich publikacje.

Uczkiewicz była jedyną z pięciu osób popieranych przez Wielki Śląsk, który je nazwał **„drużyną".** Czworo członków „drużyny" związanych jest z Zajezdnią.

Głosowanie było banalnie proste. Wystarczyło zarejestrować się przez internet i 4 grudnia oddać głos za pomocą komputera lub smartfonu.

Kibice nie posłuchali apelu. Kultura stadionowa to jednak coś innego niż to, czym zajmuje się Wrocławska Rada Kultury. Żadna ze wspieranych przez Wielki Śląsk osób nie otrzymała wystarczającego poparcia, żeby zdobyć nominację, chociaż wystarczyło 675 głosów.

Niedawno pani Uczkiewicz pochwaliła się wielkim sukcesem wrocławskiej wszechnicy: **„Uniwersytet Wrocławski wśród tysiąca najlepszych szkół wyższych świata!".** Z przygotowanej przez nią informacji wynika, że w rankingu „US News & World Report" UW znalazł się na 922. miejscu na świecie i pod koniec trzeciej setki uczelni europejskich.

Zaprawdę jest to powód do dumy.

M.C.

WIEŚCI GMINNE INNE

Funkcjonariusze Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa z Kalisza donieśli do prokuratury, że znany im z imienia i nazwiska mężczyzna, zamiast trudnić się rolnictwem, zajmuje się oszustwem, i to nieudolnie. Chciał bowiem ich oszukać, żądając odszkodowania w wysokości 722 tys. zł za 36 tys. chryzantem doniczkowych, jakie miał sprzedać 1 listopada, ale nie sprzedał, bo zabronił mu tego premier Morawiecki. Restrukturatorzy i modernizatorzy rolnictwa utrzymują, że wnioskodawca w ogóle nie miał takiej liczby kwiatków. Plantator twierdzi, że miał. Nie rozstrzygniemy tego sporu, jednak już na pierwszy rzut oka widać, że słuszne jest, aby każdy robił w życiu to, na czym zna się najlepiej.

Natomiast pełnomocnik Centralnego Portu Komunikacyjnego nie doniósł jeszcze do prokuratury na Wojciecha Kornaka, mieszkańca Baranowa, z zawodu bartnika, który w odpowiedzi na rozpoczęcie wykupu gruntów pod inwestycję, czyli na ten pas startowy dla aeroplanów, chce za swoje pola 13 mln zł, to jest, jak twierdzi, po 100 zł za metr kwadratowy ugoru. Pan Kornak uważa, że cena jest okazyjna, bo przy takiej inwestycji rząd powinien liczyć się ze stawkami rzędu 1000 zł za metr. Wolelibyśmy nie mieć nic wspólnego z panem Kornakiem. Biorąc jednak pod uwagę, że 5-osobowy zarząd tego portu centralnego w minionym roku wypłacił sobie 2 mln zł wynagrodzeń, być może żądania Kornaka nie są przesadzone.

Prezydent Katowic Marcin Krupa twierdzi, że otworzył w swoim mieście pierwszy w Polsce „sklep socjalny", w którym ceny są niskie. Zakupy mogą tu robić osoby uprawnione przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w godzinach 10–15. Prezydent Krupa oczywiście się myli. Sklep taki nie jest ani pierwszy, ani pomysł jakiś specjalnie oryginalny. W czasach gospodarki centralnie sterowanej na podobnych zasadach funkcjonowały tzw. konsumy, nazywane też sklepami za żółtymi firankami, w których klasa robotnicza mogła kupić tanio i w godzinach pracy oraz po preferencyjnych cenach. Gdybyśmy świętowali w tym roku 68. rocznicę istnienia PRL, konsumy zapewne istniałyby nadal. Ale nie istnieją.

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

Sąd Okręgowy w Gdańsku uchylił wyrok więzienia orzeczony przez sąd rejonowy w sprawie Bartłomieja W., wnuka byłego Prezydenta RP Lecha Wałęsy. Bartłomiej 2 lata temu wraz ze wspólnikami napadł na Szwedów wałęsających się po trójmiejskiej starówce – tak, że połamał im dwie nogi oraz ukradł jeden telefon komórkowy. Sędzia okręgowy polecił rejonowemu, żeby on tam lepiej zastanowił się nad wymierzoną sprawiedliwością. Słusznie zresztą. Nie można wszak puścić w niepamięć incydentu zwanego potopem, w ramach którego Burchard Müller von der Lühnen z kraju Ikei rapierami muszkieterów podrzynał naszym ojcom gardła, wykłuwał oczy i przebijał trzewia.

Okazuje się, że wolny rynek jest szybszy od poselskiej głupoty. Nie weszła jeszcze w życie ustawa przez PiS wymyślona, która nakłada na 100-gramowe flaszki wódki dodatkowy podatek w wysokości 1 zł w celu walki z pijaństwem, gdy w odwecie polska przedsiębiorczość monopolowa wypuściła wódkę w formacie 350 ml, której ów podatek nie obejmuje. Gorzałka dostępna jest w sklepach sieci „Żabka". Pomyślcie, jaki to był wysiłek organizacyjny! Trzeba było wyprodukować nowe butelki, odpowiednie do nich naklejki oraz przesterować

eprasa.pl 67bea7921d

3. Co Lempart ma w majtkach

„Gazeta Wrocławska" lustruje liderkę Strajku Kobiet.

„Gazeta Wrocławska" nie ustaje w tropieniu i wykrywaniu afer. Jej regularna lektura nasuwa spostrzeżenie, że dziennikarzom wyjątkowo łatwo przychodzi wydobyć tajemnice prokuratorskich śledztw czy policyjnych postępowań. Dajmy na to w sprawie Józefa Piniora.

1. Gazeta pisała np. o Jarosławie W., bliskim współpracowniku Piniora, kiedyś jednym z założycieli Polskiej Partii Socjalistycznej, kandydacie Lewicy i Demokratów do Senatu. Padły określenia: **„śliski facet", „oślizły typ", „chachmęt pierwszej wody".** Na usprawiedliwienie gazeta podkreśla, że są to cytaty. I dodaje: **„Ciężko znaleźć kogoś, kto dziś powie o asystencie cokolwiek dobrego".**

2. Gdy Marek Falenta miał tylko status podejrzanego, a wszystkie materiały śledztwa były tajne, „Gazeta Wrocławska" ujawniała, jak Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego po raz pierwszy zetknęła się z Falentą: **„Biznesmen od taśm, poseł, syn posła i łapówka, której nigdy nie było".**

3. Tomasz Komenda na konferencji prasowej, która odbyła się wkrótce po jego zwolnieniu, opowiedział o dziennikarzu, który **„przez 18 lat go oczerniał".** Wiadomo, że chodziło o dziennikarza „Gazety Wrocławskiej". Przed skazaniem Komendy u dziennikarza tego była matka oskarżonego o gwałt i zabójstwo. Prosiła o pomoc. **„Poczuła się przeze mnie bardzo źle potraktowana"** – wspominał dziennikarz.

4. 4 grudnia „Gazeta Wrocławska" zajęła się jedną z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet Martą Lempart. Uczyniła to piórem redaktora naczelnego Arkadiusza Franasa. Celowo podaję datę. Mimo upływu dni Polska Press, do której „Gazeta Wrocławska" należy, w żaden sposób nie odniosła się do tej publikacji. A Franas nadal jest redaktorem naczelnym.

Fragmenty jego publikacji:

„»Kariera Nikodema Dyzmy« to historia bezrobotnego mandolinisty, zdolnego oszusta, który zrobił wielką polityczną karierę w sanacyjnej Polsce. Kolejka chcących być kolejnymi wcieleniami owego Nikusia jest spora. W samym czubie jest na pewno Marta Lempart ze Strajku Kobiet.

W czym przypomina bohatera przywołanej powieści? Nie wykluczam, że nawet fizycznie. To skojarzenie akurat raczej nie przyszłoby mi do głowy, gdyby nie lekka awanturka, jaka powstała w związku z ostatnią okładką pisma »Vogue«. Jest w nim rozmowa z Lempart, ale na okładce znalazła się roznegliżowana Anja Rubik.

Aktywistki przypuściły atak. Jedna z nich odezwała się w te słowa: »Dlaczego Vogue Polska nie ma szacunku do naszej rewolucji? Dlaczego boi się wziąć na okładkę Martę Lempart, skoro w środku to z nią znajduje się wywiad? (…) Dlaczego duże pisma boją się Kobiety o nienormatywnej urodzie, która w dodatku lubi siebie i w pełni akceptuje«. O nienormatywnej urodzie… Ładne.

Dyzma, jak wynika z opisu, też nie przypominał Rudolfa Valentino. Aktywistka nie precyzuje, czy żąda, by liderka Strajku na okładce też była nago. Zostawmy sferę urody, normatywnej lub też nie, bo jest wiele innych podobieństw bohatera literackiego i wspomnianej działaczki.

I ten język. Rynsztokowy. Co mówi Lempart, słyszymy na każdym kroku, od słynnego wyp… począwszy".

Franas napisał to kilka dni przed podpisaniem umowy przedwstępnej o nabyciu przez PKN Orlen od HKM GmbH stu procent udziałów w Polska Press. Walczy o stołek, lecz mało prawdopodobne, że zdoła się na nim utrzymać. Ma bowiem konkurentkę, którą jest Sylwia Jurgiel.

5. Jurgiel to była rzeczniczka prasowa wojewody dolnośląskiego Pawła Hreniaka. Gdy ten został posłem, przeszła do KGHM Polska Miedź. To ona była jedną z osób odpowiedzialnych za politykę informacyjną koncernu, w czasie gdy dziennikarze starali się ustalić, czy sprowadzone za miliony złotych z Chin maseczki rzeczywiście są bezwartościowe, gdyż nie spełniają norm Unii Europejskiej.

Polska Press ma aż 20 dzienników regionalnych i mnóstwo portali internetowych. Pewnie znajdzie się posada dla Franasa.

M.C.

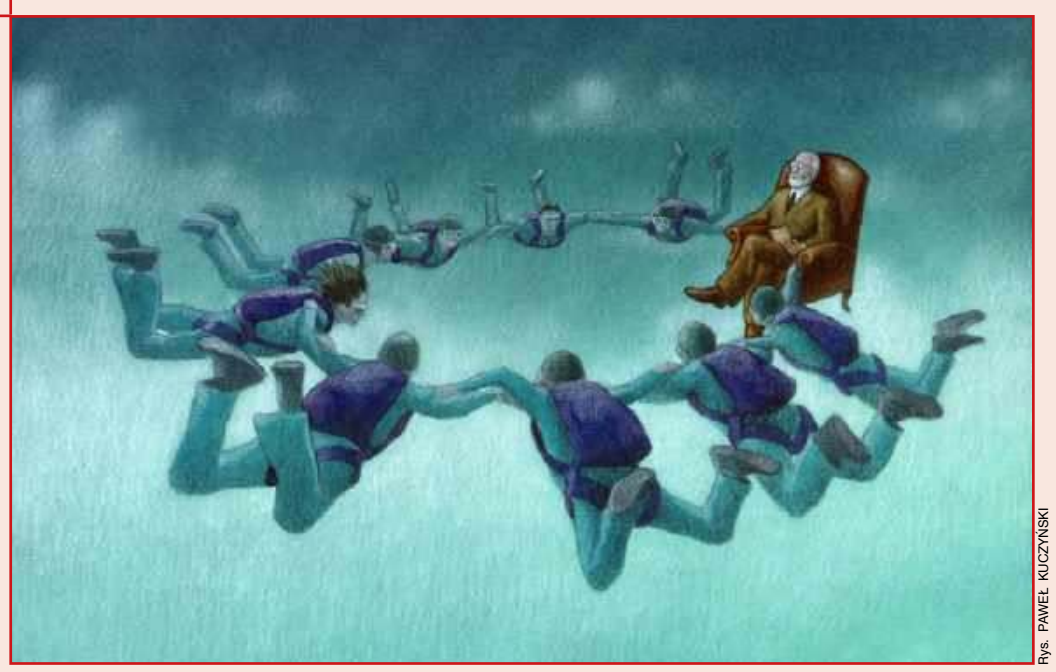

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Ze wstydu, marszałku!

Klausa Bachmanna, profesora Uniwersytetu SWPS, bulwersuje polski fenomen: „Partia, która ma mniej niż 20 proc. poparcia w społeczeństwie, przy 50-procentowej frekwencji zdobyła przewagę w parlamencie i teraz zachowuje się tak, jakby reprezentowała cały naród". W ostatnim wydaniu „Wolnej Soboty" profesor przedstawia opinie na temat tego fenomenu, zebrane w Niemczech: „Gdyby na skutek podobnych okoliczności do władzy w Berlinie doszła, załóżmy, prawicowo-populistyczna Alternatywa dla Niemiec i próbowała wymienić sędziów w Trybunale Konstytucyjnym i podporządkować sobie prezesów sądów powszechnych, musiałaby liczyć się ze strajkiem generalnym (…), sprzeciwem policji, sądów, prokuratorów i wszystkich organizacji pozarządowych".

Dodam od siebie: Świat prawniczy w Polsce obfituje w autorytety naukowe: profesorów zwyczajnych i uczelnianych, doktorów habilitowanych i zwyczajnych… I tym światem rządzi niepodzielnie magister (w dodatku po marnym przebiegu studiów). Rządzi sędziami, prokuratorami, rekrutacją kadr wymiaru sprawiedliwości…

Polacy nie zdołali dotychczas powstać z kolan, co jest dla nich skądinąd tak bardzo ważne. Ale przynajmniej wyszli już na ulice w pokojowym proteście. Deklarują różne powody i cele tego protestu. Ale w moim przekonaniu nadrzędnym – nie w pełni uświadamianym – motywem ich zachowania jest po prostu wstyd. Wstyd zniewolonych. Dlatego na pytanie marszałka Terleckiego, dlaczego Barbara Nowacka poszła tam, gdzie służalczy policjant oślepił ją gazem, odpowiadam: Ze wstydu, panie marszałku. Ze wstydu, o którym pan nie ma i nie będzie miał pojęcia.

Tadeusz Kucharski

„Głupia opozycja"

Opublikowany w „NIE" nr 49/2020 list Waldemara Szydłowskiego zatytułowany „Głupia opozycja" utwierdził mnie w przekonaniu, że Donald Tusk w gruncie rzeczy jest bardzo słabym politykiem i na szczęście nigdy nie dołączyłem do tej grupy Polaków, którzy z utęsknieniem czekali – i chyba do dziś czekają – na jego powrót na białym koniu. Jeśli na jakimś spotkaniu przed kilku laty Donald Tusk faktycznie stwierdził, że PO zbudowała Polskę, o którą przez lata walczyli stoczniowcy, to nie dziwię się, że od tego mniej więcej czasu Platforma przegrywa wszystkie kolejne wybory. Arogancja Tuska najwyraźniej udzieliła się Bronisławowi Komorowskiemu, który nawet nie dopuszczał myśli, że może przegrać z jakimś Dudą.

Najgorsze jest jednak to, że PO – i chyba cała opozycja – nadal zdaje się tkwić w przekonaniu o swojej wyższości i nieskazitelności, co źle wróży na przyszłość.

Skoro przegrało się wybory, to w warunkach demokracji winy należy szukać przede wszystkim u siebie, a nie ograniczać się do najbardziej nawet zasadnej krytyki zwycięskiej formacji politycznej.

Faktem jest, że w ostatnim okresie notowania sondażowe PiS zaczynają wyraźnie słabnąć, ale przecież nie jest to efekt działań podejmowanych przez PO czy inne partie opozycyjne, lecz wynik arogancji, błędów i skrajnej głupoty obecnego rządu. Nie trzeba być politologiem, aby stwierdzić, że obecnej tendencji spadkowej nie da się już zahamować, co wcześniej czy później (jestem przekonany, że wcześniej) doprowadzi do upadku PiS, problem polega jednak na tym, co dalej. Na razie wszystko wskazuje na to, że nastąpi triumfalny powrót PO, co wprawdzie mnie nie zasmuca, ale też nie wywołuje we mnie entuzjazmu. Dobrze byłoby więc, aby politycy obecnej opozycji poszli za radą Waldemara Szydłowskiego i więcej czytali Urbana, dzięki czemu lepiej zrozumieją realia polityki.

Adam Z.

Znowu święta

Zbliżają się kolejne święta. Szał zakupów i wzajemnych życzeń. Dla nas, ateistów, to najgorszy okres w roku. Znowu będę musiał życzyć mojemu szwagrowi wszystkiego najlepszego, wiedząc o tym, że to ortodoksyjny katolik, antysemita, rasista, homofob, ksenofob, konserwatysta. Ale cóż, zaciskam zęby i łamię się z nim Ciałem Bożym, stając się raz w roku, chcąc czy nie, symbolicznym kanibalem. Mógłbym nie chcieć, ale jest to nawet trochę zabawne. Wszyscy wiedzą, że jestem ateistą, robię to w święta tylko w imię tolerancji.

Mam taki mały apel do czytelników „NIE", kupmy kilka egzemplarzy tygodnika i dołączmy go do świątecznych prezentów. W ten sposób zrobimy też prezent Panu Jerzemu Urbanowi, który tak dzielnie walczy, aby nasza gazeta ukazywała się w tych ciężkich dla papierowych wydawnictw czasach.

Ateiści z Gdańska życzą całej redakcji i czytelnikom „NIE" wesołych świąt zimowych i wszystkiego najlepszego w Nowym Roku 2021.

Niech lewica rośnie w siłę, niech będzie pracowita i uczciwa w tym, co robi, a przede wszystkim żeby zgasły spory na lewicy, a Razem naprawdę oznaczało razem.

Racja jest po naszej stronie.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

maszyny rozlewnicze. Trzeba będzie jednakowoż pić po prostu więcej albo powoływać trójosobową spółkę do jednego gwinta.

Miejski Konserwator Zabytków z Wrocławia zainteresował się największym paczkomatem w Polsce, mierzącym 12 m długości i mieszczącym 500 skrytek, który spółka InPost miesiąc temu postawiła przy ul. Olszewskiego we wrocławskiej dzielnicy Biskupin. Dziwne, wszak tak nowa inwestycja zabytkiem być jeszcze nie może. Wrażliwość estetyczną antykoznawcy drażni kontrast między cybernetycznym paczkomatem a zabytkowym układem urbanistycznym Biskupina. Zażądał zatem usunięcia paczkomatu. Ma jednak chłopina trochę racji, że takie rzeczy nie powinny stać w miejscu, gdzie kobiety na widoku publicznym nadal karmią piersią dzieci.

Okolice hali targowej w Krakowie przy placu Grzegórzeckim, które 20 lat temu trudne były do przejścia suchą nogą, a niektórzy to nawet topili się tu w błocie, gdzie samochodom na dziurach pękały resory, po mniej więcej 15 latach od kiedy plac pokryty został elegancką granitową kostką i takimiż płytami, ma on zostać przywrócony do pierwotnego stanu. Komfort i bezpieczeństwo przechodniów oraz kierowców nie spodobały się ekologom. Bruk ma być zerwany. Kosztowna granitowa nawierzchnia wywieziona powinna być na wysypisko, na placu bowiem ponownie wyrosną drzewa w liczbie 112, a zamiast gładkiego jak lustro granitu wyrośnie trawa. Projekt przygotowany został przez architektów Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie. Znaczy ciężar władzy się nieco pod Wawelem przesunął. Uprzednio plac Grzegórzecki projektowali, zdaje się, specjaliści od dróg i mostów.

R.J.

Były to ostatnie „Wieści gminne" napisane na podstawie informacji pochodzących z mediów lokalnych, rządzonych przez Niemców z wydawnictwa Polska Press. Teraz wszystko będzie zupełnie inaczej! Po nowemu! Wsadu do rubryki dostarczać będzie to samo dziennikarstwo, ale pod wodzą Daniela Obajtka, prezesa Orlenu, który oprócz benzyny sprzedawać chce gazety. Jakkolwiek i takkolwiek ani wcześniej, ani teraz, ani w przyszłości nie gwarantujemy prawdziwości tych informacji. I nie poczuwamy się też do odpowiedzialności za to.

REKLAMA

eprasa.pl 67bea7921d

Mister Brexit

Rysunki PATRYK SROCZYŃSKI

Premierzy Polski i Wielkiej Brytanii kłamią, ale Boris Johnson przynajmniej robi to z wdziękiem.

Gdy premier Mateusz Morawiecki na niby kłócił się z Brukselą – wiedząc co najmniej od lipca, że kłótnia jest przegrana – premier Boris Johnson toczy tę samą walkę serio.

Istotą sporu Wielkiej Brytanii z Komisją Europejską nie jest – wbrew tabloidowym doniesieniom polskich mediów – **„dorsz Jej Królewskiej Mości”,** tylko właśnie ewentualne prawo Unii do karania Wielkiej Brytanii i jego wpływ na brytyjską suwerenność. Całkiem jak u nas, tylko trochę inaczej.

Formalnie rzecz biorąc – podobnie jak w przypadku powiązania funduszy z praworządnością – teoretycznie ukarana może być każda strona umowy. Ale nikt nie ma wątpliwości co do tego, który koniec kija przypadnie Brytyjczykom.

One

Unia chce zawrzeć w pobrexitowej umowie handlowej klauzulę, którą Bruksela nazywa **„ewolucyjną”,** a Londyn **„zapadkową”.** Zagwarantuje ona, że wobec zaostrzania regulacji ekologicznych, pracowniczych czy społecznych przez jedną stronę druga strona będzie musiała dorównać albo jej towary zostaną obłożone cłami wyrównującymi. Na zdrowy rozum jest to absolutnie racjonalny wymóg: jest oczywiste, że produkcja według wyśrubowanych norm jest droższa – ochrona środowiska, prawa pracownicze i generalnie tzw. społeczna odpowiedzialność biznesu kosztują – toteż ceny towarów produkowanych bez tych norm stają się dumpingowe. Co oznacza, że europejskie przedsiębiorstwa byłyby w konkurencji z brytyjskimi karane za przestrzeganie wysokich europejskich standardów, na co Unia naturalnie zgodzić się nie może.

Wielka Brytania odpowiada na to – i też jest w tym pewna logika – że nie po to występowała z Unii, żeby teraz dać sobie narzucać normy, przy których ustalaniu nie będzie już miała nic do powiedzenia. Toteż – zamiast **„dać się wciągnąć w naśladowanie polityki UE”,** jak ujął to główny brytyjski negocjator David Frost – rozważa wyjście bez umowy i robienie z Unią interesów na tej samej zasadzie co reszta świata. Czy też – według słów premiera Johnsona – na tej zasadzie co Australia.

To oczywiście nie jest takie proste. Po niemal pięćdziesięciu latach w strukturach zjednoczonej Europy Wielka Brytania jest od europejskich partnerów uzależniona nieporównanie bardziej niż Australia. Z czego Johnson znakomicie zdaje sobie sprawę, gdyż on także nie jest taki prosty.

Two

Gdy Johnson został premierem Wielkiej Brytanii, Donald Trump ogłosił z radością, że **„nazywają go brytyjskim Trumpem”,** co prezydent USA w typowy dla siebie sposób uznał za komplement. Tymczasem prawdą jest, że

brytyjski premier jest rozbestwionym bachorem z bogatego domu, z kretyńską fryzurą, skłonnością do chamowatych, seksistowskich uwag i niezbyt ortodoksyjnym stosunkiem do prawdy

– ale są to wszystko podobieństwa powierzchowne.

Podczas gdy Trump naprawdę jest *enfant terrible* polityki – infantylnym megalomanem bez poczucia własnej śmieszności – w przypadku Johnsona jest to starannie wykreowany wizerunek, który sprawia, że na sucho uchodzą mu rzeczy, które nie uszłyby żadnemu innemu europejskiemu politykowi. Nie wspominając już o politykach z kraju, w którym **„maniery tworzą człowieka”.**

Jak trafnie zauważa genialny John Oliver – Anglik, który prowadzi w HBO satyryczny program o amerykańskiej polityce i zgarnia mnóstwo nagród – nawet ci, którzy nie mają pojęcia o brytyjskim życiu publicznym, wiedzą, kim jest Johnson. Choćby dlatego, że jego zdjęcia zapadają w pamięć, bo nie sposób znaleźć takiego, na którym nie wyglądałby groteskowo. I – podobnie jak w przypadku Trumpa – jego groteskowy wygląd jest efektem jego konsekwentnych starań.

Jednak – i to zasadnicza różnica – podczas gdy Trump tkwi w przekonaniu, że w wyniku tych starań jest przystojny i władczy, Johnson intencjonalnie pracuje nad swoją śmiesznością.

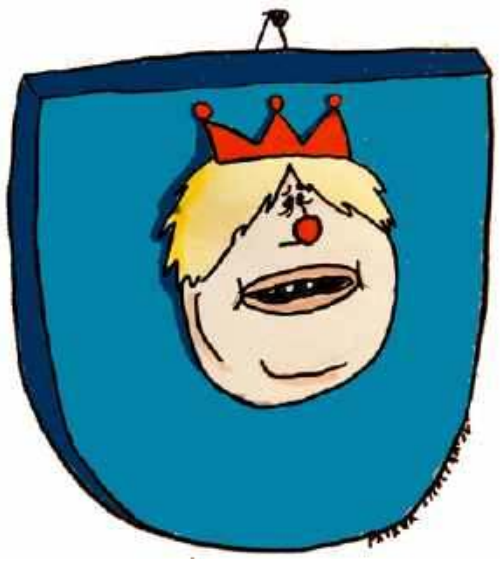

Three

Nie istnieje takie zdjęcie premiera Wielkiej Brytanii, na którym nie miałby on fryzury z gatunku **„piorun pierdolnął w szczypiorek”.** Dlaczego? Ponieważ – jak zeznają liczni pracownicy różnych telewizji – zanim kamera zostanie włączona, Johnson starannie czochra sobie włosy, żeby stworzyć efekt gniazda upośledzonego rudzika.

Fryzura mogłaby jednak nie wystarczyć, dlatego Johnson zapewnia reporterom dziesiątki okazji do sfotografowania go w najbardziej groteskowych strojach. Ma szczególne upodobanie do podrygujących na wielkim brzuchu rozciągniętych bluz dresowych w dziwacznych kolorach, uzupełnionych starannie niedopasowanymi kwiecistymi gaciami, z których wystają tłuste blade łydy.

I okazuje się, że ten rozpaczliwy wizerunek skutecznie rozbraja wymagającą brytyjską publiczność – a także, co gorsza, media. Gdy Johnson ogłosił, że kobiety w burkach **„wyglądają jak skrzynki na listy”,** przed jego domem zebrała się sfora dziennikarzy gotowych rozerwać go na strzępy za uwagę tyle ksenofobiczną, ile seksistowską. Johnson wyszedł do nich w spranej bluzie i szortach ozdobionych kwiatami lotosu z tacą pełną herbaty w kubkach nie z kompletu. Co surowsze lewicowe dziennikarki dopytywały się jeszcze, czy skomentuje jakoś swoją chamską uwagę, ale przyszły premier Wielkiej Brytanii ogłosił, iż wyszedł do nich **„wyłącznie w misji humanitarnej”,** ponieważ **„są tam cały dzień i byli niezwykle cierpliwi”,** toteż **„bardzo mu ich szkoda, gdyż nie ma im nic do powiedzenia z wyjątkiem zaoferowania kubka herbaty”.** I w tym momencie najbardziej krwiożercze dziennikarki sięgnęły po herbatę zamiast rzucić mu się do gardła.

Four

Ale nawet jeśli Johnson ma na sobie garnitur, to udaje mu się wyglądać, jak gdyby przespał w nim całą noc, jeśli akurat nie wymachuje dwiema plastikowymi chorągiewkami, wisząc 3 metry na ziemią w uprzęży, w jakiej turystyczni tatusiowie noszą niemowlaki. Ten zjawiskowy obrazek pozostał w naszej pamięci w 2012 r., gdy przy okazji otwarcia igrzysk olimpijskich Johnson – jako mer Londynu – zgodził się wypróbować zjazd na linie, który jednakowoż nie do końca zadziałał, pozostawiając go zawieszonego w pół drogi i wierzgającego odnóżami jak motyl nabity na szpilkę.

Te obrazki rozkosznej nieporadności skutecznie zatarły w pamięci publicznej zdjęcie z Oksfordu, gdzie Johnson został uwieczniony w grupie ubranych we fraki członków niesławnego klubu Bullington – elitarnego stowarzyszenia młodzieńców z wyższych sfer, których wspólna aktywność polega głównie na uchlewaniu się, demolowaniu knajp i płaceniu od ręki za wszystkie straty pieniędzmi bogatych tatusiów. Publikacja tego zdjęcia okazała się źródłem straszliwego politycznego kłopotu dla uwiecznionego na nim premiera Davida Camerona – ale nie dla Johnsona, o którym wszyscy już przecież wiedzą, że jest bogatym nadętym dupkiem.

Johnson jest kimś znacznie gorszym. Jest diabelnie skutecznym populistycznym politykiem, który prowadzi prawacką antyeuropejską politykę bez najmniejszego oglądania się na prawdę; i jest przy tym w kwestii swojego stosunku do prawdy imponująco szczery. W jednym z wywiadów wspomniał, że jako korespondent „Daily Telegraph” w Brukseli miał frazę wytrych, od której najchętniej rozpoczynał teksty: **„Wielka Brytania stała samotnie, gdy…”** – i tu padała dowolnie wybrana bzdura, którą wymyślił danego dnia, żeby ośmieszyć i obrzydzić UE: **„…Unia podjęła próbę zakazania czipsów o smaku koktajlu krewetkowego”.**

Gwoli ścisłości: Unia nigdy nie podjęła próby zakazania czipsów o smaku koktajlu krewetkowego – jednego z najdziwaczniejszych brytyjskich przysmaków – i wymysł ten był dziesiątki razy dementowany, ale Johnson skutecznie zaimplantował w umysłach Brytyjczyków wizję **„wielkiej wojny z czipsami o smaku koktajlu krewetkowego”** jako dowód na szkodliwość i głupotę EU.

Five

Wymyślone zarzuty o zamachu Unii na czipsy są jednak całkiem niegroźne w porównaniu z wielkim czerwonym autobusem, którym Boris Johnson poruszał się po Wyspach w kampanii brexitowej. Na autobusie był napis: **„Wysyłamy EU 350 milionów funtów tygodniowo. Wydajmy to na służbę zdrowia”.** Dziesiątki raportów dementowały tę tezę: po odliczeniu **„rabatu brytyjskiego”,** dopłat dla rolników i różnych grantów unijnych brytyjska składka netto do UE wynosiła nie 350, lecz 136 mln funtów tygodniowo. Ale precyzyjne rachunki były oczywiście nudne – w odróżnieniu od prostego hasła na autobusie.

Istnieje supozycja, że dziś – gdy Brytyjczycy zagłosowali za wyjściem z UE i premier Johnson musi rządzić krajem, którego gospodarka przyjmie potężny cios na szczękę, zwłaszcza w przypadku **„twardego brexitu”** – przypominanie rzekomych olbrzymich oszczędności, które rozstanie z UE miało przynieść, nie jest mu nadmiernie na rękę. Być może dlatego właśnie, zapytany, co lubi robić w wolnych chwilach, premier Wielkiej Brytanii opowiedział, że robi z drewnianych skrzyń modele miejskich autobusów. I **„maluje pasażerów, którzy z przyjemnością podróżują wspaniałym autobusem”.**

Opowieść była tak absurdalna, że wielu internautów zaczęło się zastanawiać, czy przypadkiem nie chodzi o to, żeby zmienić wyniki wyszukiwania w Google: żeby po wpisaniu frazy **„autobus Borisa Johnsona”** nie pojawiały się zdjęcia kłamliwego hasła z kampanii brexitowej, tylko urocza opowieść o dziwacznym hobby. Jego dziwaczność zaszkodziłaby zapewne powadze każdego innego polityka, ale Johnson jest na tego typu problemy wizerunkowe kompletnie odporny.

Co jest, nawiasem mówiąc, efektem świadomej strategii, a nie szczęśliwym zbiegiem okoliczności – co Johnson sam otwarcie przyznaje.

Six

Jedna z legend o młodości obecnego brytyjskiego premiera – opowiadana przez jego siostrę – dotyczy jego występu w komedii Moliera w szkolnym teatrze w Eton. Boris nie nauczył się roli, odczytywał więc swoje kwestie z kartki, cokolwiek nieporadnie ukrywając to za filarem, co bawiło publiczność znacznie bardziej niż występy jego obkutych kolegów. W 2013 r., zapytany przez dziennikarza BBC, jakie życiowe wnioski wyciągnął z tego doświadczenia, ówczesny mer Londynu wyznał znów z rozbrajającą szczerością: **„Jeśli chodzi o generalną taktykę w życiu – często użytecznie jest robić takie lekkie wrażenie, że intencjonalnie zachowujesz się tak, jakbyś nie wiedział, o co chodzi – bo prawda jest taka, że często możesz naprawdę nie wiedzieć, o co chodzi, ale ludzie nie będą w stanie tego odróżnić”.**

Wobec Brytów ta taktyka okazała się niezawodna: doprowadziła faceta, uważanego powszechnie za żart, do stanowiska szefa rządu. Okazuje się jednak, że nieszczególnie działa na forum europejskim: ani Ursula von der Leyen, ani Angela Merkel nie wydają się podatne na specyficzny wdzięk brytyjskiego premiera i raczej nie zanosi się na to, że Wielkiej Brytanii uda się wyjść zwycięsko z brexitowych negocjacji.

Nie od dzisiaj przecież wiadomo, że Niemcy nie mają poczucia humoru.

AWŁ

eprasa.pl 67bea7921d

Piłkarz, który ogra Polskę.

Anglia gola!

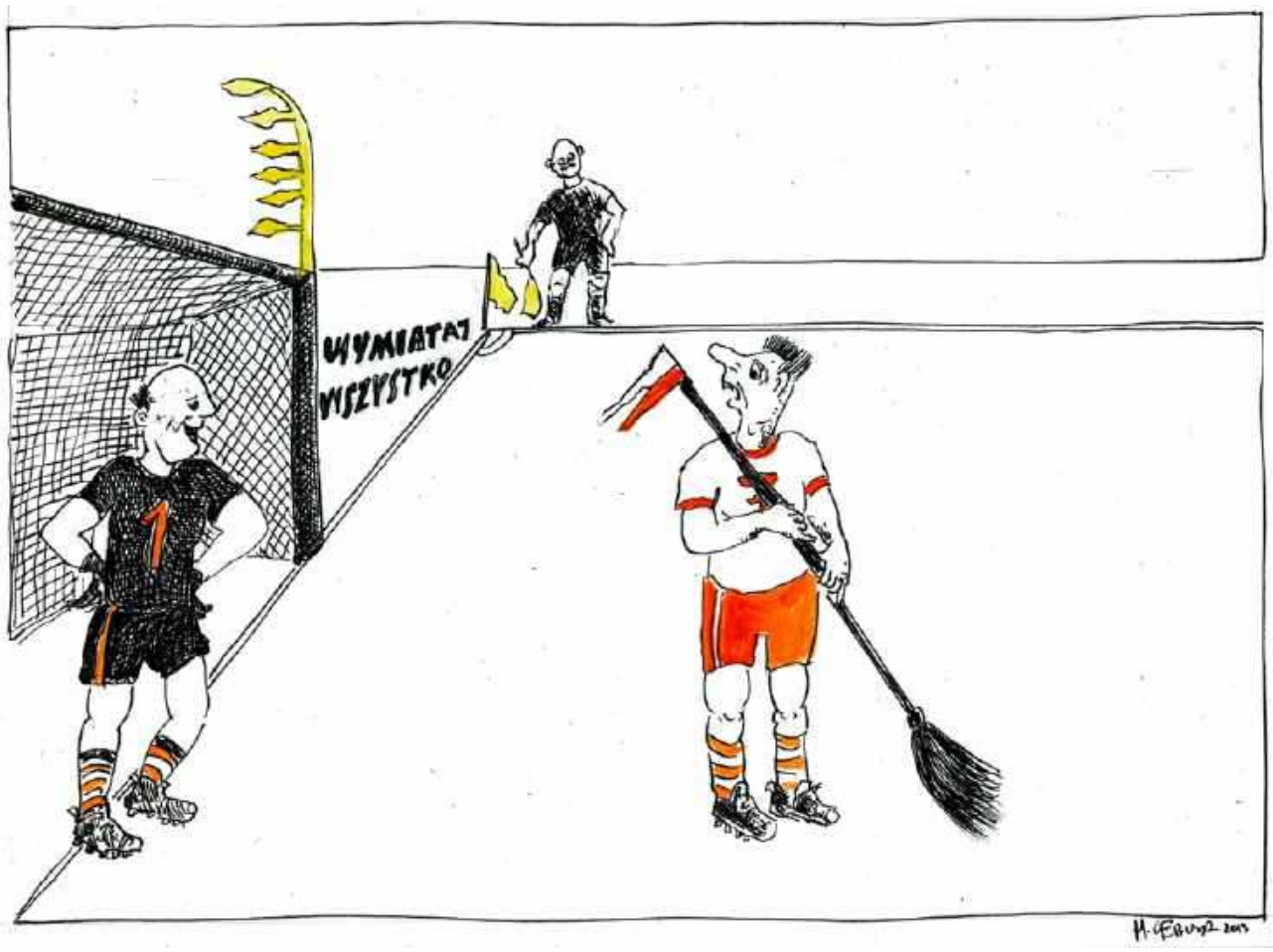

Rys. HENRYK CEBULA

Już wiadomo. Anglia stanie nam na drodze do szczęścia, jakim będzie awans do piłkarskich mistrzostw świata. Będzie to zapora nie do pokonania.

Polacy 19 razy grali z Anglikami. Raz wygrali, 7 razy zremisowali, 11 razy przegrali. Bilans fatalny, ale w tej statystyce jedyne zwycięstwo i jeden z remisów mają szczególne znaczenie. Polscy piłkarze dzięki tym rezultatom wyeliminowali Anglików z mistrzostw świata w 1974 r. Choć wówczas uznano ten fakt za sensację, wcale nią nie był. Trzeba przypomnieć, że mieliśmy niesamowitą drużynę. O sile zespołu Kazimierza Górskiego podczas mundialu przekonały się reprezentacje Włoch, Argentyny, Jugosławii, Szwecji, Brazylii, nie mówiąc już o Haiti, która schodziła z boiska z siedmioma bramkami w plecy. Jedyna porażka to 0:1 z drużyną Republiki Federalnej Niemiec w półfinale.

Polska zajęła w tamtych mistrzostwach trzecie miejsce. Dla nas – dziennikarzy sportowych – przyszło polecenie z siedziby jedynej partii rządzącej, żeby nie pisać o trzecim miejscu, ale o srebrnym medalu. Podczas rozgrywanej w Niemczech Zachodnich imprezy zdecydowano, cholera wie dlaczego, że nie będzie się wręczać – jak tradycja nakazuje – medali złotych, srebrnych i brązowych, lecz złote, pozłacane i srebrne. Nie ma co ukrywać. Lepiej brzmi **„Polacy zdobyli srebrne medale”** niż **„Polska zajęła trzecie miejsce”.** Jestem pewien, że obecnie jedyna rządząca partia (znów taka jest) zachowałaby się tak samo, najwyżej nakazałaby w każdym zdaniu upychać jeszcze sformułowanie **„reprezentacja narodowa”.** Ale nawet nie ma po co – choćby teoretycznie – rozważać podobnej sytuacji. Tym razem Polacy w eliminacjach nie wygrają z Anglikami, a tylko jedna drużyna z grupy eliminacyjnej bezpośrednio awansuje (drugie zagrają w barażach).

Inna piłka

W 2017 r. Jan Bednarek, młodzieżowy reprezentant Polski, przechodził z Lecha Poznań do Southampton F.C. w angielskiej Premier League i zmierzał tam z lekkim sercem. Oglądał wcześniej w telewizji ligę angielską, podobała mu się, ale nie sądził, żeby to było coś nadzwyczajnego. Po prostu gra się tam nieco szybciej niż w Polsce i tylko taka jest różnica. Prędko przekonał się, jak bardzo błędna była ta ocena. **„Po przyjeździe do Southampton odniosłem wrażenie”** – przyznał w jakimś wywiadzie – **„że w Anglii uprawiają całkiem inną dyscyplinę sportu niż ta, którą znałem”.**

Podobnie jak Jan Bednarek oglądam w telewizji mecze ligi angielskiej i polskiej (polskiej coraz rzadziej, trzeba oszczędzać stare oczy) i doszedłem do takich samych wniosków jak on. Nie potrzebowałem wyjazdu do Anglii.

Oczywiście w Premier League grają nie tylko Anglicy. Do najlepszej i najbogatszej ligi sprowadza się zawodników z całego świata. Na przykład w Wolverhampton Wanderers występuje na boisku więcej Portugalczyków niż miejscowych graczy, a do niedawna w pierwszym składzie londyńskiego Arsenalu w ogóle brakowało Anglików; teraz za sprawą Bukayo Saki i Edwarda Nketiaha, obaj to Anglicy, ale nie wyspiarskiego pochodzenia, trochę się to zmieniło. Menedżer reprezentacji Anglii Gareth Southgate i tak ma do wyboru dziesiątki wspaniałych graczy. Być może jedynym kłopotem jest obsada pozycji bramkarza, bo dotychczasowy etatowy goalkeeper Jordan Pickford popełnia w tym sezonie sporo błędów, a jego ewentualni zastępcy spisują się nie lepiej. My akurat na tej pozycji mamy raczej kłopot bogactwa, Jerzy Brzęczek stawia raz na Wojciecha Szczęsnego (Juventus), innym razem na Łukasza Fabiańskiego (West Ham United); trudno na tej jednej podstawie budować optymistyczne prognozy przed przyszłorocznymi eliminacjami mistrzostw świata.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Podwórkowy spleen

Kiedyś w piłkę grano wszędzie, w miastach najczęściej na podwórkach. Tylko starsi kibice mogą mieć takie wspomnienia. Teraz podwórkowa gra w ogóle nie jest możliwa. Nawet nie wywiesza się powszechnych w moich młodych latach tabliczek z napisem: **„Zabrania się gry w piłkę nożną na podwórzu”.** Po prostu nie ma gdzie grać. Wszystko pogrodzone, uporządkowane, trzepaki – ulubione miejsce zbiórek dziewczyn, czyli czirliderek tamtych czasów – zlikwidowane. Unia Europejska i tutaj odcisnęła piętno. Nawet psy nie mają gdzie się załatwić, a co dopiero mówić o piłce.

Może nie od rzeczy będzie więc przypomnieć kilka reguł podwórkowego futbolu, bo nie wszyscy zdążyli je poznać.

Właściciel piłki pierwszy dobierał zawodnika do swojej drużyny, później robiło się to na zmianę – od najlepszych do tych słabszych.

Oczywiście o jakimś podziale na obronę i atak nie mogło być mowy. Tylko bramkarz miał określoną pozycję. No i nie można zapomnieć o obowiązującym wszędzie żelaznym punkcie podwórkowego regulaminu: 3 rzuty rożne to karny.

Podwórkowy futbol niewiele ma wspólnego z tym, który oglądamy w telewizji. Ale właśnie w Anglii – wróćmy do głównego tematu – pojawił się piłkarz, który pod wieloma względami przypomina podwórkowego gracza. Nawet wygląda podobnie, bo jako jedyny wychodzi na boisko ze skarpetami opuszczonymi na buty. Wciąż się zastanawiam, dlaczego sędziowie mu na to pozwalają; regulamin nakazuje występować w getrach, pod którymi są ochraniacze piszczeli.

Nazwisko Jacka Grealisha nie jest jeszcze wymieniane jednym tchem z takimi obecnymi gwiazdami angielskiego futbolu jak Harry Kane, Dominic Calvert-Lewin, Marcus Rashford, Raheem Sterling, Harry Maguire, Trent Alexander-Arnold czy Kieran Tripper (każdy jest warty dziesiątki milionów funtów). Bodaj dopiero raz wybiegł na trawę w reprezentacyjnej koszulce, ale gotów jestem się założyć, że jeśli nie przytrafi mu się kontuzja albo jakieś inne nieszczęście, przed naszym pierwszym meczem z Anglią w eliminacjach mistrzostw świata będzie już jedną z najjaśniejszych gwiazd.

Oficjalnie Jack Grealish występuje jako pomocnik. Ale widuję go częściej jako skrzydłowego, środkowego napastnika, a nawet broniącego własnej bramki stopera. Na boisku robi, co chce. Właśnie tak kiedyś grało się na podwórkach. Najważniejsze: okazuje się, że Grealish jest wszędzie tam, gdzie akurat trzeba.

Zdrowy łobuziak

Podwórkowy gracz, jeśli chciał być wybierany do drużyny w pierwszej kolejności, musiał być cwaniakiem. I taki jest Grealish. Kiwa przeciwników z bezczelnym uśmieszkiem na twarzy. Statystycy obliczają, że jest najczęściej faulowanym zawodnikiem w całej Premier League. Nic dziwnego. Inaczej zatrzymać go trudno.

Na podwórka nie wychodzili gogusie. Oni siedzieli w domach i odrabiali lekcje. Za piłką ganiały zazwyczaj łobuziaki, a im większy, tym lepiej grał. Grealisha nikt nie nazwie wzorem do naśladowania dla młodzieży. Zresztą cóż to za idiotyczne sformułowanie!

Owszem, kiedyś powtarzano do znudzenia, że sport kształtuje nie tylko ciało, ale i charakter. W zdrowym ciele zdrowy duch, uczono mnie od przedszkolnych lat. W moich wcześniejszych publikacjach też z pewnością znalazłbym wielokrotnie powtarzaną mądrość, wywodzoną zresztą aż ze starożytnej Grecji. Nie jest łatwo pozbyć się nawyków nabranych w młodym wieku.

Od czasu gdy sport, a zwłaszcza futbol, stał się w pełni zawodowym widowiskiem, takie słowa straciły na znaczeniu. Teraz dobry piłkarz może być wzorem dla młodych, jak mają kopać piłkę, ale nie jak żyć. Zawodowcy żyją w swoim świecie, naprawdę niewiele mającym wspólnego z tym, w którym egzystują zwykli śmiertelnicy. O jakich wzorach mówimy? Czy młodzi ludzie mają sobie kupować drogie sportowe samochody, budować wille, latać na urlopy do tropików?

Mistrz bani

Czy fakt, że kilka lat temu na Teneryfie sfotografowano Grealisha leżącego na chodniku w stanie całkowitego upojenia alkoholowego, dyskwalifikuje go jako piłkarza? Owszem, zawodowy piłkarz powinien unikać nadużywania alkoholu, bo to szkodzi zdrowiu, a za bycie zdrowym i sprawnym jest wysoko opłacany. Takie zachowanie spotka się więc z karami w klubie bądź reprezentacji. Ale czy moralnie powinniśmy go potępiać? Według danych Ministerstwa Zdrowia w Polsce żyje 600–700 tysięcy alkoholików, około dwóch procent społeczeństwa. Alkoholików powinno się leczyć, a nie potępiać. A ile osób – obojga płci – nadużywa w naszym kraju alkoholu? Jack Grealish z pewnością nie będzie dla nich wzorem ani w negatywnym, ani w pozytywnym znaczeniu.

Nikt nie sięgnie po butelkę tylko dlatego, że zobaczył fotografię pijanego piłkarza leżącego na ulicy.

Nikt też nie zacznie grać w piłkę urzeczony nieprawdopodobnymi dryblingami Grealisha, bo żeby być dobrym zawodnikiem, trzeba rozpocząć treningi w dzieciństwie w piłkarskiej szkółce.

Nie da się jednak ukryć, że Grealish to niezły ancymon. W czasie obowiązującego w Anglii lockdownu z domu wolno było wychodzić tylko w najpilniejszych sprawach. Nasz bohater pojechał jednak samochodem na spotkanie towarzyskie. Wracając, rozbił swojego range rovera o murek. Następnego dnia sfotografowano go podczas rozmowy z sąsiadami. Na stopach miał buty nie do pary, a wzrok cokolwiek zamglony. Od razu zapowiedział, że zapłaci za zniszczony murek. Uszłoby mu wszystko całkiem na sucho, gdyby nie fakt, że niedługo przed tą przygodą w rozmowie telewizyjnej zachęcał wszystkich do pozostawania w domu podczas pandemii. Wyszło trochę nie tak…

Swój chłop

Całkiem świeża wiadomość. Jack Grealish poszedł z kumplami na kolację do restauracji. To obecnie w Anglii nie jest już zabronione, ale sprzeczne z wewnętrznym regulaminem klubu. Zawodnicy trzymani są w – jak to się określa – bańce, ich kontakty z otoczeniem ograniczono do minimum. Chodzi o zapobieżenie powstania ognisk koronawirusa w klubach Premier League, co sparaliżowałoby biznes, który dopiero co rozkręca się po pełnym lockdownie. Menedżer Aston Villa, Dean Smith, bagatelizuje incydent. Jasne: kto zadarłby z najlepszym zawodnikiem, który – bywa – ciągnie w pojedynkę swoją, co tu dużo mówić, dość przeciętną drużynę do licznych zwycięstw, w tym do wygranej 7:2 z mistrzem Anglii Liverpoolem F.C.? W dodatku kibice go uwielbiają, bo jest naprawdę „swój”. Urodził się w Birmingham, tylko przez jeden sezon nie grał w tym mieście (wypożyczono go do Notts County). Nie skusił się na zmianę barw klubowych, choć przecież nie tylko ja zachwycam się jego występami. Menedżerowie lepszych i bogatszych klubów niż Aston Villa także to widzą.

Od dawna nauczyłem się oceniać szanse reprezentacyjnych drużyn w poważnych imprezach, obserwując grę zawodników w klubach. Dotychczas ta metoda rzadko mnie zawodziła, choć oczywiście nie podjąłbym się typowania zwycięzców, bo poziom sportowy najlepszych jest bardzo wyrównany. Różnica między reprezentacyjnymi piłkarzami Anglii i Polski jest jednak tak znaczna, że nie ma co liczyć na niespodziankę. Polska przegra z Anglią. Szczęścia może szukać w barażach, ale i tu nie liczyłbym na wiele.

Lepiej z góry nastawić się na oglądanie ciekawych meczów i ładnej gry niekoniecznie polskich gwiazd. Przypuszczam, że jedną z nich będzie Jack Grealish.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
- połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
- połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–32 – 15.12.2020 r.**

eprasa.pl 67bea7921d

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Niecierpliwie jak dzieciak czekam na Wigilię, aby na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka, wierząc, że w tym roku będzie to osiem gwiazd.

W salonie mam już osiem choinek – małych, żywych i w doniczkach. Na każdej wisi osiem bombek. W akwarium pływa osiem rybek i nie są to bynajmniej karpie po żydowsku.

Pod choinki chciałbym dostać osiem dawek szczepionki na COVID, tylko proszę cię, Święty Mikołaju, żeby był to preparat wyprodukowany przez firmę Astra Zeneca, bo nie mam w domu lodówki z zamrażalnikiem o temperaturze minus osiemdziesiąt, lecz tylko minus osiem stopni.

Na stole postawię osiem talerzy dla zbłądzonych wędrowców, chociaż wiem, że w czasach pandemii nie przybędzie żaden. Gdyby jednak jakiś przyszedł, to sianka mu spod obrusu nie pożałuję.

Z braku ośmiorga dzieci połamię się opłatkiem z jedną zaledwie żoną i opowiem jej osiem dowcipów o Kaczyńskim z akcentem na „dow" i osiem dowcipów o Ziobrze z akcentem na „cip". O Januszu Wetoalbośmierć Kowalskim jest jeden dowcip, który jednak w wigilijną noc nie nadaje się do powtórzenia nawet własnej żonie.

Na kolację zjem tylko osiem potraw, bo w czasach prawie lockdownu nie ma czasu na zakup produktów do przygotowania dwunastu dań.

Znam osiem kolęd, ale nie zaśpiewam żadnej, bo kto dziś śpiewa kolędy? Chyba tylko Pierwsza Dama w znanym jej obcym języku zanuci Panu Prezydentowi do ucha: – Stille Nacht, heilige Nacht, alles schläft einsam wacht…

Na co Pan Prezydent odpowie tureckim kazaniem: – Kutsal bir gece olmayacak.

Co po polsku znaczy, że noc nie będzie znowu taka święta.

Zasnę. Przyśni mi się artysta Nergal, któremu wicepremier Gliński nie dał nawet ośmiu groszy wsparcia dla ludzi sztuki.

– Wierzysz w Szatana, robaku? – zapyta Nergal.

– W ośmiu Szatanów, panie – odpowiem.

I zstąpi Szatan, by powiedzieć miastu i światu: – Nad ludy i nad króle jestem podniesiony. Na ośmiu stoję koronach, a sam bez korony. A życie moje – trud trudów, a tytuł mój – lud ludów. Z matki obcej, krew moja dawne bohatery, a imię moje osiem i osiem.

Będę chciał mu powiedzieć, że w jego przemowie jest coś nie tak, lecz język mi stanie kołkiem. Zdołam tylko wydukać: – Wesołych świąt, szczęśliwego Nowego Roku i jebać PiS.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

by **blagier Urban**

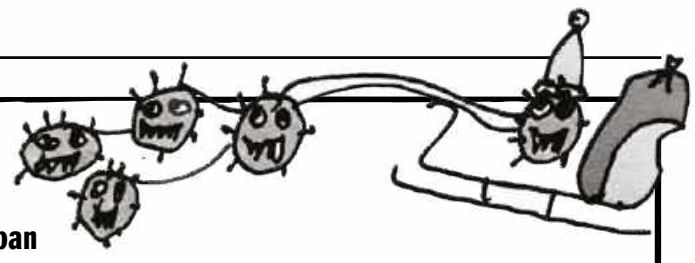

Świętego Ewarysta

Czym PiS kupi sobie więcej politycznie niezależnych dotychczas mediów, tym bardziej wzrastać będzie pokupność „NIE". Pisowcy niszczą nam konkurencję. Lękam się tylko, że niemiecki dotąd ich wydawca Verlagsgruppe Passau ma łeb do interesów. Jeżeli tak, to część pieniędzy uzyskanych od Orlenu wyda na założenie w Polsce nowych mediów o podobnych jak sprzedawane już tytułach. Wtedy będzie tak, jakby Orlen polał swoje pieniądze na własnej stacji benzynowej i podpalił je, gdyż reżimówki stracą czytelników. Zjednoczona Prawica musi wrócić do pierwotnych zapisów prawa prasowego, którego tekst pisałem w latach osiemdziesiątych. Przewidywało ono, że zgody na wydawanie tytułów prasowych udzielał urząd państwowy. Przejmowanie mediów przez reżim niekorzystnie dla niego wpłynie na wynik w wyborach parlamentarnych. A wtedy nowy rząd przejmie Orlen i wyrzuci zarząd z Obajtkiem na czele. Dobra nasza.

Świętego Zygfryda

Opozycja oburzała się, że ostatnie urodziny Radia Maryja uświetniał rząd. To mylny gniew. W poprzednich latach do Rydzyka przybywali, padając przed mnichem na kolana, prezydent, premier, większość ministrów i Kaczyński z całym swoim Biurem Politycznym. W 2020 r. reprezentacja reżimu, co znamienne, była wątła – tylko dwóch ministrów: Ziobro i Błaszczak.

Świętej Sabiny

Duda nigdzie indziej, tylko na nartach, to jedyne, co tej zimy spotka Polskę dobrego. Ten wielki katolik zjeżdża krętacko. Na co sama nazwa chrystianii wskazuje.

Świętej Iwony

W telewizji, ale nie w polskiej, obejrzałem świetny stary film „Człowiek na podsłuchu", którego pozytywnym bohaterem jest kapitan tajnej policji NRD zwanej Stasi. W czasach gen. Jaruzelskiego nasza ekipa nie kochała władz Niemiec Wschodnich. Gdy będąc rzecznikiem, składałem im oficjalną wizytę, zmuszono mnie do pójścia na operę Mozarta, ale uciekłem w antrakcie. Rozmowy ze mną prowadził sekretarz KC SED Axel, członek Biura Politycznego kierujący propagandą. Zażądał, żeby Polska zmieniła swój program telewizyjny. Oglądają go na pograniczu niektórzy ich obywatele. TVP nadaje zaś wiadomości z Republiki Federalnej sprzeczne z przekazem telewizji NRD. Zatrząsłem się z oburzenia, a potem rozzłościł się gen. Jaruzelski, gdy złożyłem sprawozdanie z pobytu. Co za bezczelność! Nie po to wyzwalaliśmy im Berlin Wschodni.

Świętej Euzebii

PiS ciągle warczy na biurokrację Unii Europejskiej, której, jak głosi, nikt nie wybierał. Zapomina, że jej przełożonych i owszem, ale rzeczywiście nie głosowano na sekretarki. Tymczasem urzędnicy podlegli polskiemu premierowi, zatem władzy lokalnej, są ponad 10 razy liczniejsi niż unijni.

Świętej Wioletty

Nie jestem inteligentny, co mi się zarzuca. Obejrzałem film na kanale Planète+. Prestidigitatorzy swoje sztuczki pokazują specjalistom od mózgu i oczu, a ci wyjaśniają, jak i dlaczego ludzie kupują pokazy magików. Np. ci chwilę dłużej pokazują jedną z kart i przez to poddani tej manipulacji widzowie w prawie 90 procentach tę właśnie kartę wybierają. Albo mając zakrytą kartę w lewej ręce i zataczając nią po stole koła, sztukmistrz błyskawicznie zatacza jeden szerszy krąg, wrzucając kartę niedostrzegalnie pod prawą rękę. Duże znaczenie odgrywa niedoskonałość ludzkiego wzroku, fachowo objaśniana na filmie przez okulistów. Otóż ja nie zrozumiałem większości eksperymentów, co klasyfikuje mnie jako półgłówka.

Świętego Urbana

Według badającej poglądy ludności firmy Social Changes 44 procent nie chce się szczepić na koronawirusa, a tylko 32 procent tego pragnie. Aż 24 procent nie ma zaś zdania. Oznacza to, że szczepionka nie zniszczy epidemii. Ukochana nasza ojczyzna stanie się jej rozsadnikiem na Europę i USA. Ile amerykańskich trupów będzie miał na sumieniu Donald Trump przez to, że zniósł wizy dla Polaków?

Świętego Saturnina

Moja ulubienica Dorota Kania twierdzi, że większość Polaków chce „niepodległej ojczyzny, nie zaś erzacu niepodległości", czyli pobytu w Unii Europejskiej. Badania poglądów mówią coś odwrotnego, ale Kania lepiej wyczuwa swój naród. Może by tak z niezawisłością pójść o krok dalej i wystąpić z ONZ? Zdaniem tej publicystki – podpory PiS – tęcza jest znakiem barbarzyństwa, „Wyborcza" chce wyrugować chrześcijaństwo, a następcami komunistów, głoszących „ruszenie z posad bryły świata", jest obecna opozycja paląca kościoły. Świątynie katolickie, owszem, czasem płoną, ale sprawcami pożarów są księża, a nie postkomuniści. Klerowi szkoda pieniędzy na nowe instalacje elektryczne, a stare iskrzą, i to jest główną przyczyną pożarów. Kania o tyle jednak ma rację, że przewody podpalające kościoły są w rzeczywiści postkomunistyczne.

Świętej Sławy

W poprzednim tygodniu wspomniałem w blogu o tym, jak Marcin Król przyszedł do mnie jako rzecznika prasowego rządu, żebym pomógł w legalizacji jego podziemnego czasopisma „Res Publica", a ja uzyskałem na to zgodę najwyższych czynników politycznych. Teraz „Do Rzeczy" podało inną wersję. To reżim posłał Króla do mnie, żeby go upokorzyć, a także rząd zmusił swojego rzecznika, żeby poszedł mu na rękę. Taki makiawelizm! Oburzony z powodu zadawania się Króla ze mną Michnik wyrzucił ze swoich imienin redaktorów „Res Publiki", potem Król wciąż staczał się politycznie aż do śmierci. W Polsce brakuje parkietów, uprawia się więc tańce na świeżych grobach. Gdyby ktoś chciał podejmować obiadem Adama Michnika, tak jak kiedyś ja Króla, to naczelny „Wyborczej" podobno lubi siekane śledzie. Bierze się pod tasak kilka rodzajów śledzi, piernik korzenny, cebulę i doprawia tę mieszankę różnościami.

Świętego Huberta

Puste posłanie Azora ku pamięci o Nim wciąż stoi przy moim łóżku. Daniszewska złożyła świeże kwiaty na Jego grobie.

Świętego Olgierda

Złożono mi propozycję, żebym w polskiej komedii fabularnej zagrał czarny charakter, czyli siebie. Odparłem, że mogę zagrać Kaczyńskiego, jeżeli mają taką rolę.

Świętego Florentego

Wciąż przysyłają mi z różnych miast i miejscowości całe pakiety starych moich fotografii z prośbą o autografy. Ostatnio zaplątało się między Urbany zdjęcie Nikity Chruszczowa, naprawdę podobnego do mnie. Nie podpisałem przez szacun dla tej postaci. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 128

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 67bea7921d